

PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

15. Października 1871.

Poszyt dwudziesty.

(Fide ac veritate.)

Spis rzeczy:

1. Jan Leopolda (dokoliczenie). Przez X. kanonika Polkowskiego.
2. Nuncyusz w Krakowie.
3. Przegląd literatury historycznej. Biblioteka pamiątek i podróży po dawnej Polsce — wydana przez p. Kraszewskiego. (Tom III, wydanie i tłumaczenie Bronisława Zaleskiego).
4. Czy Jezuita zgubili Polskę? (C. d.)
5. Towarzystwa katolickie w Rzymie — przyczyna ich powstania, ich wzrost i działalność wobec rewolucyi włoskiej i jej rządów. (Korespondencya z Rzymu).
6. W odpowiedzi p. Mazurowi na jego broszurę p. t. Nasi Ultramontanie.
7. Kronika:
 - I. Narodowość wobec chrześcijaństwa.
 - II. Obchód rocznicy opanowania Rzymu. — Deputacya do Ojca ś. — mowy Papieża.
 - III. Zgromadzenie „starokatolików“ w Monachium i mowa Döllingera.
 - IV. Adres deputowanych Zgromadzenia francuzkiego do Ojca Śgo.
 - V. List Maurycyego hr. Dzieduszyckiego do redaktora Przeglądu w sprawie prelekyi historyi kościelnej X. dra Delkiewicza — i odpowiedź redakcyi.
 - VI. Odpowiedź Gaz. Nar. (Kor. ze Lwowa).
 - VII. Wiadomości miejscowe.
8. Sejm galicyjski.
9. Świętopietrze.

L W Ó W.
NAKŁADEM REDAKCYI.
Z Drukarni Karola Budweisera
1871.

Rozpoczętą w zeszytzie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu. — Rząd Jezuitów jest-li despetyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniając nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyałogi, sąły, prawne dysputy. — Zarzuty bigoterii, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Kłótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia kłótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733. 1736 — 1766. — Kożackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

KS. JAN LEOPOLITA.

(Dokończenie).

Jak wielkie były cnoty chrześcijańskie księdza Leopolity, jak żarliwą była pobożność a jak gruntowną nauka jego, dowodem ta cześć współczesna, z jaką nie tylko katolicy ale i innowiercy wspominają o nim. I tak Budny w przemowie do swego nowego testamentu ¹⁾ nazywa go „sławnym mężem“, a wydawca Pisma świętego w Gdańsku 1606. „zaczynym doktorem“ go mieni. Ks. Glicki w panegiryku pogrzebnym zowie go „sławnym kaznodzieją“. Klonowicz przyznaje mu zachwycającą wymowę, Przesławski „silną“ a Witeliusz „zdumiewającą i okwitą“. Nucerin wspomina jako o wielkim i pamiętnym kaznodziei. Wujek „zaczynym“ a Skarga „złotej wymowy mężem“ nazywa ²⁾.

Tak liczne a tak zaszczytne świadectwa spóczesnych przekonują nas, że Leopolita, oprócz świątobliwości i nauki, niepoślednie zajmuje miejsce jako mówca i kaznodzieja; żal tylko nam wielki i wielka strata dla naszej kaznodziejskiej literatury, że kazania ks. Leopolity, którego tylu znakomitych a bezstronnych pisarzy uważało za najznakomitszego mówcę swego czasu, gdzie albo całkiem zaginęły albo też dotąd pozostały w ukryciu ze szkodą tak dla zasłużonego mówcy, jak i dla nas, cobyśmy radzi czytać to słowo Boże, które płynęło z ust „złotej wymowy męża“.

Szczegóły, któreśmy zamieścili w życiorysie ks. Leopolity, zaczerpnięte są z cytowanego dziełka Muczkwowskiego, z wspomnień uczonego Mączyńskiego o archipresbiterach i kapłanach Maryackiego kościoła w Krakowie, zamieszczonych w dodatku do *Czasu* za rok 1857. jako też z różnych kompendyów historii literatury polskiej. Krótki ten życiorys tego znakomitego męża uzupełniamy teraz bi-

¹⁾ W Łosku 1574.

²⁾ Żywot Świętych. Żywot Błogosł. Jana Kantego.

bliograficznym opisem Biblii polskiej, znanej pod ogólnem nazwiskiem Biblii Leopolicy.

Pierwsze całkowite tej biblii wydanie wyszło w Krakowie 1561 roku pod tytułem:

Biblia. To jest księgi Stharego y Nowego Zakonu na Polski język z pilnością według łacińskiej Bibliey od Kościoła krześciańskiego powssechnego przyjętnej nowo wyłożona.

Cum gratia et privilegio S. R. M. w Krakowie, w drukarni Szarfenbergerów, 1561 r. in folio, karty nieliczbowane, druk gocki. Cały powyższy tytuł drukowany jest czerwonym i czarnym tuszem. ozdobnemi literami zwłaszcza ten wyraz Biblia. Tytuł otaczają drzeworyty czarne, przedstawiające dziewięć obrazków a mianowicie u góry upadek pierwszych rodziców, Mojżesz odbierający księgę przykazań na górze Synai, ukrzyżowanie i zmartwychwstanie Zbawiciela Pana, u dołu Narodzenie Pana Jezusa, Chrzest Zbawiciela i Wieczerza Pańska. Po lewej stronie tytułu Chrystus z barankiem na ramionach z napisem u góry: *gratia et veritas per J. C. facta est.* Po prawej Mojżesz z tablicą praw, a nad nim *lex per Moysea data est.* Na odwrotnej stronie tytułowej karty, portret Zygmunta Augusta otoczony herbami prowincyj polskich, nad nim korona, a pod spodem napis: *Sigismundus Augustus Dei Gratia, Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Pomeraniae, Samogitiae ac Masoviae etc. Dominus et Haeres. Anno Domini MDLXI, Aetatis XXXXI.* Na drugiej karcie dedykacja biblii: „Naiassnieyssemu Krolowi y Panu Panu Zygmunthowi Augustowi, z łaski Bożey Krolowi Polskiemu, xiążęciu wielkiemu Litewskiemu, Russkiemu.... uczyniona przez Mikołaja Scharfenbergera, mieszczanina krakowskiego i drukarza.“ Na trzeciej karcie „przedmowa JKL. (znaczy Jana Księdza Leopolicy) ku czytelnikowi krześciańskiemu o zachości Pisma sw.“ Na czwartej karcie „napominanie ku Pismu świętemu.“ Na piątej „suma wszystkiego Pisma świętego Starego i Nowego Zakonu“, bardzo krótko a nadobnie zebrana. Na szóstej i siódmej „List św. Hieronima, który pisał do Paulina, kapłana o wszystkich xiegach Starego y Nowego Zakonu na pięcioro xiąg Moyżeszowych na kapituly rozdzielony.“ Na ósmej przedmowa świętego Hieronima Na dziewiętej spis ksiąg Starego Zakonu z ryciną Stworzyciela na odwrotnej stronie, a to wszystko pióra księdza Leopolicy.

Potem na czterystu pięćdziesięciu ośmiu kartach, na dwie dzielonych szpalty jest cały tekst Pisma świętego Starego Zakonu

z następującą wzmianką po drugiej księdze Machabejskiej: „Trzecie Księgi machabejskie acz od Kościoła chrześcijańskiego nie są przyjęte, wssakze zechmy je przy niektórych bibliach naleśli nie ich thez opuścić chcieliħmy“, ozdabiany większymi i mniejszymi drzeworytami, których ogółem jest 284, z tych 52 większych a 96 mniejszych trojakiej wielkości. Drzeworyty te wzięte są częścią z biblii luterskiej, wydanej w Wirtemberdze u Lufta 1543, częścią z biblii czeskiej wydanej w Pradze. Na końcu ostatniej karty te są słowa: „kopiec wssystkich xiąg Stharego Zakonu... i potem dokończone w Szrodę po świętym Janie Krzycielu (1560) szczego bądź chwala Panu Bogu wsseħmocnemu w Troycy iedynemu.“

Przed Nowym Testamentem karta jedna, na której Chrystus Pan ukrzyżowany — drzeworyt, z drugiej strony karta czysta. Tytuł Nowego Testamentu tak jak i przy starym otoczony jest pięknym drzeworytem, przedstawiającym rodowód Chrystusa, w środku którego tytuł: „Nowy Testament polski, to jest święta Pana Jezusa Chrystusa Ewangelia od Ewangelistów y od innych Apostołów napisana. Masz przytym na końcu regerstr dosthateczny ku najdowanu Ewangeliy y Epistoł, które w niedzielne dni y w insze święta bywaią czytane.“ Na odwrotnej stronie tytułowej karty, spis ksiąg Nowego Testamentu. Na następnej karcie „Przemowa świętego Hieronima na czterzy Ewangelisty“. Potem tekst Nowego Testamentu na 126 kartach tak jak w Starym Testamencie ozdobiony rycinami. Na ostatniej karcie tekstu te wyrazy: „Roku Pańskiego Thysiącnego Pięćsethnego Sześćdziesiątego y pierwszego, nazaiutrz po Nowim Leciu. Naprzód ku ćci a ku chwale Panu Bogu w Troycy iedynemu, potem ku pociessnemu y zbawiennemu uzywaniu wszystkim wiernym zacnego narodu y ięzyka Polskiego, te xięgi Stharego y Nowego Zakonu, przed thym nigdy Polskim ięzykiem nie drukowane teraz wykonane, są w głównym mieście Polskim Krakowie, w Drukarni Mikołaja i Stanisława Scharfenbergerów, ichże własnym nakładem. Z czego bądź Panu Bogu wsseħmogącemu ceść y chwala y dziękcynienie na wieki wieczne Amen. U spodu herb Szarfenbergierów, kozieł z trzema gwiazdkami. Nad hełmem także kozieł wśród dwóch rozpostartych skrzydeł, na każdym z nich trzy gwiazdy. Po bokach insygniów Scharfenbergerów wybity rok 1554 na jednych egzemplarzaeh, na innych zaś MDLXI.

Potem następuje regestrus kart 16, o którym w tytule była wzmianka. Drzeworytów w Nowym Testamencie naliczyliśmy więk-

szych 36, mniejszych 102. Oto jest szczegółowe zewnętrzne opisanie Biblii Polskiej z r. 1561.

Drugie wydanie wyżej opisanej Biblii, przedrukowane w trzynaście lat po wydaniu pierwszym jest znacznie odmienne tak pod względem typograficznym i ikonograficznym jako też pod względem językowym i naukowym. Tytuł tego wydania jest taki: „Biblia, tj. księgi Starego i Nowego Zakonu na Polski język z pilnością według łacińskiej biblii od Kościoła chrześcijańskiego powszechnego przyjętej z pilnością poprawiona i figurami ozdobiona. *Cum gratia et privilegio S. R. M.* w Krakowie, w drukarni Mikołaja Szarfenbergera 1574 r.

Druk tego tytułu i ozdoby drzeworytu jego, te same co w wydaniu pierwszym. Na odwrotnej stronie karty tytułowej herb króla Henryka Walezyusza, pod herbem 20 wierszy łacińskich układu Jana Ponętowskiego. Na drugiej karcie dedykacja królowi Henrykowi Walezyuszowi po łacinie od Mikołaja Szarfenbergera w wigilią nowego lata 1575, trzecia, czwarta i piąta karta zawiera to samo co w wydaniu pierwszym, bujniejszym tylko nieco drukiem.

List i przedmowa św. Hieronima, które potem następują, różnią się wysłowieniem i pisownią inną. Następuje teraz tekst, który różni się od pierwszego wydania tem, że nie na dwóch szpaltach, ale w ciągu całej karty jest ustawiony; litery bujniejsze są i wyrazistsze, pisownia nowsza z wypuszczeniem wszędzie prawie litery *h* po *t* następującej. Tłumaczenie znacznie poprawne i bardziej oczyszczone od zwrotów i wyrażeń czeskich. Następnie w Starym Testamencie opuszczone „trzęcie księgi Machabejskie“ z takim nadmienieniem: „Gdyż trzęcie księgi Machabejskie w bibliach nie bywają przydane ani do Kościoła krześcijańskiego powszechnego przyjęte, od św. Jeronima też w łacińskim nie przełożone, nie zdało się ich także do tej Biblii przyłożyć.“

Potem następuje tytuł Nowego testamentu zupełnie jak w pierwszym wydaniu, z tą tylko różnicą, że tu rok 1575, przedmowy, spis ksiąg i tekst tem tylko różny od pierwszego wydania, czem był różny od tegoż wydania Stary Testament. Drzeworytów tak w Starym jak i w Nowym Testamencie więcej jak w pierwszym wydaniu, większych bowiem naliczyliśmy 150 a średnich i mniejszych 146. Z drzeworytów większych 72 użyto z wydania pierwszego, 16 zupełnie obcych, a 62 przerobiono a raczej użyto z biblii łacińskiej Corwina, wydanej w Frankfurcie z dodatkiem gdzieś indziej litery *h* lub *w*, lub *w s.* Klisze tych drzeworytów prawie wszystkie

znajdują się w bibliotece Jagiellońskiej, które w 1837 i 1848 r. p. Muczkowski wytłoczyć kazał w niewielu egzemplarzach. Czy tekst tego wydania znowu Leopolda poprawiał, niewiadomo.

Co się tyczy trzeciego wydania, wszyscy bibliografowie uwiędzeni oświadczeniem Mikołaja Szarfenbergera w dedykacji do króla Stefana Batorego w r. 1577. „*Edideram bis in lucem Biblia sacra in polonicam linguam translata. Que, primo quidem Sigismundo Augusto deinde vero Henrico Valcsio, Regibus Poloniae antecessoribus S. M. T. dicaram. Jam vero quia et exemplaria mihi desunt, et multi a me id postulabant, tertio ad eandem materiam animum manumque appuli et Biblia magno labore magnoque sumptu meo imprimenda curavi*, sądząc, że w takim publicznem i to do króla samego oświadczeniu fałszu i kłamstwa być nie może, mówili zawsze i dowodzili, że trzy są wydania tej biblii. Tymczasem dość mieć w ręku obie te książki, dość tu i ówdzie jedną z drugą porównać kartę, dość spojrzeć wreszcie na daty same, a przekonać się można wybornie, iż to trzecie mniemane wydanie jest prostą mistyfikacją, podrobieniem najwidoczniejszym drugiego wydania. Rzecz się tak miała: Po ucieczce Henryka z kraju, któremu Szarfenberger przypisał wydanie drugie Biblii Polskiej, — gdy niewiele tylko egzemplarzy rozszło się z handlu księgarskiego i nikt dla zniechęconego Henryka nie chciał tej książki kupować, a znowu kiedy obrany król Stefan Batory coraz większą liczbę zwolenników i coraz większą znajdował sympatyę w narodzie, przebiegły księgarz postanowił i dla siebie jaką korzyść wyszukać. Z pozostałych więc w handlu księgarskim egzemplarzy drugiego wydania biblii, odejmuje od tytułu aż do tekstu, tak w Starym jak i Nowym Testamencie zadrukowane arkusze i zastępuje nowemi tytułami, nowemi dedykacjami i przedmowami, przypisując Stary Testament królowi Stefanowi Batoremu, a Nowy Annie Jagiellonce, na odwrotnej stronie karty tytułowej Starego Testamentu ozdobny herb Królestwa Polskiego z herbem Batorych. Wilcze zęby, a na odwrotnej stronie karty tytułowej Nowego Testamentu ten sam herb Królestwa, ale w środku z herbem Sforcyów. Po tytułowej karcie Starego Testamentu, dedykacja po łacinie Mikołaja Szarfenbergera. Potem przedmowa księdza Jana Leopolda. Suma wszystkiego Pisma świętego i przedmowa świętego Hieronima. Kart liczbowanych po jednej stronie w Starym Testamencie 603. Po tytule przy Nowym Testamencie dedykacja królowej i przedmowy zajmują kart cztery, od karty 605 zaczyna się

tekst Nowego Testamentu, który się kończy na karcie 760. Na końcu rejestra i najdowanie Epistoł i Ewangelii kart 12 zupełnie jak w drugim wydaniu, tylko zatytułowanie w jednym miejscu nieco na bujniejszy druk zmieniono.

Po tym bibliograficznym opisie pierwszej biblii w polskim wydanej języku, rozważymy, jakeśmy to już zapowiedzieli, czy zdanie śp. Muczkwoskiego, że tłumaczem biblii z r. 1561 jest Dominikan ks. Leonard, a ks. Leopolda jest tylko jej poprawiaczem, ostoi się wobec krytyki czy też nie. Pomijając dowody Tschepiusa, który ich aż dziesięć przywiódł, że pierwsze tłumaczenie biblii polskiej zostało dokonane przez dyssydentów¹⁾, pomijając to co za nim powtórzył Friese²⁾, który utrzymuje, że tłumaczył tę biblię na język polski Seklucyan, a za tymi dwoma Wojcicki w literaturze swojej³⁾, który także przechylił się na tę stronę dowodów dyssydenckich. Zobaczmy teraz kto i co mówił o tłumaczeniu biblii przez Leopoldę, zaczynając od najdawniejszych piśmiennych źródeł. Starowolski w życiorysie Jana Leopolda pisze: „*Ille primus sacra Biblia vernaculo Sermone reddidit*“⁴⁾. Sołtykowiec w swej mowie powiedział: „Miło wspomnieć i ciebie Herbeście, uczniu naszego Jana Leopolda, pierwszego na ojczysty język przekładacza Pisma św.“⁵⁾. Bentkowski w historii literatury po różnych wywodach mówi: „idąc za powszechnością, tłumaczenie zwać będę dziełem Jana Leopolda“⁶⁾. Leleweł w księgach bibliograficznych na pewne przyznaje tłumaczenie to Leopoldie, mówiąc: „Szarfenbergerów przedsięwzięcia zubożyciły język polski przekładem całej biblii w 1561 r. przez Jana Leopolda dopełnionym“⁷⁾. Bandke powiada, że na biblii Leopolda z 1561 r. tylko Mikołaj się podpisał⁸⁾. Wiszniewski też utrzymuje, że ks. Jan Leopolda tłumaczem jest biblii z 1561 r., którą nie z oryginału ale z Wulgaty tłumaczył⁹⁾. Jocher w obrazie bibliograficznym po różnych wywodach przychyliła się na stronę ks. Leopolda¹⁰⁾. Innych autorów nie wspominam, bo dzieł ich nie

¹⁾ *Preussische Zehenden III* 843.

²⁾ *Beiträge zu der Reformationsgeschichte in Polen. I. B. II. Th.* 166.

³⁾ Wojcicki. *Historia literatury.* II. 22.

⁴⁾ *Scriptorum Polonorum Exhortas. Venet.* 1627. 79.

⁵⁾ O stanie akademii krakowskiej. 1812. 51.

⁶⁾ *Historia literatury.* 1814. II. 497.

⁷⁾ *Ksiąg bibliograficznych dwoje.* 1823. I. 176.

⁸⁾ *Historia Drukarń.* 1826. 171.

⁹⁾ *Historia literatury polskiej.* Wiszniewskiego. IV. 561.

¹⁰⁾ *Obraz bibliograficzny.* II. 83.

mam pod ręką, ogólnie tylko powiem, że powszechne było mniemanie wszystkich literatów uczących i uczących się, że tłumaczem biblij z 1561 r. nie kto inny jest, tylko ks. Jan Leopolita. Pierwszy dopiero, który inną powieść o tłumaczu biblij wynalazł, był Chromiński, który napotkawszy w Świątynicy Siejkowskiego wzmiankę, że ks. Leonard Dominikan, spowiednik króla Zygmunta Augusta był pierwszym tłumaczem biblij polskiej ¹⁾, wskazał drogę do gruntowniejszych poszukiwań: jakoż w ostatnich czasach rozprawa śp. Muczковского, który na powadze sześciu dominikańskich pisarzy gruntownie dowiódł, że istotnie tłumaczem biblij polskiej znanej pod nazwiskiem Leopolity, jest ks. Leonard Dominikan, zdaje się, że nie pozostawia nic do życzenia. Gdy jednakże nie wiemy, jakiej wartości było tłumaczenie ks. Leonarda, który jak to wykazały porównania, tłumaczył tę bibliję po prostu z czeskiego wydania, gdy trudno prawie do uwierzenia, aby spowiednik tego, któremu księga była dedykowana, zapierał się owego dzieła, gdy ze słów Szarfenbergera najwidoczniej się pokazuje, że księga ta wypadkiem mu tylko do rąk się dostała i nie wiedział kto jest jej autorem, że gdy sam poprawiacz ks. Jan Leopolita najwyraźniej mówi, że z Wulgaty na język polski tłumaczył to Pismo święte, że współcześnie nie pytając się o nazwisko istotnego tłumacza, bo im wystarczała opinia o nauce ks. Leopolity, snąc z niemałym pożytkiem czytali i odczytywali tę boską księgę, skoro w czternaście lat potem trzeba było drugą bić edycją; z tego wszystkiego wynika, że ze sławy ks. Leopolity i z przysługi jaką wyświadczył literaturze, przygotowując do druku pierwsze tłumaczenie biblij polskiej nie a nic nie ubywa.

Drugie wydanie biblij z 1575 r. i mniemane, trzecie, niesłuchanie się różnią od wydania pierwszego. Kto przygotował do druku tę poprawkę, nie wiadomo; — z skrupulatnego jednak porównania tekstu pierwszego i drugiego wydania, z rozmaitych wreszcie kombinacyj ówczesnych, z dedykacyi, z przedmowy, ze stanowiska wreszcie jakie zajmował ks. Leopolita — był bowiem profesorem teologii i wykładał Pismo św. — wnosić należy, że i tej drugiej poprawki tekstu on sam dokonał, albo też ktoś, wszelako pod okiem jego.

Streszczając teraz to wszystko cośmy powiedzieli o tłumaczeniu polskiem i katolickiem biblij, konkludujemy:

¹⁾ Dziennik Wileński. Październik 1806. 59.

Że tłumaczem tej księgi prawdopodobnie jest ksiądz Leonard Dominikan, spowiednik króla Zygmunta Augusta; głównym i jedynym poprawiaczem tłumaczenia ks. Jan Leopolita, doktor św. Teologii, profesor w akademii krakowskiej; wydawcą jest Mikołaj Szarfenberger. Wydań dwa tylko; pierwsze z 1561, drugie 1575 roku, w trzeciem bowiem mniemanem wydaniu są podrobione tylko tytuły i przedmowy. Tłumaczenie to katolickie, dopóki nie wyszło tłumaczenie ks. Jakóba Wujka, miało tacite aprobatę kościelną, — po wyjściu zaś biblii Wujka r. 1599 z aprobatą arcybiskupa gnieźnieńskiego, straciło takową i dziś do cytat służyć nie może — pozostanie nam tylko jako drogi w literaturze zabytek.

KS. JGNACY POLKOWSKI.

NUNCYUSZ PAPIESKI W KRAKOWIE.

Jak w szesnastym wieku, gdy nuncyusze papieżcy zjechali do Polski z szczególną misją obrony i interesów katolicyzmu, zwolennicy niemieckiej i helweckiej reformy przygotowywali im gorzkie historye na sejmie, w senacie i u dworu — jak w wieku XVIII postówie Klemensa XIII i Klemensa XIV natrafiali na opozycye zorganizowane przez księży postępowych wycierających kąty u Repninów i Stakelbergów, tak i za dni naszych, nuncyusz Falcinelli po raz drugi odwiedzający Kraków, byłby się spotkał wcale z innemi usposobieniami jak owe, z jakimi się tutaj rzeczywiście spotkał, gdyby agitacye księży i teologów z dyecezyi Dziennika Polskiego i Kraju zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem.

Ale im się nie udało! Kraków obojętny i zimny na zeszloroczny pobyt w swych murach p. Kraszewskiego, tak krzykliwie forytowanego przez Kraj Gumpłowiczowski, tak bez zmiany owacyowanego przez trzeźwe i skromne superlatywy naszych liberałów, tak silnie i zręcznie podrzucanego w górę przez wszystkich oficjalnych i nieoficjalnych, fachowych i niefachowych członków i członkinie tańczącego postępu z Franciszkańskiej ulicy — ten tedy Kraków wiecznie zacofany w epokę swej królewskości, wiecznie zatwardziały w swoim papizmie, wiecznie nieczuły na głos petroleowej inteligencji, wiecznie uparty i nieporuszony, mimo wszystkich zachęt i podniet nihilistycznego postępu, okazuje się czułym na przybybie posła

Rzymu papieżkiego i tę czułość głośniejszą i dobitniejszą wyraził, niżby był zdolny przez wspomnianą inteligencję i postępek wyrazić swą czułość dla ambasadora Rzymu Emanuelowego lub Garibaldiowskiego, choćby tym ambasadorem miał być samozwańczy ex-ambasador polski w Rzymie w r. 1862 i 1863, to jest p. Władysław Kulczycki.

Nawet oficjalna, całomiesięcznym bębnieniem i trąbieniem wyprzedzona intrada p. J. I. Kraszewskiego do konfederacji „Kraju“ na nic się nieprzydała. Im dobitniejszą i tkliwiej w podpisywanych Listach Drezdeńskich p. J. I. Kraszewski przekonywał nas, że Stolica św. przez swą królewskość stała się katedrą zaraźliwości, i że związek z nią prowadzi do zguby; im z dziwniejszym sprytem i finesostwem w artykule wstępnym dziesięć lat temu napisanym, a przed miesiącem w „Kraju“ *mutatis mutandis* umieszczonym, przewidział, wykazał i dowiódł, że zbawienie Polski jest w udogmatyzowaniu łącznie z Rosyją i Prusami, polityki zaborczej przez sojusz z Italią antypapieżką, — tem bardziej Kraków w przyjęciu reprezenta Stolicy świętej manifestował ultramontańskie swoje usposobienia i dążności.

I jestem pewien, że gdyby p. J. I. Kraszewski wszystkie nawet swoje artykuły umieszczane w *Kraju* podpisał całym swoim nazwiskiem i obydwoma *J. I.*, jak podpisał ów jeden wstępny i jak podpisuje przez zapomnienie w Listach Drezdeńskich do *Kraju* wycinki z korespondencji soborowych, umieszczonych w nieboszczyku *Tygodniu*; gdyby nadto powtórzył wszystkie najuroczystsze przekleństwa, jakie kiedykolwiek i w któremkolwiek ze swych pism rzucił w nadmiarze miłości i umiarkowania na ultramontanów, i wszystkie przeciwko nim używane dotąd epiteta, np. opryszków itp. — wszystko to na nicby się było nie zdało a my zacofańcy krakowscy jeszczebyśmy byli serdeczniej przyjęli nuncjusza.

Dla tego też to redakcja *Kraju*, która przez cały jeden miesiąc uszczęśliwiała swych czytelników artykułem wstępnym, drukowanym stopniowo tłuszczyjącymi czcionkami, o pozyskaniu pana J. I. Kraszewskiego na stałego swego współpracownika, postanowiła artykułów tego publicysty urodzonego¹⁾ nie podpisywać, co byłoby osiągnęło daleko znakomitszy skutek, gdyby taż redakcja nie była uległa gwałtownej pokusie, gorzej niż niewieściej drażliwości, i finesostwa swego nie była zdradziła dowcipnem zapytaniem „zkađ

¹⁾ P. Kraszewski w jednym z swych listów drezdeńskich twierdzi, że literaci się wyrabiają, a dziennikarze się rodzą.

to *Czas* wie, że p. J. I. Kraszewski tylko podpisywane artykuły umieszcza?" Naturalnie, bowiem to zapytanie dało do zrozumienia czytelnikom *Kraju*, że gdy wszystkie wygadywania na ultramontanów, wszystkie nawet może telegramy o śmiertelnej chorobie papieża, o bliskiej jego śmierci, o przyszłym konklawe, mogłyby być pióra tego najznakomitszego w Polsce promotora pangermańskiego staro-katolicyzmu, tedy, co najmniej, używana w posługiwaniu się tym złamanym przez pychę talentem strategia, bardzo jest podejrzana, a sama wojna wydana ultramontanom, wojna, w której główną rolę odgrywa nędzna, obrażona miłość własna na różne sposoby wyzyskiwana przez otwartych nieprzyjaciół Kościoła, jest wojną przeciwko prawdzie i miłości.

Prawda, że prócz *Kraju* z panem J. I. Kraszewskim są jeszcze inne potęgi wojujące z ultramontanami i papistami krakowskimi, jak np. pewien profesor ex-kanonier, bombardujący stare nasze przesady działami wielkiego kalibru, wziętymi z arsenału trzydziestokartkowej broszurki (in 320) rozesłanej rok temu przez wiedeńskiego żyda po całej Austrii — i ten może mógłby być sparaliżować ultramontańskie serdeczności w przyjęciu nuncjusza — ale na szczęście był to czas wakacyj i katedra profesora obznajmiałego młodzież akademicką z literaturą i sądami o religii wszechstronnie, odpoczywając milczała²⁾.

Albo naprzykład ów wielki potentat w krainie intelligencji i

²⁾ Jakiś p. J. R., podobno exredaktor jednego *Nru Cosia*, broniąc olbrzymiej uczoności swego profesora zaczepionego broszurą ks. Z. G., w obronie tej wykazał daleko dosadniej, niż ks. Z. G. w całej swej broszurze, co to jest za erudycja tego profesora! Uczony obrońca twierdzi, że ks. Z. G. nie rozumiał słów P. Girtlera i dla tego mu zarzuca niezajomość dzieł Lutra i Zwingla. P. Girtler, zdaniem swego obrońcy nie twierdził, jakoby Zwingliusz zaprzeczał Trójcy, tylko powiedział, że był w tym przedmiocie spór między Lutrem a Zwinglem — to jest, że między Lutrem a Zwingliuszem była różnica w pojmowaniu Trójcy, albowiem (racya!) Luter uczył, że chleb to ciało, a Zwingliusz, że pod chlebem ma się rozumieć ciało, czy, że mamy sobie wyobrażać ciało. Albowiem jest *non plus ultra* racji i racjonalności. Różnica była w pojmowaniu Trójcy albowiem Luter uczył, że chleb to ciało... itd. Oto jak p. Girtler zdaniem własnego swego obrońcy, podobno nawet ucznia, daje poznać swym audytorom autorów niekatolickich. Gdzież to Luter nauczał, że chleb to ciało? Czyż gdyby był tak nauczał, byłby za zniesieniem postu? A Zwingliusz gdzież znowu nauczał, że pod chlebem mamy sobie wyobrażać ciało? Jako? pod każdym chlebem? I czemu pod, a nie nad, albo w chlebie? Czy niby niżej chleba? Winszuję akademii i krajowi takich erudytów!

postępu, który w bieżącym miesiącu obdarzył świat dziełem o 30 stronicach pod tytułem: Nasi ultramontanie. Okropna rzecz, jakie to ciągi dostali ultramontanie — ale — na szczęście, broszura już się ukazała po odjeździe nuncjusza i tak tedy ultramontanom jeszcze się upiekło. Niechoby się jednak pokazał teraz po wykazaniu przez pana Jana Mazura (tym bowiem pseudonymem orla¹⁾ intelligencya autora usiłuje się zamaskować), co to są za złoczyńcy wszyscy papieżu, wyjąwszy świętobliwego Klemensa XIV (tak go p. Mazur po dwa kroć nazywa, za bullę zniesienia Jezuitów) — jako też po wykazaniu postępków Piusa IX (str.17), a miałyby się dopiero z pyszna! Cała Italia zatrzęsłaby się poklaskiem podobnie jak się zatrzęsła cała Europa za wojnę przeciw Karmelitankom krakowskim, tak genialnie ukartowaną dwa lata temu. Tymczasem p. Gralichowski się spóźnił — broszura p. Jana Mazura nie wyszła na czas — i cały ten straszliwy nabój został bez wpływu, tak na przyjęcie nuncjusza, jak i na udekorowanie przez króla włoskiego, krzyżem St. Maurice et Lazare, uczonego autora.

Nuncyusz tedy był w Krakowie przyjęty zaraz na wyjściu z wagonu z prawdziwą serdecznością zgromadzonych w banchofie mieszkańców Krakowa, tak świeckich jak i duchownych. Zapewne, że tam nie było ani duchowieństwa *Dziennika Polskiego*, ani Polaków z *Kraju*. — Jeżeli się przesuwają pewne jednostki służące tego rodzaju potencjom, to tylko w szlachetnym celu śledzenia ultramontańskiej agitacyi. Ale to nam bynajmniej nie zawadzało, przyzwyczajeni bowiem do wiadomości przez liberalne dzienniki podawanych, a nawet przez okna podglądanych, jak naprzykład owa o wypędzaniu czarta z jakiejś kobiety, rozumiemy to dobrze, że żadna potencya bez policyi obejść się nie może, że potencye redakcyj liberalnych tej branszy szczególniej potrzebują, chcąc kraj ratować od knowań i spisków kliki ultramontańskiej, że potencye te wówczas tylko zzymają się na policyę, kiedy od niej doznają przeszkód w swoich legalnych i konserwatywnych zamiarach i działaniach, zaś przeciw obrzydliwości systemu szpiegostwa występują tylko ex re wojny, wytoczonej przeciw instytucjom wychowawczym katolickim.

Matka Talbot jak nie postawiła kościoła dla Polaków *Kraju*

¹⁾ Są którzy w tym atrybucie orla jedną literę uważają za niewłaściwą.

ani dla wielebnych księży, teologów, prałatów i zakonnic *Dziennika*, tak też nie zapraszała nuncjusza dla sprawienia przyjemności owym panom i paniom — rzecz zatem bardzo łatwa do zrozumienia, że ich tam nie było. Obecność ich ani była spodziewana, ani pożądana. Matka Talbot wie, co dla czego czyni. Ona, choć francuzka narodowością, sto razy lepiej rozumie potrzeby ubogich i nieszczęśliwych tak Krakowa jak i całej Galicyi, niż wszystkie razem liberalne ludolubcy — ona miłości swojej dla naszego kraju daleko prawdziwiej dowodzi, niż owi wszyscy panowie, którzy nam się narzucają na mistrzów patryotyzmu, na promotorów dobra społecznego. Jak Francję podobne tylko dusze ratują od następstw okropnej katastrofy i podnoszą ją z ruin moralnych, sprowadzających ruiny polityczne i społeczne, tak i naszej Ojczyźnie, rozdartej przez frankmasonów, a dobijanej przez liberałów, takie tylko działanie w duchu Ewangelii i Kościoła szczęśliwszą dolę przygotować zdoła. Rosya wie o tem, i dla tego to działanie ściga. — Prusy wiedzą o tem i dla tego to działanie usiłują sparaliżować przez wojnę wydaną jednoci katolickiej, na rzecz katolicykości niemieckiej. Dziennikarze bezbożni czyli liberalni także wiedzą o tem, i dla tego z każdej korzystają okoliczności, aby działanie katolickie, choćby jak słońce jasne pod względem swej zacności i pożyteczności dla kraju, zohydzić — aby je w rubrykę agitatorstwa antynarodowego lub nawet antyrządowego zapisywać.

Otóż matka Talbot, jakkolwiek księdza Nuncjusza zaprosiła głównie dla tego, aby poświęcił zbudowany jej staraniem kościół, czuła jednakże, jako prawdziwa córka św. Wincentego a Paulo, że dzieła katolickiego miłosierdzia powinny nosić wybitną cechę katolickiej dla Kościoła miłości, i powinny służyć katolickiej z Kościołem jednoci. Myśl więc o zadosyćczynieniu pod tym względem usposobieniom naszego świata i kraju, mogła nią także powodować. *Czas* krakowski nie przez chęć komplementowania nazwał ją Baudouin'em krakowskim — bo, o ile wiemy, redaktorowie *Czasu* oświadczyli nie znają nawet czeigodnej wizytatorki Szarytek — znają tylko jej działanie, i po swojemu umieją ocenić działania tego piękności, zacności i pożyteczności, nadewszystko jako działania nie jakiegoś filantropicznego lub galikańskiego, ale szczerze i gruntownie katolickiego.

Siedmnastego września wieczorem, na drodze wiodącej ku dworcowi kolei żelaznej, niezwyklej ruch objawiał serdeczne oczekiwania Krakowian na pożądanego gościa. Wprawdzie najpierwsi

śpieszyli tam duchowni, ale za nimi zmierzał też w tym samym kierunku porządny zastęp katolików krakowskich, złożony z prawdziwej intelligencji i ludu. Pewnemu liberalnemu dziennikowi podobano się widzieć w tym zastępie tylko arystokrację — niech i tak będzie, ale to arystokracja w dobrym znaczeniu tego wyrazu, czyli szlachetniejsza część naszej społeczności. Co się tyczy panów, noszących wielkie imiona, wcaleśmy ich tam nie widzieli i nie dziwnego, bo o tej porze panowie nasi zwykle jeszcze przebywają na wsi — ale jesteśmy pewni, że gdyby byli w mieście, toby nie znajdowali dla siebie za rzecz ubliżającą z ludem i księżmi czekać na przedstawiciela papieżkiego Rzymu. Panowie nasi mogą mieć swoje słabości, ale tej, Bogu dzięki, wcale nie mają, którą się odznaczają demagogi i liberały, to jest nienawiści dla stanu duchownego i wzgardy dla biednego ludu. Sanguszkowie, Lubomirscy, Jabłonowscy, Potoccy i wielu innych im podobnych byłiby z pewnością onego wieczoru w dworcu kolei, gdyby byli w Krakowie. Owszem, kochany nasz książę Jerzy, nie mogąc pospieszyć z Przeworska, gdzie go zatrzymywała choroba syna, nieomieszkał przywitać nuncjusza telegramem a podobno i wyrazić swój smutek, że go nie może z ludem krakowskim uczcić osobiście. Co się tyczy intelligencji, cieszyliśmy się widokiem jej przedstawicieli i w mnogim tłumie mieliśmy zaszczyt uściskać dłoń niejednego z tych nawet, którzy są zaszczytem wszechnicy i publicystyki krakowskiej. Nie możemy jednak zataić, my książęta nieliberalni, że rozkoszą serca naszego w ów wieczór była postawa prostego, przedmieściowego ludu. Idąc już około 8mej godziny przez Kleparz, spotykałem się co moment z zapytującymi „czy rzeczywiście pociągiem mającym przybyć z Wiednia poseł papieżki przyjedzie?“ Jeden z wyrobników rzekł do mnie z wyrazem wyrzutu czy żalu: „A czemuż niema illuminacyi? przecież to namiestnik Ojca świętego przyjeżdża. Może się książę boicie tych bezbożników, coby chcieli, żebyśmy z krzywdzicielami Ojca św. jedno trzymali? Jeżeli tak, to źle, boście wy nie dla nich księżmi, którzy podobno są jakiejś nowej niemieckiej religii, tylko dla nas jesteście księżami, a mybyśmy was już nie pozwolili krzywdzić podobnie jak te rozbójniki ukrzywdzili dwa lata temu kochanych naszych Ojców Jezuitów.“ Szło mu o oświecenie szczególnież kościoła św. Floryana, którego się głośno wyznawał wiernym parafianinem. Serce rośnie wobec tego rodzaju objawów polskiej prawowierności. Coby to z tego ludu można zrobić, gdyby wszyscy nasi książęta z ultramontańskim zapałem chcieli dla niego

pracować. Ale niestety! nie prędko się jeszcze otrząśniemy z józefińskich usposobień i obyczajów. Daj Boże tylko, aby nie było za późno, bo co się nie udało w Paryżu internationalistom i komunistom właśnie dla tego, że takie Jacki Loysony już przyszli za późno, aby buntować lud przeciw Kościołowi i religii; co się tam nie udało właśnie dla tego, że duchowieństwo w niezmiernej większości, mimo smutnych przykładów z góry, już jest czysto-rzymskie, toby się w niektórych zwłaszcza naszych miastach udać mogło pod kierunkiem księży-liberałów, szukających w dziennikach antykatolickich obrony przeciw uciskowi doznawanemu od władzy kościelnej, oraz inicjatywy do reformy prawodawstwa kościelnego — jako też za wpływem księży z bogacającymi bezbożne redakcyje swemi kontrabucyami.

W sali dworca krakowskiego obok najprzewielebniejszego naszego biskupa, wikaryusza apostolskiego, oczekiwały na przybycie Nuncyusza władze urzędowe. Miasto urządziło tam nawet kolację. Skoro tylko zasygnalizowano zbliżenie się pociągu, głos dzwonów krakowskich odezwał się wspaniałą swoją muzyką. Wszystkich uderzył dźwięk szczególniejszy dzwonów nigdy przedtem niesłyszanych, dźwięk dziwnie melodyjny i jakby akordem z innego świata w serca płynący. Były to właśnie dzwony pięknej świątyni, dla poświęcenia której przybywał ks. Nuncyusz. Dzwony te godne zaiste głosić chwałę boską łącznie ze starymi dzwonami Krakowa pod przewodnictwem majestatycznego Zygmunta, bo chociaż nie bardzo wielkie rozmiarem, dziwnie jednak donośne, a uderzenia ich silnie akcentowane i artystycznie nastrojone, przypominają owe średniowieczne karyliony brabantkie, tak godnie odpowiadające gotyckim wieżom przez nie zamieszkałym.

Młodsze duchowieństwo zmieszane z ludem, miało pociechę najpierwej przywitać Nuncyusza; wchodzącemu do sali towarzyszył sekretarz nuncyatury wraz z synowcem, także księdzem i przy nuncyaturze pracującym. — Przywitanie z księdzem Gałęckim było bardzo serdeczne. Nuncyusz wyrażał żywe swoje współczucie z powodu niedawnej ciężkiej choroby ks. wikaryusza apostolskiego i powtarzał po łacinie: „ja się modliłem za Ciebie!“ W pośrodku sali przywitał dostojnego gościa p. Szlachtowski, wiceprezydent Rady miejskiej (albowiem dr. Dietl, prezydent, był nieobecnym w Krakowie), oraz p. Strzelecki, wiceprezydent magistratu. Pierwszy z tych panów przemówił do nuncyusza w pięknej łacinie głosem, w którym było czuć głębokie wzruszenie. Dziękował on nuncy-

szowi za powtórne do Krakowa przybycie i zapewniał go, że ludność Krakowa wielce się z tego przybycia cieszy i wierzy w szczęśliwy skutek jego błogosławieństwa, jako ludność całym sercem przywiązana do reprezentowanej przezeń Głowy Kościoła. Pan Szlachtowski jest jednym z najzacniejszych obywateli naszego miasta i używa powszechnego szacunku — a mamy niepłonną nadzieję, że z obywatelskich, patriotycznych, a nadewszystko katolickich jego usposobień, Kraków będzie mógł korzystać na większe niż dotąd rozmiary, skoro tylko nadejdzie chwila, znakomitszej dla niego pozycji. Ksiądz nuncyusz słuchał z wielką uwagą tej mowy i odpowiedział w kilku słowach także po łacinie, „że z wielką dla swego serca pociechą przybywa do Krakowian, znając już dobrze ich serdeczność i katolickie uczucia — oraz że akt konsekracji nowej świątyni w tym starym katolickim grodzie, dla dopełnienia którego przyjechał, będzie zaliczał do najmilszych sercu swojemu czynności.“ Po tych słowach ucałował w twarz pana wiceprezydenta, a nam księżom lubo się na sercu zrobiło.

Za kolację podziękował, ale jej przyjąć nie mógł, będąc mocno drogą zmęczony — a siadłszy do otwartego powozu z księdzem biskupem Gałeckim, udał się do przygotowanego u księży Misyonarzy kleparskich mieszkania. Powóz otoczyła gromada ludu z pochodniami. Nie był to żaden fakelcug na podobieństwo tych jakie się rekrutują dla znakomitości liberalnych, zwłaszcza w duchu liberalizmu wiedeńskiego, ale był to tylko jeden z wolnych, nieułożonych z góry i niekomenderowanych objawów szacunku, miłości i gościnności mieszkańców Kleparza, niezmiernie tem ucieszonych, że ksiądz nuncyusz na Kleparzu mieszkać i kościół poświęcać będzie. *Kraj* nie mógł wytrzymać, żeby z tej akcji nie uderzyć w OO. Jezuitów, że niby Jezuitci z chłopakami pochodnie około karety nieśli. Zapewnie, że gdyby wypadło czy to Jezuitom, czy innym duchownym krakowskim pochodnie nosić, to niezawodnie woleliby to czynić z biednym ludem przedmieściowym niż z arystokracją i inteligencją *Kraju*, bo z pierwszymi miałyby to zawsze jakieś rozumne znaczenie, kiedy z drugimi mogłyby mieć tylko znaczenie negacyi i agitatorstwa. Pochodnie niesione około powozu mniej wyglądały świetnie niż fakelcug 8 maja b. r. — ale w każdym razie wypowiadały one miłość Kościoła, wypowiadały uczucia, jakimi żył Kraków i Kleparz, gdy proboszczami kleparskimi bywali Mikołaje Trąby, Zbigniewy Oleśniccy, Sokołowscy i t. p. — kiedy tymczasem fakelcug 8 maja wypowiadał wiarę w negację Döllingera

i sympatyje dla nowego tentatora niemieckiego czy pruskiego katolicyzmu.

Kleparz tego roku odświeżył stare, piękne swoje dzieje. Nazywał się niegdyś Florencją już to zapewne z tytułu swego patrona św. Floryana, którego relikwie od siedmiu wieków posiada, ale też pewnie i z powodu kwitnącego niegdyś w tej stolicy stanowiska. W szeregu proboszczów kleparskich znaleźć można imiona wszystkich znakomitości Kościoła w Polsce — ztąd zwykle szli oni na tron biskupów krakowskich lub arcybiskupów gnieźnieńskich. Aż do czasów Stefana Batorego na proboszczów kleparskich prezentowali królowie polscy; — ostatni z tak prezentowanych Petrus Posnaniensis był nawet znakomitością w świecie uczonym medycznym, i podobno jednym z lekarzy króla Zygmunta Augusta. Król Stefan, chcąc Kleparzowi zapewnić co najzacniejszych i najuczeńszych kapłanów, i prawo prezentowania darował akademii krakowskiej, a pierwszym z tak prezentowanych był Stanisław Sokołowski, jedna z najświetniejszych ilustracyj Kościoła katolickiego w Polsce, a pod względem uczuć taki sam gorący ultramontanin i obrońca jedności najściślejszej z Rzymem, jak był jego poprzednik, Zbigniew Oleśnicki. Mowy Sokołowskiego o Kościele mogą stać na równi z mowami takich Ojców jak św. Leon W. lub Grzegorz W. i pod względem nauki i pod względem wymowy i pod względem rzymskości. To jednak za onych czasów, kiedy także nie brakowało liberalnych księży, takich np. Orzechowskich i Uchańskich, nie tylko to nie było powodem do podejrzewania uczuć obywatelskich i patriotycznych, ale owszem, było dla nich mocnym świadectwem. I król Stefan i akademia kochali tego ultramontanina i radzi go wywyższali. Nie mówiny tego *pro domo sua*, bo jako ultramontanie, umiając czcić hierarchiczne wysokości, wiemy że nie różami są zasłane ale cierniami są dziś najeżone — i już nie z tytułu uczucia skromności, ale z pewnego uczucia osobistego konserwatyzmu radzi jesteśmy niskim naszym progom — przecież dobrze nam jest przypomnieć sobie, że jednak Kościół w Polsce nie był bynajmniej podług miary i kroju dölingeryańskiego, jak p. Kraszewski i jemu podobni chcą w nas gwałtem wmówić — ale że był zawsze rzymski, zawsze ultramontański w prawdziwych swych reprezentantach.

Kleparz za swój ultramontanizm stał się szczególnym przedmiotem niełaskawości naszych panów liberałów. Co moment, zwłaszcza od 12 maja b. r. występują oni z denuncjacjami jakichś

zdrożności kleparskich. Kleparz według nich, to kraina ciemności, barbarzyństwa, niemoralności, dzikości itp. Za to dla nas ultramontanów poczyna on być na nowo Florencją, odkąd zwłaszcza zamieszkały go Siostry Miłosierdzia. Otoż kiedy Wiktor Emanuel z Florencyi robi przejażdżki do zagrabionego wielkiego Rzymu na pociechę liberałów całego świata — my ultramontanie cieszymy się też, że reprezentant Rzymu papieżkiego przybywa do ubogiej naszej Florencyi.

Długo przed domem księży Misyjonarzy, w którym zamieszkał Nuncyusz, tłumy ludu zalegały ulicę, a okrzyki: „Niech żyje Papież!“ „Niech żyje Nuncyusz Apostolski!“ rozlegały się coraz głośniej i nie ustawały, póki ksiądz Falcinelli nie zbliżył się do okna. Wtenczas okrzyki zmieniły się na prośbę o błogosławieństwo, które też zaraz, otwartszy okno, z widocznym wzruszeniem udzielił.

Nazajutrz, zaraz po mszy świętej, ks. Nuncyusz zeszedł do obszernej i pięknie przystrojonej dolnej sali, gdzie przyjmował korporacje duchowne, oraz reprezentantów rządu. To było w tem wszystkim najpiękniejsze, że każdy przybywał z popędu własnego serca, z uczucia szacunku i miłości dla przedstawiciela Stolicy św. Nie było żadnego urzędowego zawiadomienia lub wezwania, ale można powiedzieć, że w ciągu pół godziny sala zapełniła się duchowieństwem. Gospodarz domu, przełożony księży Misyjonarzy przedstawiał każdego osobno a Nuncyusz też każdemu miał coś do powiedzenia, jakby był wśród swoich najlepszych znajomych i przyjaciół. Chciałbym, żeby to był widział ów mizerny kapłan *Dzien. Polskiego*, oskarżający jakby o jaki grzech Matkę Talbot, że przez jakiegoś obcego biskupa chciała mieć swój kościół poświęcony. Jużć dla niego ks. Nuncyusz byłby tylko obcym człowiekiem, jako dla księdza, który się stał nie tylko obcym ale nieprzyjaznym dla Kościoła.

Gdy się ks. Nuncyusz zbliżył do prowincyała OO. Jezuitów, zaraz żywo zapytał: A Baworowski jest w Krakowie? Ks. Baworowski właśnie stał przy prowincyale i sam się pokornie przedstawił. Kochany ten i powszechnie u nas w Krakowie wielbiony staruszek nie był znany osobiście Nuncyuszowi — ale mu był znany z smutnej historii napadu na dom OO. Jezuitów w epoce wojny wytoczonej przez liberałów biednym Karmelitankom o waryatkę Barbarę Ubryk. Cokolwiek gdziekolwiek się stanie, chociaż o tem nigdy Jezuici nie słyszeli, zawsze muszą być winni w oczach tych protektorów sprawiedliwości i uciśnionej ludzkości. Ale też za to OO.

Jezuici rosną w miłość u prawdziwych Krakowian i prawdziwej inteligencji. Ks. Nuncyusz pamiętał, że w ową noc niesławną, kiedy napadano klasztor Karmelitanek i dom Jezuitów, któryś z bohaterów, ubrany niby z polska, wpadłszy do celi, w której się modlił świątobliwy kapłan, uderzył go grubą laską przez głowę i zranił. Nie wiem, czy dziki Tatarzyn poważiłby się na coś podobnego względem starca siedmdziesięcioletniego z okładem — starca, który nigdy nikomu nic złego nie uczynił, a który znany jest z szczególniejszej dobroci swego serca. Otóż z tytułu tego wypadku Nuncyusz pytał się o niego i przyciskał go potem do serca jako kapłana, który dla wierności swemu czcigodnemu stanowi cierpiał i o mało nie zginął jako godny syn Kościoła. Było to dla nas wszystkich zadośćuczynieniem sowitem za boleść, jakiej doświadczyliśmy niedawno temu, wycytując w *Dzienniku Polskim* kłamstwa i potwarze, posługujące się sztucznem zestawieniem nazwiska tego kapłana z inną nazwą, będącą przedmiotem szacunku dla całego naszego kraju. Co najsmutniejsze, że te brzydactwa zostały napisane w obronie zakonnicy, która gwałtem chciała sobie zyskać sławę Barbary Ubryk, a Zgromadzeniu swemu koniecznieby chciała podobną przygotować historję, jak ta, przez jaką przeszły Karmelitanki. Naturalnie, że wobec prasy antykatolickiej to wystarczy za najświetniejszą kwalifikacyę ku zyskaniu dyplomu znakomitości. Winszuję tej pani takiego zaszczytu.

Wśród zakonników uderzał wszystkich swoją fizyonomią Dominikanin dziwnie pięknej postaci, z twarzą pełną wyrazu. Był to O. Franciszek Lasplanes, Francuz, liczący około 50 lat, uczeń i przyjaciel od serca śp. O. Lacordair'a. Ojciec Franciszek należy do prawdziwych znakomitości swego zakonu. Znany jest w Rzymie z szlachetnego swego serca, albowiem będąc przed wzięciem sukienki bogatym panem (hrabią), majątkiem swoim służył za narzędzie Opatrzności względem wielu ubogich. W Wiedniu znany też jest z swej znakomitej wymowy, nadzwyczajnie przypominającej Lacordair'a. Przez kilka wielkich postów mówił on tam kazania do licznie zebranej w kościele św. Anny kolonii francuzkiej, jako też i miejscowej inteligencji katolickiej. Tubyśmy go radzi słyszeli, ale się boimy krzyków i kłatw ze strony Towarzystwa wolności i miłości, a więcej jeszcze lękalibyśmy się o samego kaznodzieję; pamięta bowiem jeszcze Kraków, jak partya liberalna straszny krzyk podniosła lat temu kilka, gdy ks. Soubielle miał uproszony przez Stowarzyszenie św. Wincentego pań naukę po francuzku w kościele

Pijarów. Podobno go nawet chcieli za tę herezyę ukamienować i to wszystko w imię patryotyzmu i oświaty.

Ksiądz Nuncyusz cieszył się, spotkawszy w przedstawiającem mu się gronie swego dobrego znajomego — to jest właśnie Ojca Franciszka, jak równie swego współrodaka, przeora Kamedułów z Bielán, Ojca Crispolti. Zaraz po duchowieństwie odwiedził Nuncyusza p. Delegat Namiestnictwa i p. Englisch. Następnie wzięwszy jednego z kapłanów pod rękę, wyszedł z nim do ogrodu, gdzie wynurzał wielkie swe zadowolenie z pierwszego w Krakowie przyjęcia. Zatrzymawszy się przed piękną statua św. Józefa, rzekł głęboko wzruszony: „Prośmy gorąco tego wielkiego protektora Kościoła, aby pośpieszył z ratunkiem, bo wierzajecie, że ciężka jest dola Piusa IX. Wielkie to serce umie godnie cierpieć cierpieniem całego Kościoła, oblicze jego nigdy się nie zachmurza, bo dusza jego jak niebo pogodna — ale my wiemy ile on ma do wycierpienia! I gdy to mówił, łzami mu zasłyły oczy; wtem zbliżył się nasz nieoceniony Opat Słotwiński i zaproponował przejażdżkę na Bielany. Ojciec Crispolti ze swym towarzyszem wyprzedził nas, aby przygotować swe Zgromadzenie na przyjęcie takiego gościa, a w godzinę potem już byliśmy na Bielánach, gdzieśmy u wejścia spotkali szereg zakonników, jakby zastęp białych duchów. Czcigodnego Ojca Ożarowskiego jużeśmy mu tylko celkę i grób pokazali.

Z kimkolwiek byłbym na Bielánach, choćby i z samym Piussem IX (gdyby to szczęście było możebne), nie mógłbym pierwszej mojej tutaj myśli nie zająć wspomnieniem o tej pięknej duszy, która ten erem napełniła zapachem ewangelicznej doskonałości. Ojciec Ożarowski wszędzie się tutaj przypomina tym, którzy go bliżej znali i choć przez godzinkę mieli szczęście z nim pomówić. Czy domek zamieszkały przezeń lat kilka, czy ogródek ręką jego uprawiany, czy ów wspaniały chór, w którym z braćmi dzień i noc się modlił, czy tak zwana *forastiera*, gdzie z przybywającymi doń przyjaciółmi za pozwoleniem przeora rozmawiał, czy nareszcie w podziemiach, gdzie wraz ze zwłokami dawniejszych ojców od dwóch wieków składanemi, zwłoki jego przy zimowym chórze spoczywają, ojciec Piotr Damian (takie bowiem było jego imię zakonne) wszędzie jak żywo przytomny. To nie samo tylko wspomnienie. To woń cnót jego ożywiająca tu każdy zakątek — to zresztą ta modlitwa, która na ziemi była jego najświętszą potrzebą i pociechą, a która teraz w niebie jest jego rozkoszą! Pamiętam jak mawiał do przybywających tu ze świata osób świeckich i duchownych: „Naród nasz

może ani przeczuwa, jakim ten erem jest dla niego skarbem. Póki takie przybytki istnieją w ojczyźnie naszej ziemskiej, ona mimo wszystkich pokus dzisiejszej epoki zostaje w żywotnem zjednoczeniu z ojczyzną naszą niebieską. Polska nieustannie modli się tutaj, podczas gdy przez swych obywateli na świecie w pocie czoła i we łzach dla swojej upragnionej lepszej doli pracuje. Wolski, który tego eremu jest fundatorem i dobroczyńcą, dobrze się swojej ojczyźnie zasłużył; patryotyzm jego katolicki działa tutaj — jak patryotyzm Chrobrych działał przez wieki w pustelniach benedyktyńskich, bo modlitwa eremu wielkiem jest działaniem. Polak, czy Włoch, czy Niemiec narodowością, modli się tutaj, zawsze ta modlitwa jest własnością i zasługą Polski, bo polskie serce Bóg natchnął myślą wzniesienia tego przybytku i przez wiarę Polaka oraz jego szczodrobliwosć tę myśl skutecznił.“

Nie ja sam pamiętam tego rodzaju myśli, wyszłe z gorącej i młodzieńczej zawsze duszy pochylonego staruszka. Są dwaj inni kapłani świeccy, którzy częściej go widywali i mogliby dużo więcej drogich pereł zebranych w rozmowie z ojcem Ożarowskim a zachowanych pewnie we wdzięcznej pamięci przenieść w skarbnicę pamięci pobożnej naszej społeczności. Gdyby hrabia Ludwik Dębicki który w swych biografjach zmarłych znakomitości krakowskiego towarzystwa tak jest niepospolitym malarzem, tak umie artystycznie a razem wiernie uwydatnić ich charakter, oraz natchnąć życiem zawartem w ich pięknych czynach, nakreślone przez się ich portrety, gdyby on był choć raz rozmawiał z ks. Ożarowskim w białąskim eremie, to z pewnością skreślony przezeń żywot tego kapłana (za który mu bardzo wdzięczni jesteśmy), byłby niezmiernie wiele na tem zyskał. Ojciec Ożarowski nie myśląc o tem, w każdym swoim słowie duszę swą malował. On należeć będzie zarówno do najpiękniejszych ozdób tej żytomierskiej kapituły, której był prałatem, jak i do najwdzięczniejszych duchownych kwiatów eremu, który zamieszkiwał. Jako prałat, w szczęśliwszych okolicznościach naszego kościoła, byłby on przez swoją słodycz i siłę, przez swą gorliwość i rzymskiego ducha, naszym Franciszkiem Salezym. Gorliwość o nawrócenie dusz nie odstępowała go i w eremie — dogadzał jej apostołstwem modlitwy i umartwieniem oraz listami pisywanemi do tych, w których duszy chciał iskrę wiary rozdmuchać. Z tą gorliwością łączyła się gruntowna znajomość nauki teologicznej a nawet i innych umiejętności. Był on przekonany, że szczególniejszej umiejętności ściśle, jak matematyka, zdolneby były każdy umysł szczery

i należycie niemi rozjaśniony zwrócić do źródła wielkiej prawdy i wiedzy. Ztąd obok zamiłowania do dzieł takich mówców jak Mas-sy-lion, łączący siłę uczucia i żelazną loikę — podobał sobie w dzie-łach Paskala i Kartezjusza, tych wielkich filozofów chrześcijańskich. A przecież patrząc na jego postać pokorną, niktby się nie mógł domyśleć o jego dawnym stanowisku oraz o jego nauce. Jedno tylko było w nim zawsze widoczne, to jest kapłan ewangeliczny, jakby urodzony misyonarz. Ztąd wielka miłość dla zgromadzenia księży Misyonarzy równie jak dla zgromadzenia Szarytek. Gdyby go, jak niegdyś św. Hieronima, nie ciągnęła swoim wymownem mil-czeniem pustynia, to wśród misyonarzy byłby umiał przypomnieć wielką postać św. Wincentego à Paulo. W eremie kamedulskim, z-kąd pragnął pójść do nieba, siedmdziesięcioletni nowicyusz był dla młodziutkich swych towarzyszków wielkim przykładem wszelkich cnót zakonnych — był pomocnikiem swego ukochanego magistra. W pięknym sercu ojca przeora (Crispolti), do którego tak jest błogo każdemu zwiedzającemu erem zbliżyć się, ojciec Ożarowski znalazł najtkliwszego przyjaciela. *Amicitia pares invenit!* — Gdyby to były inne czasy, czasy Tebaidy, to jeden z tych przyjaciół byłby Pawłem pustelnikiem a drugi Antonim.

Czytelnicy wybaczą mi to zboczenie. Na Bielanach księdzu nuncyuszowi mieliśmy wiele do powiedzenia o wierze naszych przod-ków, ale wskazując na te postacie, nie mogliśmy pominąć przybyłej do ich zastępu w czasie ubiegłej zimy. Przy Mikołaju Wolskim w jego poważnym czarnym stroju, pięknie jest białemu starszuskowi, który myśl i uczucie dobroczyńcy swego eremu tak żywo przejął, tak wyrozumiale umiał innym wyrazić. Ksiądz Macini, sekretarz nuncyusza, kanonik z Viterbo, jeden z tych wyższych umysłów, których nigdy niebrak w dyplomacyi kościelnej, był szczególnie-j zajęty portretem Wolskiego, zawieszonym wewnątrz nad bramą ko-ścioła. Z racyi tego portretu zawiązała się potem zajmująca rozmowa o czasach Stefana Batorego, Zygmunta III i Jana Kazimierza. Hi-storyczne te nasze postacie wcale mu nie były obce i rad był wspól-ności pojęć o owej epoce, z jaką się spotkał w swym interlokutorze. „Z takimi królami, rzekł on w końcu, jak był wasz Stefan i Zy-gmunt III, Polska mogła była stanąć na szczycie najwyższej potęgi wśród wszystkich mocarstw europejskich. Sama epoka Jana Kazi-mierza wielka jest swemi nieszczęściami. Odtąd lzy nie osychają na obliczu waszej ojczyzny, ale o narodzie waszym i dzisiaj można powiedzieć ze względu na ducha i cierpienia waszej ojczyzny, co

niegdyś wyrzekł pewien biskup do ś. Moniki, że dziecko łez tyłu, zginać nie może. Wam cierpienia wiekowe podobno się kończą. Pięknie wam, że wśród ruin nie waszą wcale zrzędzoną ręką, na waszej ziemi jeszcze się zachowały w całej żywotności takie instytucje jak bielański erem. Nasza Italia dopiero wstąpiła na drogę bólów, którą wy kończycie, a już jest wszystko w ruinie. Najboleśniej, że ją ręce własnych synów odzierają z tysiącletnich skarbów i ranią jej serce, bo sercem Italii jest Papieżstwo.“

Powróciwszy z Bielan, zastaliśmy naszych gości w domu księży Misyonarzy kleparskich; byli nimi czterej poważni kapłani, to jest dwaj asystenci ojca generała Etienne, ksiądz Stella Włoch, i drugi Kolończyk, oraz dwóch prałatów misyonarzy, ks. Gawroński z Polski pod rządem pruskim i ukochany przez wdzięcznych Krakowian ks. Kiedłowski ze Lwowa. Błogo widzieć, jak mimo wszystkich przemian politycznych, mimo wszystkich wyradzających się z przejść wojennych antypatj narodowych — w boskim naszym kościele schodzą się zawsze w jedność miłości ludzie najprzeciwiejszych sobie narodów. Polak, Niemiec, Francuz i Włoch, misyonarze, powiedziałbyś, że to dzieci jednej ojczyzny. A nie jest to jakiś kosmopolityzm, ale jest to dalszy ciąg historii apostołskiego wieczernika. Przy zachowaniu wszystkich odrębności narodowych, przy uszanowaniu wzajemnych różnych przymiotów, w tem zjednoczeniu, które tworzy duch ewangelii i kościoła, uczucie patryotyzmu nietylko nie słabnie, ale się potęguje. Kosmopolityzm jest tylko płodem doktryn antyspółecznych, a razem antykatolickich, które, aby coś wytworzyć, umieją tylko burzyć i niszczyć. Ewangelia i kościół katolicki, wytwarzając boską jedność wpośród ludzi, nietylko nic z tego nie osłabi, co pod wpływ swego działania zagarnia, ale owszem wszystko pielegnuje i wzmacnia. Zład cała zaciekość socyalistów przeciw kościołowi.

W sobotę, to jest 19 września ks. Nuncyusz wizytował kleparski dom Sióstr miłosierdzia. W sali bardzo gustownie przybranej był przygotowany tron. Główną ozdobą tej sali był portret ś. p. ks. biskupa Łętowskiego, fundatora i dobroczyńcy Szarytek. Sala była napełniona Siostrami zgromadzonemi w wielkiej liczbie, oraz przybyłymi z księdzem Nuncyuszem duchownymi. Gdy się wszyscy usadowili, ks. Soubielle, przełożony misyonarzy kleparskich, w słowach pełnych uczucia składał Nuncyuszowi w imieniu obu Zgromadzeń dzięki, że raczył przybyć dla konsekracji ich kościoła, potem w tej samj mowie przedstawiał mu matkę Talbot z całym jej zgromadze-

niem i seminaryum Szarytek Na pierwszym miejscu wspomniał o siostrach Litwinkach i z zabranych prowincyj polskich, stanowiących dość liczne grono Są to same już staruszki, które stargawszy swe siły fizyczne w usługach pięknego swojego stanu, do wszystkich ofiar jedną jeszcze pod wieczór tego życia dodać musiały ofiarę, jedną z najboleśniejzych, to jest ofiarę opuszczenia na zawsze drogich sobie stron. Rząd rosyjski uznał za rzecz stosowną i uczciwą wygnać te wiekowe zakonnice zasłużone kościołowi i krajowi kilkudziesięcioletniem nieprzerwanem poświęceniem dla ubogich, dla sierót i dla chorych. Padły one ofiarą gospodarstwa Murawiewa i godnych jego naśladowców na Podolu i Wołyniu Ks. Soubielle mówił Nuncyuszowi o nich ze łzami w oczach, „że są największem błogosławieństwem tego domu, bo z zasługą cierpienia dla boskiej sprawy wniosły przykłady wszystkich cnót prawdziwych córek św. Wincentego à Paulo.“ Słowa te były powiedziane bardzo prosto ale rozrzewnienie niemi sprawione było tak powszechne, że trzeba było tłumić wyrwyjące się z piersi łkanie.

Nuncyusz na mowę przełożonego odpowiedział po francuzku. Dziękował matce Talbot za trudy i poświęcenie, z jaką, chociaż na obcej ziemi, nie wśród obcych jednak, ani na obcej pracowała i pracuje niwie. Wyrażał swą radość, że dokonane przez nią dzieło wzniesienia nowej świątyni w mieście słynnem z tradycyj katolickich będzie miał sposobność uwieńczyć przez akt konsekuracyjny. Mówił potem o wielkiem w kościele i ojczyźnie powołaniu kobiety, zwłaszcza też szarytki. „Kiedy byłem biskupem w Forli, rzekł on, jedną z najsilniejszych podpór w mojem działaniu pasterskiem były siostry miłosierdzia. Gdy z rozkazu rządu Ojca św. musiałem opuścić moją dyecezyę, aby zająć stanowisko nuncyusza w Brazylii, wśród towarzyszących mi osób w tę daleką podróż, były także i siostry miłosierdzia. Gdzie tylko kościół nasz boski sięgnie swoją ręką, wszędzie grunt pod apostołskie działanie przygotowuje mu poświęcenie jego najwierniejszych dzieci — w tem zaś poświęceniu córki św. Wincentego à Paulo mają swoją piękną część. Dziś, kiedy ten kościół cierpi, gdy jego najwyższą głowę w imię racjonalizmu i patryotyzmu i w inne podobne szacowne imiona najniegodziwiej nadużyte, wieńczą cierniem nieprzyjaciele sprawy bożej, niweczą jej wolność, godzą na jej życie — rzecz słuszna, że podwajacie wasze prace i poświęcenia. My tutaj dzisiaj wielką pociechę mamy napełnione serca — ale Papież?! ale Papież!“

Więcej mówić nie mógł, boleść mu nie dozwalała, szanowne swoje oblicze zasłaniał dłońmi i trwało przez chwilę uroczyste milczenie. To gwałtowne przerwanie mowy, która co dopiero z tak dziwną łatwością płynęła, było bardzo do zrozumienia w pośle papieżkim i w gorliwym biskupie — w sercach zaś słuchających sprawiło wielkie wzruszenie.

Zszedłszy z tronu, Nuncyusz skierował się zaraz ku Siostrom wygnankom. Świętobliwe te staruszki całowały mu ręce i stopy, a dobrocią jego ośmielone rozповідаły mu po polsku (zapomniawszy, że mówią z Włochem tej mowy nierozumiejącym), jak są uszczęśliwione, że pod tak dobrą matką, otoczone jej miłością i staraniem mogą kończyć swe życie. Opowiadały, jak im jest dobrze, jak matka Talbot do zbytku dla nich jest dobra — że je pieści jak dzieci — i że Bóg sownie je pocieszył w boleści wygnania, taką dając przełożoną itd. Ks. Nuncyusz słów nierozumiejący, ale domyślający się z powtarzającej się nazwy „Talbot“ co mówiły, powtarzał błogosławiąc je: *Si, si, buona Madre! ma voi povere vittime! et possibile tanta crudele tirania!* (Tak, tak, dobra matka! ale wy biedne ofiary! Czy podobieństwo, żeby do tego stopnia posunąć okrucieństwo tyranii!) A obróciwszy się do jednego z kapłanów najbliższej siebie stojącego, rzekł z wyrazem oburzenia: „Jakież oni muszą mieć serce, żeby nawet takim starowinom, tak zasłużonym, nie pozwolić umrzeć we własnym zakątku!“

Ah! my serc podobnych znamy wierne kopie i wśród naszych liberalów! Katkowsy, Murawiewy i Czerkascy i wszystkie im podobne figury, nieubłagane wrogi katolicyzmu, posuwający swoją nienawiść do deptania najświętszych uczuć ludzkiego serca, nie są wśród naszych wolnolubców, wielkim rarytasem. Coby dał taki rząd *Dziennika Polskiego*, żeby się mógł podobnie ułatwić z szarytkami galicyjskimi, z Jezuitami i ultramontanami, jak wspomniani przywódcy w dziele zagłady wszystkiego, co wyszło z katolicyzmu, ułatwili się z biskupami i księżmi, z zakonnikami i zakonnicami. U niego ci tylko księża znaleźliby łaskę, którzy z jego nory redakcyjnej plwają na kościół i tym sposobem uciszają gorzkie wyrzuty sumienia, idące za każdą zdradą, a cóż dopiero za taką, jak zdrada kościoła! U niego tylko takie zakonnice znajdują uznanie i protekcję, które miały dość odwagi przeciw własnemu zgromadzeniu wywołać wojnę, i podać ręce przez brudne intrygi tym, którzy tylko czyhają na każdą sposobność walczenia przeciw kościołowi! Czyliż ten *Dziennik* nie pocieszał się co dopiero postępowaniem takiego

judasza z XVI wieku, jak był Fra Paolo Sarpi! czyliż się nie napawał godną siebie rozkoszą, wspominając wygnania, dyby i tortury używane przeciw duchownym przez tyranów rzeczypospolitej weneckiej, podszuczowanych przez owego Sarpi, a dopuszczających się okrucieństw, wobec których bledną nawet historie okrucieństw Murawiewa!

Z sali wspomnianej Nuncyusz z całym towarzystwem udał się za matką Talbot do górnych mieszkań. Najprzód był w części wyłącznie zamieszkałej przez wszystkie staruszki wygnanki. Wszystko tu z największą starannością urządzone i wyrachowane na wygodę osób podeszłych i słabych. Okna wychodzą na południe, izby obszerne i przed wszelkimi przeciągami zasłonięte, kapliczka osobna dla tych, któreby nie mogły iść do kościoła, chociaż i w kościele mogłyby być, nie schodząc, bo z pierwszego piętra urządzone jest wejście na wspaniałą galerię kościelną. Z mieszkania sióstr emerytek poprowadzono nuncyusza do wielkiej sali uroczystej przybranej, w której na czcigodnego Gościa czekało kilkaset zgromadzonych dziewcząt wychowujących się pod kierunkiem Sióstr. Jedna z doroślejszych dziewczynek przemówiła w imieniu swych koleżanek po francuzku, a Nuncyusz polecił zaraz matce Talbot, aby odpowiedziała po polsku, zachęcając dziewczynki do pobożności i pracy, oraz do modlitwy za Ojca świętego. Matka Talbot nadspodziewanie i z podziwieniem wszystkich mówiła płynnie i gramatycznie po polsku, z zachowaniem nawet akcentu, którego zmiana najtrudniejszą bywa dla Francuzów. Gdyby nie jedyna trudność w wymawianiu naszego *i*, można było myśleć, że to mówi rodowita Polka. Polszczyzna ta była dużo czystsza niż owego obrońcy polonizmu w szpaltach *Dziennika Polskiego* powstającego przeciw konsekracji przez biskupa Włocha.

Uderzającą była wesołość dziewczynek bardzo dobrze ułożonych, zwłaszcza wesołość i stanowczość, z jaką odpowiadały na pytania matki wizytatorki: „Czy będą dobrze pamiętać na powtórzone im słowa ks. Nuncyusza? czy mu będą wdzięczne w swoich modlitwach za to, że do nas przybył? czy kochają Ojca św., itp.“ Szkoły szarytek odznaczają się pełnością życia w pracach tak umysłowych, jak ręcznych, jak i w samychże praktykach religijnych, oraz w rekreacjach. Pamiętam, jak dyrektor tutejszego naukowego okręgu, p. H. Sereżyński, prezydując na ostatnich w szkole Szarytek egzaminach, wyrażał nie tylko swe zadowolenie, ale nawet

uwielbienie. Oby mu to tylko dało przekonanie, że i klasztorne szkoły coś także wazą na szali oświaty niewiast, i że duch dzisiejszego liberalizmu nie koniecznie jest w osobie zakonnej świadectwem a tem mniej warunkiem istotnych kwalifikacyj nauczycielskich.

Osobno przedstawiano Nuncyuszowi szkołę dziewczynek miejscowych czyli mieszkających w zakładzie, szkołę seminarystek oraz szkołę ochronki. W tej ostatniej w kształcie amfiteatru urządzonej, dzieci obojej płci aż do siedmiu lat, licznie zgromadzone, wesołym śpiewem przyjęły Nuncyusza, potem wystąpił jeden z chłopczyków pięcioletni i śmiało, dobitnie z wyborną deklamacją przemówił w imieniu ochrony. Ile razy wspomniał te wyrazy: Wasza Excelencya, z taką gracyą się kłaniał, że to wszystkich w najweselszy humor wprawilo. Nuncyusz ucałował chłopczyka i przez chwilę bawił się z nim posadziwszy go na podółku. Zwiedzał jeszcze potem mieszkania, sypialnie, refektarz, nawet kuchnię — a wszędzie unosił się nad wzorową czystością i doskonałym urządzeniem. W pokoju wizytatorki spostrzegł na stole wspaniałą urnę srebrną pod kloszem; — na zapytanie, coby ta urna znaczyła, Matka Talbot odpowiedziała: „mieści ona nasz najdroższy skarb, to jest, serce śp. biskupa Łętowskiego, to prawdziwie biskupie serce, które Bóg natchnął myślą dla naszego Zgromadzenia tak dobroczynną.“ Urna ta ma być umieszczona w niszy kościelnej po prawej stronie wielkiego ołtarza — w podziemiach zaś bardzo pięknie zbudowanych ma wkrótce stanąć sarkofag, do którego będą przeniesione z grobów wawelskich zwłoki czcigodnego fundatora.

Jeszcze potem odwiedzał Nuncyusz salę ubogich przychodnich z miasta — oraz salę operacyjną, gdzie Siostry codziennie ubogich cierpiących i kaleków z całą troskliwością opatrują.

Po odbytej wizycie w domu Szarytek, ks. Nuncyusz oświadczył się z gotowością zwiedzenia kościoła parafialnego św. Floryana. Zaledwie uderzono w dzwony tego kościoła, lud pobożny w okamgnieniu bardzo się licznie zgromadził. Dzieci ze szkoły parafialnej odśpiewały jedną z naszych pięknych pieśni do Najświętszej Panny, poczem Nuncyusz wstawszy od modlitwy udzielił z przed wielkiego ołtarza błogosławieństwo i oglądał szczegóły świątyni. Uderzyła go umieszczona w wielkim ołtarzu statua biała Najświętszej Panny z dzieciątkiem Jezus. *Caro mio*, rzekł do administratora parafii, *non ho veduto mai la Madonna colla spada*. Zdawało mu się bowiem, że Najświętsza Panna trzyma miecz w ręku, a gdy mu wy-

tłumaczono, że to jest berło, nie miecz, odrzekł: „Prawda, wy Polacy złożyliście u jej stóp wasze królestwo; miejcie nadzieję w jej sercu!”

Wychodząc z kościoła, ledwie że się mógł przecisnąć przez tłum ludu, który mu się rzucał do rąk i do nóg, a gdy księża otaczający go wołali na lud, aby zrobiono miejsce, a Nuncyusz z uśmiechem mówił: „dajcie im pokój, wszakże mi się nigdzie nie śpieszy, a oznaki takiej, jak ta, pobożności, choć troszkę zmęczą fizycznie, ale serce pokrzepią.“ Potem powtarzał: „kochany lud! kochany lud, mamy jeszcze grunt pod sobą, kiedy mamy taki lud. To mi przypomina lud Morawii, gdzie pierwszy kościół poświęcałem. Sławianie, to lud serca, lud wiary.“

Popołudniu w sobotę rozpoczął się akt konsekracji jak zwykle od opieczętowania relikwii śś. Męczenników i umieszczenia ich pod namiotem. Licznie zebrane duchowieństwo odmawiało chórem wraz z czcigodnym konsekrantem nieszpory i jutrznię. Pięknie przy tym obrzędzie wypadły pacierze, bo właśnie o Matce Boskiej Bolesnej, Królowej Męczenników. Nazajutrz rano Kleparz był wypełniony ludem krakowskim z wielu stron miasta na uroczystość konsekracji śpieszącym. O godzinie 8 odezwały się dzwony obu świątyń i Nuncyusz otoczony licznym duchowieństwem przystąpił do tej wspaniałej i pracowitej czynności. Kto z przytomnych widział przy funkcjach religijnych Piusa IX, temu się żywo przypominał ów majestat rzymskiej powagi połączony z ewangeliczną prostotą, z jakim Ojciec święty każdą z tych funkcji spełnia. Ks. Nuncyusz tak go żywo i w głosie i w ruchach przypomina, że mimo wielkiej różnicy fizynomii zdawał się wszystkim bardzo podobnym do papieża. Ceremonia trwała od 8. do wpół do drugiej, każda jej część była wykonaną z pewną starannością i wytwornością świadczących o głębokiem przejęciu się konsekranta ważnością tego aktu. Kreślenie pastorałem liter łacińskich i greckich symbolizujących zjednoczenie wszelkich szczepów i narodów w kościele Chrystusowym żywo przywodziło na pamięć różnicę pod tym względem w działaniu świeckiej polityki i w działaniu kościoła. Wielkie monarchie, chłonąc w sobie ludy rozmaitej mowy i charakteru, raczej wszystkich zbliżają w jedną masę, niż jednoczą — a zacierając i niszcząc różnicę mowy i charakteru ludów wciągniętych w swe aglomeraty, tworzą sobie nieprzyjaciół albo niewolników. Kościół przeciwnie, uwzględniając i szanując wszystkie naturalne różnice i odcienia, stara się raczej ożywić wszystkich duchem tej miłości, która go zawsze napełnia. Ten

sam pastorał, który oznacza władzę i rząd Chrystusowy, kreśli też przy konsekracyi litery dwóch najodrębniejszych i najstarszych szczepów ucywilizowanego świata, to jest romańskiego i greckiego, a tym sposobem wyraża, iż rząd Chrystusowy nad ludami nie tylko strzeże ich praw i własności, ale je owszem uświęca, jakby z popiołów ziemnych życie dla nich wywodzi, a z nich samych jakoby z liter odrębnych przez żywotny i nadnaturalny związek, słowo wspólnego w kościele życia i słowo społecznej chwały Bożej układa. Narody po za kościołem są rzeczywiście jak litery bez związku, kościół z nich tworzy harmonię Bożych dziejów na podobieństwo harmonii gwiazd na niebie, albo raczej na podobieństwo harmonii dusz i duchów z Bogiem w niebie. Ale tę sztukę posiada tylko kościół prawdziwy, kościół rzymski — państwa ziemskie im bardziej mu wierne, tem doskonalej w sobie tę harmonię ludów przedstawiają i to słowo wspólnej pomyślności. ten akord wspólnej chwały, w którym nie tylko lud ludowi nie przeszkadza — ale owszem ludy się wzajemnie rozjaśniają i dopełniają. Dla rządów schyzmatycznych i protestanckich to jest niemożliwe, jak niemożliwe było dla rządów pogańskich. Zdeptać wszystko w martwy popiół i rozbić jedność jednolitych nawet ludów — pobić wszystko żelazną tyranii obręczą, a w chwili zachwiania się swej przemocy i potęgi, puścić wszystko za wichrami burz rewolucyjnych, póki się znowu wszystko ścisnąć nie da — to umięją na nieszczęście świata i na własną przódę czy później zgubę i niesławę. Tyrania i rewolucya to smutna alternatywa takich rządów i takich społeczeństw. To też tyrania i rewolucya chociaż się zdają tak sobie przeciwne, podają sobie ręce i zawsze są gotowe walczyć wspólnie przeciw prawdziwym rządóm prawa Bożego. Włochy dzisiejsze są najsmutniejszym tej prawdy dowodem. I dobrze ktoś napisał, że dwie siły jednoczące a jednakże wraze spotkały się w starym Rzymie. Rzym papieżki jednoczy prawdą i miłością; Rzym rewolucyi i tyranów jednoczy zdradą i gwałtem. Pierwszy jest na podobieństwo apostołów zamkniętych w wieczerniku dla bojaźni Żydów i samą swoją niewolą, samą swą boleścią ciągnie ku sobie serca ludów; układa z nich słowo chwały Bożej, słowo życia. Jak koło wieczernika w Jerozolimie gromadziły się ludy, aby posłyszały mowę wniesioną do serc apostoelskich przez Ducha św., i aby utworzyły jeden rozumiejący się lud Boży — tak do Watykanu w Rzymie ściągają się ludy pociągnięte sympatją dla świętej boleści Ojca chrześcijaństwa i bliska jest może godzina ich wzajemnego porozumienia się na przekór rozrywających te ludy rachub

politycznych i knoń rewołucyjnych. Tymczasem z drugiej strony nieprzyjaciele papieżstwa budują prawdziwą Babel a im głośnieji stawiają hasło jedności, tem się mniej rozumieją. Ostatnie hasło epoki burzenia, to hasło Internacyońałów.

Najwspanialszy jednak ustęp ceremonii konsekuracyjnej, to kiedy każdy biskup po odbyciu powtórnej około świątyni processyi, staje u bramy jeszcze dla ludu zamkniętej i po przedstawieniu w formie uroczystej znaczenia i celu domu Bożego, głos swój zwraca do samejże Bramy. Dreszcz przechodził, kiedy biskup konsekrujący stopniując coraz potężniej głos swój dawał w Imię Pańskie polecenia i rozkazy podwojom jak mają strzedz przybytku pańskiego i otwierać się ludowi chrześciańskiemu. Czytania dekretów Soboru Trydenckiego o nietykalności domów Bożych dopełnił ksiądz przełożony Misyonarzy. Te wyroki, Bogu dzięki, coraz się żywiej przypominają katolikom polskim. Kiedy przed laty trzydziestu rozpościerało się u nas smutne gospodarstwo wywłaszczania Boga z jego własności i burzenia świątyni, które mogły być wieki jeszcze przetrwać, gospodarstwo zamieniania kościołów katolickich na składy, wyspki, zbory i teatra; to dziś na piękne rozpoczęła się epoka budowania i odbudowywania. Ta przemiana usposobień przywodzi do rozpaczki zwolenników burzenia — ale w ludziach po bożemu pragnących odbudowania się społecznego i politycznego, to budowanie i odbudowywanie świątyni, rokuje że jest bliską upragnioną chwila.

Po dokonanej konsekracyi miał pierwszą Mszę świętą celebrować pontyfikalnie z polecenia Nuncyusza opat Kanoników regularnych, ks. Słotwiński, ale że pora była zbyt spóźniona, przeto odprawił tylko mszę cichą, a Nuncyusz ledwie precisnąwszy się z duchowieństwem przez tłumy niezliczonego ludu, wszedł do sali gościnnej i zaraz po śniadaniu przyjmował w tejże sali stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo dobrze ubogim krakowskim zasłużone.

O piątej wieczór u księży Misyonarzy był dany obiad na który sproszono duchowne i rządowe matedory naszego miasta. Tutaj poznaliśmy znakomitego architekta, któremu Kraków zawdzięcza piękne rozmiary i kształty nowo zbudowanej świątyni, to jest pana Pokutyńskiego. Po toastach za zdrowie i pomyślność Ojca św. oraz monarchy Austrii, Nuncyusza i ks. Biskupa miejscowego, najgłośniejszy i najserdeczniejszy był toast dla p. Pokutyńskiego. Wszyscy mu wieszowali dokonania tak pięknego dzieła. Rzeczywiście zbudowany przezeń kościół, jest pierwszym w Krakowie kościołem w stylu

romańskim, przypominającym szczególnie doskonałością swych rozmiarów i linii kościoły kolońskie. Portyk wewnętrzny nad wielką bramą jest prawdziwem arcydziełem. Ale p. Pokutyński dziękując za te, jak się wyraził w swej skromności, zbyt dla siebie pochlebne wyrazy, oświadczył, że jeżeli kościół rzeczywiście jest pięknym i będzie jakąś ozdobą naszego miasta, to dla tego, że Matka Talbot niczego w tym celu nie żałowała — i że jak łożyła wielkie koszta i dokładała nieustannych starań, tak też przyczyniła się niezmiernie swoim wytwornym, artystycznym smakiem.

Na te słowa odpowiedziano toastem: „Niech żyje Matka Talbot i niech wśród nas najdłuższe lata pracuje!“ Transparenta, iluminacye i okrzyki ludu zgromadzonego przed domem księży Misyonarzy i przed kościołem Szarytek, przypomniały nam żywo piękny dzień 16. Czerwca, to jest dzień jubileuszu papieżkiego.

Prawie niepodobna pominąć milczeniem Mszę św. pontyfikalną, którą nazajutrz po konsekracyi Nuncyusz odprawił w kościele nowo poświęconym w asystencyi licznie zebranego duchowieństwa. O ósmej zrana kościół już był przepelniony. Publiczność wiernych krakowskich z każdej sposobności korzystała, aby wyrazić jak dalece pobyt posła papieżkiego był w murach Krakowa pożądanym ¹⁾. Nabożeństwo odbyło się podług ceremoniału rzymskiego — a ów ceremoniał

¹⁾ *Dziennik Polski* nie mogąc zaprzeczyć tych ultramontańskich usposobień Krakowa, przyznaje, że Nuncyusz był dobrze przyjęty przez tutejszych mieszkańców (z 24 września). Dziwna rzecz tylko, iż z tego przyjęcia każe wnosić na przekór przymówkom *Czasu* o dobrych usposobieniach swej redakcyi. Że przymówki *Czasu* o bezwyznaniowych mających wspólność z komuną paryzką, *Dziennik* wziął do siebie *candide ingenueque*, to się łatwo pojmuje, choćby tylko przez pamięć na przysłowie: „uderz w stół a nożyce się odezwą“ — ale że z dobrego usposobienia Krakowian należy wnosić o dobrem usposobieniu *Dziennika*, to nie wiem na mocy jakiego powinowactwa. Rozumielibyśmy, gdyby szło o części Wiednia zamieszkałe przeważnie przez Żydów. Feljetonista *Dziennika* usiłuje nam to wytłumaczyć poklaskiem wybijanym przezeń i przez jego socyuszów „na plecach kilku pijanych Moskali,“ którzy według jego relacyi „pozwalali sobie w swoim języku głośnych a ubliżających uwag“. Gdyby nie ten przymiotnik głośnych, to moglibyśmy domyślać się, że aczkolwiek nikt z Krakowian owych uwag nie dosłyszał, kallabulator jednak *Dziennika Polskiego* brzydzącego się dozorowaniem po szkołach jezuickich jako śpiegostwem, a donoszącego jednocześnie, gdzie się co na obiad gotuje, mogącego na palcach porachować, co kto komu w Galicyi dał, choćby przy najszczelniej zamkniętych drzwiach, mógł owych uwag delikatnem swem uszkiem dosłyszeć — ale domysłu tego pozwolić sobie nie możemy, gdyż, jak feljetonista *Dziennika* donosi swym czytelnikom,

cóż to za cudne połączenie prostoty ze wspaniałością! Trzeba przyznać, że wszystkie nasze tak zwane miejscowe zwyczaje w odprawianiu nabożeństw ściśle kościelnych nadzwyczajnie wiele ujmują tym nabożeństwom owej wymownej piękności, która nieraz potężniej działa na wykształcone nawet umysłowo dusze niż najuczciwsze rozprawy i najwymowniejsze kazania. Któż nie słyszał o potędze wpływu nabożeństw rzymskich na samych nawet protestantów albo niedowiarków? Tymczasem nabożeństwa te same i mogące być z taką samą wystawnością gdzieindziej odprawiane, w miarę jak są w formach swoich miejscowemi zwyczajami przeinaczone, dla samychże wiernych zostają bez należytego wpływu. Im więcej tych miejscowych zwyczajów, tem mniej rzeczywistej racjonalności, tem mniej prostoty, tem mniej majestatu. O ile nabożeństwa ludowe rozmaitością swoją odpowiadającą rozmaitym usposobieniom narodowym świadczą na rzecz prawdy i dzielności katolicyzmu, który każdemu usposobieniu odpowiada i każdem na swoją korzyść posłużyć się umie, o tyle nabożeństwa ściśle kościelne, to jest powszechnem prawem lub powszechnym zwyczajem kościoła przepisane, jednokształtnością swoją razem i katolicyzmu kościoła najwierniej

uwagi te miały być głośne. Za to możemy zaręczyć, że w owem doniesieniu o głośnych i ubliżających uwagach kilku pijanych Moskali, i o wybijanym na ich plecach poklasku przez policję *Dziennika Polskiego* w Krakowie, nie ma ani jednego słowa prawdy. Nikt tu w Krakowie tych uwag głośnych ani tych poklasków nie słyszał — nie miały one wcale miejsca i dopiero z *Dziennika Polskiego* dowiedział się o nich Kraków, zdziwiony nie tem, że o tym fakcie nic nie wiedział — ale raczej tem, że można tak daleko w sferze doniesień o fałszach system inwencyjny praktykować.

Z drugiej strony, kto czyta uważnie ów feljeton *Dziennika* z 24. września pod tytułem *Cracoviana*, ten niepodobna, aby przy najtępszym węchu nie był uderzony odorem któregoś z księży pseudogramów dziennikowych. Pan Lam może być wielkim erudytą, ale owa dokładna znajomość reguły św. Wincentego a Paulo, jaką fejletonista przeciw pani Talbot wojuje i owa znajomość Nowego Testamentu, z jaką się żartobliwie popisuje, nie zdaje nam się aby mogła kwadrować z naturą publicysty odznaczającego się przedewszystkiem klerykałofobią.

Feljetonista wspomniany cytuje wprawdzie słowa Symeonowe niedokładnie i niegrammatycznie — ale koniec końców wie, że Symeon coś podobnego powiedział. Księża codzień po łacinie odmawiają w brewiarzu te słowa Symeonowe: *Nunc dimittis servum tuum Domine*, więc im łatwo takowe cytować. Ale *dimitte* może znaczyć wypuścić albo odpuścić. W tym tekście znaczą one wypuścić, idzie bowiem nie o grzechy, które się odpuszczają, tylko o duszę która rozradowana już chce wyjść z ciała i woła: Teraz wypuścić! Ale

odpowiadają, i rozwinięciu katolickiego życia najdzielniej służą, i jedność katolicką najpotężniej utrzymują. Tutaj różnic miejscowych nie usprawiedliwia ani duch kościoła, ani potrzeba lub pożytek wiernych. Różnica w ceremoniach jest wprawdzie czysto zewnętrzna, ale gdy ceremonie, aby były racjonalne, muszą mieć swój powód w samej naturze rzeczy, przeto niepodobna, iżby w miarę wzrastających różnic zewnętrznych, nie ucierpiała na tem jedność w rzeczach wewnętrznych i koniecznych. Obrządki wschodnie mogą mieć rację w swej starożytności, acz nie wyższej od starożytności obrządku rzymskiego, ten bowiem ostatni równie ma swe korzenie w czasach apostoelskich jak pierwszy. Owszem powiedziałbym, że kwestya starożytności należycie rozstrzygnięta, łacińskiemu, czyli rzymskiemu oddałaby pierwszeństwo; nietylko dla tego, że on więcej odpowiada klasycznej prostocie helenizmu, dużo mniej nadwerżonej w pierwszym wieku chrześcijaństwa, niż w czwartym lub w piątym, od którego się datuje rozwinięty obrządek grecki, ale też i dlatego, że chrześcijanie rzymscy mniej rozprószeni w czasie prześladowania, skupieni owszem w podziemnej kraince katakómb, mniej też byli narażeni na obce naleciałości niżeli chrześcijanie wschodni, rozprószeni po prowincjach trzech części świata i wśród ludów tak wy-

bywa, że czasem księży zbyt ufają swej łacinie lub swej pamięci i niedość zaglądają do Wujka. Otóż jak kapłan dziennikowy zbyt ufał swej pamięci, gdy cytując żartobliwie tekst Apostoła, napisał: *ut omnis lingua confiteatur Deum*, tak tutaj w tym feljetonie zbyt znowu ufał swej łacinie i *dimitte* przepolszczył na odpuść zamiast na wypuść. Jużćić p. Lam tak nie przełożył, bo wątpię żeby miał w zwyczaju mówić brewiarz i z brewiarza teksta cytować.

Gramatykalny błąd w przepolszczeniu cytacji jest okropny, potworny, ale w rodzaju Dziennika. Jest to ów sławny *accusativus*, który bywa delicyą *Dziennika Polskiego*, jak *dativus* jest delicyą krakowskiego jego brata. Feljetonista Dziennika zoczywszy Nuncyusza, gotów był zaintonować z Symeonem: Panie odpuść sługę twego w pokoju!

Jaka szkoda, że nie zaintonował! Mnóstwo księży zgromadzonych na dworcu, darowałoby mu pewnie gramatykę na rachunek pobożności — a jeźliby go kto poprawił głośno, to chyba który z duchownych szukających przeciw prawu kościelnemu ratunku w *Kraju* — i dzielących zamiłowanie tego dziennika w pewnych formach polszczyzny. Wtenczas jako pendant do ekklamacyi feljetonisty *Dziennika Polskiego*, usłyszelibyśmy także ekklamacyę onę poprawioną na „Panie wypuść słudze twojemu w pokoju!”

Co do *Dziennika Polskiego* obfituje on jeszcze w tym samym feljetonie w takie formy gramatyczne jak np. „Jest także dwie ulice mające nazwę Podwale” — albo „pan Ładnowski zgodził się zostać.” O inteligency!

bitnych różnic pod względem formy. Blask zresztą orientalnych ceremonij czyż nie daleko więcej odpowiada epoce Byzancyum, niż owej epoce greckiej, w której apostoł narodów szczepił ewangelię w Atenach i Koryncie?

Cokolwiekby jednakże byłoby do powiedzenia o starożytności obrządków i różnic uznanych przez powagę kościelną, różnice te właśnie w uznaniu owej powagi znajdują swoje zupełne usprawiedliwienie. Zupełnie inaczej ma się rzecz z różnicami w samym przez kościół uznanym obrządku wschodnim czy zachodnim — szczególnież w tym ostatnim, to jest w obrządku łacińskim. Trzeba charakteru włoskiego z całym jego wyrobieniem, charakteru że tak powiem naturalnie rzymskiego, aby na przykład taki obrządek ambrozyjański nie spowodował pewnej scysyi w samej istocie rzeczy. We Francyi miejscowe zwyczaje należą do nieszczęsnych wolności kościoła galikańskiego, które to wolności, jeżeli nie poprowadziły do schyzmy, to w tem zasługa pewnej błogosławionej nielogiczności galikańskiego episkopatu, albo raczej działanie szczególne Opatrzności nad tą częstką kościoła czuwającej. Wiadoma jednak i dowiedziona jest rzecz, że jedne z tych wolności sprowadziły cztery punkta galikańskie, któreby można nazwać poronioną s:hyzmą — drugie zaś z tych się punktów wylęły. Toż samo co do różnic w formach nabożeństwa tych tak nieracjonalnych wolności form lub raczej dowolności. Zkądże zresztą Galia miałyby mieć jakoweś usprawiedliwienie swoich zwyczajów w tradycjach apostołskich, kiedy w IX w. największy jej geniusz i można powiedzieć, ojciec jej wielkości, to jest Karol Wielki, tak bardzo dbał o to, aby pod każdym względem romanizm w świątyniach jego imperyum panował?

W Polsce jeszcze mniej zwyczaje miejscowe zasługiwałyby na uwzględnienie, choćby z tej uwagi, że przyjęcie katolicyzmu przez naród polski dzieli od epoki apostołskiej całe dziewięć wieków, zatem żaden z takich miejscowych naszych zwyczajów nie mógłby mieć podstawy w tradycyi apostołskiej. Pierwszymi apostołami naszymi przybyłymi z żoną Mieczysława byli pobratymcy nasi już całkowicie zlatynizowani; nie powiem zromanizowani, albowiem romańskimi, to jest papieskimi byli oni od początku swego nawrócenia. Apostołowie Morawy i Czech nie przyszli do nich z błogosławieństwem Focyusza, koniuszego cesarskiego, który jako panegirysta zbrodni Michała III i Bardasa, wuja cesarskiego, zasiadł na tronie św. Ignacego i dał początek schyzmie — ale przyszedł owszem z błogosławieństwem św. Ignacego, męczennika za wierność

papieżowi, i z błogosławieństwem Adryana II, papieża, o które pokornie błagali w Rzymie. Złatinizowane więc Czechy utworowały nam wejście do Kościoła, a złatinizowali ich biskupi niemieccy na wskrós sami łacińscy w duchu św. Bonifacego i w duchu Karola Wielkiego¹⁾. Ten sam duch ożywił w Polsce biskupów aż do epoki jagiellońskiej pod każdym względem rzymskich. Łascy i Uchańscy o narodowym kościele marzący, albo raczej o polskiem dla siebie papieźwie, nie podobnego sobie nie mają w epoce Piastów, słynnej z takich biskupów jak Wojciechy, jak Szczepanowscy, Kettlicze, Pelki, Prandoty, Odrowąże, Gedeony, Bodzanty i im podobni. Za owych czasów z pewnością nie było mowy w Polsce o miejscowych zwyczajach w obrządkach ściśle kościelnych, jak nie było mowy o miejscowym kościele. Miejscowe zwyczaje datują się nie wcześniej jak od dni wielkich pokus przeciwko ścisłej jedności z rzymskim Kościołem; głównie zaś podobno od dni onych złotych wolności, które nie tylko w czasie sejmików ale i w czasie nabożeństw rozgłaszały się w świątyniach, zwłaszcza w epoce serdecznych stosunków dworu polskiego z francuzkim. Złote wolności w nabożeństwach polskich za czasów saskich są już tylko smutnym rozkwitem naleciałości z kilku poprzednich panowań.

Te miejscowe nasze zwyczaje, jeżeli oprócz naleciałości i naśladownictwa mają jeszcze inne źródła, to nie sądzę, abym zgrzeszył przeciw sprawiedliwości twierdząc, że źródłami temi były głównie już w ostatnich czasach niedbalstwo i przesada. Różnimy się w ceremoniach naszych od ceremonij w całym znaczeniu tego wyrazu rzymskich, ponieważ nie mamy dosyć pilności, ścisłości i stateczności w zastósowywaniu *ad amussim* istniejących pod tym względem przepisów. Jak nasi wierni lubią praktykować złotą wolność w formach swego zachowania się w kościele, nawet w czasie nabożeństw, tak i nasi duchowni ulegali tej pokusie, a niechęć do ścisłej dokładności, jako niby do czegoś niewolniczego, zrodziła owe rozma-

¹⁾ Cokolwiek dzisiejsze Czechy miałyby do zarzucenia ówczesnemu episkopatowi niemieckiemu ze względu na germanizację, przyznać muszą, że dokonane przez ów episkopat złatinizowanie pierwotnego obrządku, przyniesionego przez Metodyusza do Sławiańszczyzny, uratowało i Czechy i Polskę od pochłonięcia przez Moskwę. Gdyby pierwotny ów obrządek do czasu zresztą przez Rzym pozwolony, był przetrwał i dostał się do Polski wraz z katolicyzmem z Czech — to już dawno oba te ludy sławiańskie wraz z Morawią, Szlązkiem, Bułgarią i Sławianami austriackimi stanowiłyby gubernie carstwa moskiewskiego jak Archangelsk i Nowogród.

itości tak rażące dla każdego, kto przywykł do ściśle oznaczonych i wykończonych form rzymskiego ceremoniału; rozmaitości tak w odwrotnym zostające stosunku ze sprawą skupienia i wzniesienia ducha. Różnimy się także i dla tego, że mania przesady, ta zwykła towarzysząca niesubordynacji w rzeczach kościelnych, zrodziła mnóstwo cudactw czy to w ruchach, czy w głosie, czy w całym zewnętrznym układzie. Cóż powszechniejszego u nas jak na przykład głośne i afektowane wymawianie części mszy świętej, które powinny być wymawiane zupełnie po cichu, gdy przeciwnie ustępy mające być odmawiane głośno, jak Gloria, Credo i Ewangelia, Prefacya, odmawiane prawie znowu z afektowną cichością, bo ledwie przez poruszanie wargami. Półprzykłękania (gdzie powinny być przykłęknięcia całowite) nagradzane też bywają długim klęczaniem przed komunią, o jakim wcale rubryki nie wiedzą. Ogromne machania rękami po całym ołtarzu mają zastępować proste i spokojne czynienie krzyżów nad kielichem lub hostyą — a wodzenie patyną z trzymaną nad nią hostyą, lub kielichem, Bóg wie gdzie po za obręb korporału i nachylania pompatyczne hostyi i kielicha ku wyprostowanej i niemal zadartej twarzy celebrującego, ma niby dowodzić wielkiego przejęcia się świętością odbywanej funkcyi, która właśnie w tem miejscu największej wymaga pokory, prostoty i prawdy.

Przydała się więc bardzo w naszym małym Rzymie ta wspomniała celebra odprawiona w nowej świątyni przez Nuncjusza z całą dokładnością rzymską. Nie mówiąc już o samym celebrancie, który mimo sędziwego wieku i umęczenia z powodu czynności dniem przedtem dokonanej, łączył nie tylko dokładność ale prawie wytworność w każdym szczególe z powagą i namaszczeniem biskupiem, miło nam jest wspomnieć o mistrzu ceremonii, którym jak przy konsekracyi tak i przy mszy św. pontyfikalnej był ksiądz kanonik Macini, sekretarz nuncyatury. Kapłan ten, mimo swego stanowiska dyplomatycznego i hierarchicznego (ma bowiem także *usum pontificalium*), był w ten dzień na usługi wszystkich, począwszy od Nuncjusza aż do akolitów. Patrząc na pokorę i prostotę, z jaką wypełniał swą czynność, rzekłbyś, że to jakiś kleryk albo prosty ksiądz ceremoniarz — ale ci wszyscy, którymi kierował, mieli sposobność dowiedzieć się jak dalece i w takiej czynności znakomitość umie znaleźć godne siebie pole. Najmniej nawet obeznanych z tego rodzaju ceremoniałem i najniezgrabniejszych umiał on zawsze na czas uprzedzić i bez najmniejszego hałasu, jakim się u nas odzna-

czają ceremoniarze dość pospolicie, bez użycia owej rażącej komendy przy ołtarzu, która najczęściej zamiast kierować, przyczynia się tylko do większego jeszcze zamieszania, tak umiał zręcznie i uprzejmie obracać, że samym tak obracanym mogło się być wydawać jakoby wszystko sami z siebie wykonywali.

Spiewy towarzyszące mszy świętej wykonały dziewczynki z Zakładu Matki Talbot, i przypomniały wszystkim, którzy bywali na tego rodzaju celebrach w Rzymie ów tak doskonale odpowiadający świętości katolickich obrzędów chorał gregoryański. Jakżeby to było do życzenia, aby śpiew ten odzyskał dawne i nieprzedawnione prawa w naszych świątyniach — i aby raz na zawsze dał odprawę tym nieszczęśliwym figurałom i muzykom, na to chyba tylko wynalezionym, aby zgromadzonym wiernym sprawić najprzykrzejsze nieraz roztargnienie, lub aby w najlepszym razie robić im w świątyni złudzenie sali koncertowej. Świeckie szkoły muzyczne nigdy nam tego nie dadzą — trzeba by więc, abyśmy, idąc w ślad za duchowieństwem niemieckiem, sami się postarali o szkoły śpiewu przy katedrach i przy parafiach, na co byśmy nie powinni i ostatniego grosza żałować. Śpiew kościelny zaniedbany u nas do najwyższego stopnia, a skutkiem tego zostajemy wciąż na łasce hałaśliwych rzemiołców, lub teatralnych aryj lub kawatyn, albo wreszcie na łasce organisty pospolicie spychającego tylko swój obowiązek. Na wsi jeszcze jako tako, bo lud prosty chętnie śpiewa — ale w miastach, żal się Boże, na czym trzeba przestawać.

Nazajutrz ks. Nuncyusz odwiedził Najprzewielebniejszego ks. biskupa Wojtarowicza, mieszkającego już od kilkunastu lat w plebanii św. Floryana na Kleparzu. Czcigodny ten pasterz będący w mieście naszym przedmiotem powszechnego szacunku, a dla duchowieństwa naszego przykładem gorliwej miłości Kościoła, oraz pokory i słodczy ewangelicznej — sam chciał koniecznie wraz z duchowieństwem tutejszem wyrazić Nuncyuszowi wdzięczność za powtórne odwiedziny Krakowa; ukochał on bowiem to nasze miasto jakby swe własne rodzinne. Ale lekarz zabronił mu wychodzić po za próg domu, obawiając się złych skutków dla mocno nadwężonego zdrowia. Odwiedziny Nuncyuszowe dość długo trwały — znajdował on bowiem w towarzystwie tego znanego sobie już dawniej biskupa prawdziwą dla serca swojego rozkosz, jak się potem był wyraził — i nic dziwnego, serdeczność bowiem i uprzejmość ks.

biskupa nie odstępująca go nigdy, mimo ciężaru ośmiu krzyżyków i mimo dolegliwych cierpień fizycznych tem jest miłszą dla odwiedzających i tem więcej ujmującą, im doskonalej łączy się w jego obejściu z piękną powagą, im bardziej uderza swą szczerością. Daj mu Boże żyć i modlić się wśród nas jak najdłuższe lata.

Tego samego dnia odwiedził jeszcze Nuncyusz Ochronkę, założoną i wypielegnowaną przez śp. księżnę Stanisławową Jabłonowską a kierowaną przez Siostry Miłosierdzia i wydziwić się nie mógł wielkiej czystości i porządkowi tego domu. Wesolość dzieciak bardzo mu przypadła do serca. Z Ochronki udał się do domu Matek Miłosierdzia. Zgromadzenie to jest szczególnym przedmiotem łaskawości ks. Nuncjusza. Poznał je za piewszą swoją w Krakowie bytnością i zachował żywo w pamięci. Wówczas rozpoczynały one dopiero swoją fundacyę w Krakowie i przyjmowały czcigodnego gościa w najętym dość mizernem mieszkaniu. Teraz, Bogu dzięki i dzięki chrześcijańskiemu sercu wdowy po nieodżałowanym naszym Antonim Helclu, już go mogły przyjąć w domu swoim własnym. Pomodliwszy się w kaplicy, gdzie znalazł w oknie bardzo piękny transparent pędzla p. Jabłońskiego, przedstawiający modlącego się Piusa IX, udał się potem do rozmównicy, gdzie go znowu uderzył portret papieża. „Widzę, rzekł on z uśmiechem, że jestem wśród gorących papistek. Pamiętam jak przed kilku laty przyjmowałyście mnie w innym domu, ale niemniej jak ten naznaczonym waszą miłością dla Głowy Kościoła!“ W sali pokutnic przedstawiała mu Matka przełożona wśród liczного grona swych duchownych dzieciak kilka szczególnie pokutnic, które Opatrzność najpierwej do domu miłosierdzia przywiodła. Jest-to podobny zakład, jak wasz lwowski dom Opatrzności, tylko że tamten jako dużo dawniejszy, dużo też więcej rozwinięty. Z zakładu miłosierdzia ks. Nuncyusz pojechał na Kopiec Kościuszki — historia naszego bohatera wcale mu nie jest obcą.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o wizycie Nuncjusza u Karmelitanek. „Tym pięknym duszom, które tak po bohatersku umiały znosić ciężki krzyż prześladowania, należą się słowa pociechy z ust posła papieżkiego“ — rzekł on zbliżając się do bram klasztoru. Wprowadzony do chóru, zwrócił się do kapłana, który mu towarzyszył i rzekł po włosku: „Powiedz odemnie, że przychodzę tutaj jedynie dla tego, aby im wyrazić najżywsze współczucie, z jakim byłem dla nich w chwilach bolesnych, przez które przeszły dwa lata temu — oraz aby im wyrazić głębokie moje uwielbienie dla tej

spokojności i cierpliwości, z jaką wiem, że cierpiał.“ Potem się wypytywał o ówczesną przełożoną, to jest o Siostrę Maryę Wężykównę — a gdy mu ją przedstawiono, prawie ze łzami mówił: „Więc to ty cierpiałaś to ciężkie więzienie — ciesz się żeś cierpiała tak niewinnie i pokaż mi towarzyszkę twojej świętej niewoli.“ Udzieliwszy błogosławieństwa całemu Zgromadzeniu — zwiedzał potem szczegółowo klasztor i miał nieustannie na ustach słowa pociechy i dobrej otuchy. Po dwóch latach niewypowiedziane bolesnych była to pierwsza chwila, w której Karmelitanki krakowskie łyż nieosychające zamieniły na słodki uśmiech, prawdziwie pocieszone w imię dobrego pasterza i w imię dusz swoich boskiego obłu-bieńca.

Jeszcze potem odwiedził ks. Nuncyusz szpital Sióstr Miłosierdzia na Wesołej, a nazajutrz zrana odjechał, żegnany przez bardzo licznie zgromadzone w dworcu duchowieństwo. Boże mu zapłać pociechę Papieża!

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Biblioteka pamiętników i podróży po dawnej Polsce,

wydana przez

J. I. Kraszewskiego,

8vo, 1 tomy, razem XLIX i 1252 str., Drezno, 1870 i 1871 J. I. Kraszewski.

Przeszłego roku zaczął p. Kraszewski wydawać bibliotekę pamiętników i podróży po dawnej Polsce. W prospekcie na czele ogłoszonym, zapowiedział cały szereg publikacyj, pomiędzy którymi niektóre wcale ciekawe, dotychczas zaś ogłosił cztery tomiki, zawierające: tom I, Polska w r. 1793 według podróży Fryderyka Szulca (opracowana przez samego wydawcę); tom II, Pamiętniki Hansa Schweinichena do dziejów Szlązka i Polski 1552—1602 (przekład z niemieckiego skrócony Hier. Feldmanowskiego); tom III, Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego (z autografu francuzkiego przełożone przez Br. Zaleskiego); tom IV, Notaty generała brygady wielkopolskiej kawalerii narodowej z lat 1775—1778 (z rękopismów spisane przez samego wydawcę). Dwa pierwsze tomy już dawniej znane były w oryginałach niemieckich, tutaj pojawiają się w spolszczeniu i skróceniu przystępne dla najszerszych kół czytającej publiczności, obydwie zawierają nie mało zajmujących szczegółów i pod każdym względem zasługiwały na

ogłoszenie. I tom IV zwłaszcza do prywatnych stosunków podaje nieraz ciekawe szczegóły tak w samych notatach generała brygady wielkopolskiej, jak i w dodatkach, zawierających: 1) notatki Waleryana Puchalskiego od r. 1690—1718; 2) Excerpt z manuskryptu Jana III, 3) kilka listów w sprawach publicznych z lat 1742—1744 (jest ich dwanaście).

Najważniejszy atoli z całej publikacji jest, jak już wskazuje tytuł, tom III, zawierający Pamiętniki Stanisława Augusta, po pierwszy raz tutaj w całości w przekładzie ogłoszone. „Wiadomo oddawna, pisze p. Br. Zaleski na wstępie, że król Stanisław August pisał pamiętniki i że w chwili, kiedy Mikołajowi Wolskiemu ułożenie obrony swojej polecił, sam nad wykończeniem wspomnień swoich pracował. Odwiedzający go często z bratem swoim w Petersburgu młodzieńki wówczas książę Adam Czartoryski zapisał we wspomnieniach swoich, że król ranne godziny zwykle tej pracy poświęcał. Jan Sagatynski, paż królewski przekazał znowu wiadomość, że pamiętniki te zaraz ze wszystkimi papierami Stanisława Augusta z rozkazu obecnego przy śmierci króla, cesarza Pawła, opieczetowane i w tajnym archiwum cesarskiem złożone zostały. Wiemy zkadynąd, że cesarz Mikołaj użytkować z nich pozwalał Fryderykowi Schmittowi; jak zaś były obszerne, to dotąd wiadomem nie jest. Książę Adam wnosząc, że wiele tomów składać musiały, ubolewał, że nigdy więcej nad dwie pierwsze części, jeszcze przed 1775 r. pisane, wynaleźć nie mógł. Te dwie części wydaje tutaj p. Br. Zaleski w przekładzie polskim z francuzkiego według rękopisu znajdującego się w bibliotece książąt Czartoryskich w Paryżu a poprawianego ręką samego Stanisława Augusta.

Gdybyśmy tutaj mieli więcej miejsca do dyspozycji, opowiedzielibyśmy czytelnikom naszym treść tych pamiętników, tak atoli musimy się ograniczyć do krótkiej tylko o niej wzmianki, odsyłając czytelnika do samych pamiętników, napisanych tak, że je każdy z zajęciem odczyta. Nas zaś, jako recenzentów, zająć głównie powinno pytanie, jak się sam tłumacz i wydawca p. Br. Zaleski z zadania swego wywiązał.

Co do treści więc zaczynają się pamiętniki od urodzenia Stanisława Augusta: król w pierwszej części opowiada młodość swą i podróże, w drugiej pobyt w Petersburgu w charakterze posła Augusta III, i spełniane tam obowiązki. Jest to epoka w życiu Stanisława Augusta o tyle ważna, że wpłynęła przeważnie na późniejsze dziejowe jego stanowisko, bo tutaj zawiązał się ów złowrogi, nieszczęsny stosunek jego z ówczesną wielką księżną a późniejszą carową Katarzyną, który jak to trafnie i po mistrzowsku wykazał Kalinka, stanowi główną podstawę przyszłego jego nieszczęścia i winy. Sprawy poselskie zresztą, które go tutaj zajmowały, a które wyluszcza w licznych depeszach do dworu saskiego, znaczenia wielkiego nie miały, nie obudzają one zatem i w nas żywego zajęcia. Sam pamiętnik kończy się na wyjeździe Poniatowskiego z Petersburga, obudzając w nas żal, że dotąd nie dały się odszukać dalsze części zapisków królewskich, które pod względem historycznym powinny zawierać o wiele jeszcze obfitszy zbiór ciekawych, choć, jak już w dwóch pierwszych częściach, nieraz stroniczo przedstawionych wiadomości.

Tyle o treści, teraz przechodzimy do głównego naszego zadania. wymienionego już powyżej pytania jak się tłumacz i wydawca p. Br. Zaleski z pracy swej wywiązał. Kiedysmy się dowiedzieli, że pamiętniki Stanisława Augusta wyjdą w przekładzie i staraniem p. Zaleskiego, wiadomość ta nas ucieszyła, bośmy, znając p. Zaleskiego z innych pism, jako uzdolnionego, starannego i poprawnego pisarza, sądzili, że wydanie to będzie odpowiadało wszelkim słusznym wymaganiom. Naturalnie do pisarza takiego jak p. Zaleski, stawiamy zgola inne pretensye, jak do jakiego zwykłego tłumacza; do pracy noszącej jego imię na tytule, przykładamy inną miarę, jak do elaboratów tuzinkowych pismaków. Ze smutkiem, oświadczamy to z góry, spostrzegliśmy atoli, że praca p. Zaleskiego bynajmniej nie odpowiedziała naszym oczekiwaniom. Pamiętniki Stanisława Augusta nie są bynajmniej poprawnie, wzorowo wydane, czy to w tekście, czy w notach, napotykamy w nich liczny szereg przekreślonych lub źle spolszczonych imion, niewłaściwych lub źle zrozumianych zwrotów a nawet wprost fałszywych faktów i to nawet takich, dla których sprostowania wystarczy nawet elementarna znajomość historii. Żeby sąd nasz nie wydał się jednostronnym lub niesprawiedliwym, widzimy się zmuszeni wykazać tu przynajmniej ważniejsze błędy, popełnione przez wydawcę w każdej co dopiero wymienionej kategorii. I tak na str. 8. w adnotacyi nazwany jest książę Eugeniusz sabaudzki, ów sławny wódz w walkach z Turkami. hrabią Eugeniuszem. Adnotacye do pamiętników dodane zaopatrzył wydawca w dopiski: Przypisek króla, albo przypisek tłumacza albo wreszcie nie dodał im żadnego dodatku; adnotacya na str. 8 nie nosi żadnego dopisku, nie wiemy więc, do jakiej właściwie należy kategorii, czy do królewskich czy do tłumaczowskich; z treści jej atoli zdaje się wynikać, że autorem jej jest tłumacz. — Dalej na str. 42 znów w adnotacyi nazwany jest kawaler de Saxe „drugim pobocznym bratem Augusta III,“ zdaje się, że wydawca chciał powiedzieć „przyrodnim bratem“, bo cóżże ma znaczyć nieużywane wyrażenie „poboczny brat?“ — Najliczniejsze przekreślenia napotykamy w nazwiskach angielskich, i tak na str. 134 czytać należy Hardwicke, zamiast Hardwick, na str. 135 hrabiowie de Yorke zam. hrabiemu de York; na str. 138 Huntingdon zam. Huntington; na str. 144 i wielu innych Granville zam. Grandville i Pultenej zam. Putlency (co nie ma zgola sensu); na str. 150 i wielu innych Stowe zam. Stow, Grenvillów zam. Granvillów; na str. 162 St. James zam. St. Jameus. Na str. 145 nazywa tłumacz następcę tronu angielskiego po dwa razy „księciem de Galles“ zamiast księciem Walii, choć sam na innem miejscu (str. 150) tej w polskim jedynie właściwej nazwy używa. Najgrubsze dwie pomyłki zaś znajdujemy na str. 216 i 217. Na str. 216 nazwano owego amatora fajek i piwa Fryderyka Wilhelma pruskiego „dziadem Fryderyka Wielkiego“, czyż tłumacz nie miałby doprawdy wiedzieć, że ten Fryderyk Wilhelm był ojcem Fryderyka Wielkiego? Na str. 217 mowa o Adolfie królu Holsztynu, cóż to za nowe królestwo? My przynajmniej nigdy jeszcze nie słyszeliśmy o królestwie holsztyń-

skiem. Jeżeli Stan. August tak a nie inaczej w pamiętnikach swoich napisał, toć go przecież należało poprawić. — I w niemieckich i w innych nazwach nie brak na przekręceniach: na str. 251 mówi się o Erfurcie nad Gesą zam. nad Gerą i o okolicach Wezy zam. Werry; na str. 256 czytamy o księstwach Crossen i Züllichan, na str. 413 o mieście Leutomichel a na str. 414 i innych o mieście Meseritz: czyżby wydawca rzeczywiście nie miał znać polskich nazw za te przekręcone niemieckie brzmienia? Czyżby n. p. naszego Górkę miał nazywać starostą meseritzkim zamiast międzyrzeckim? Jeżeli tak w książkach polskich zamiast Krosno będziemy pisać Crossen, zamiast Cylichowa Züllichau, zamiast Lutomyśl Leutomichel, zamiast Międzyrzec Meseritz, to nie mówmy też o Poznaniu lecz mieście Posen, nie o Gdańsku lecz o mieście Danzig itd. — Dyplomata holsztyński, o którym parę razy wspomina Stanisław August, nazywa się raz baronem Stambek (str. 332), raz Stamblec (str. 335) a wreszcie Stambhe (str. 336), któraż z tych nazw jest zatem właściwą? — Na str. 256—259 tłómacz poradzić sobie nie może z jakimś Steuerem; na str. 256 pisze o sprawie Steueru, na str. 258 nawet o jakiejś prowincyi Steueru a na tej samej i następnej o skarbie publicznym Steueru.

Jeżeli wydawca nie rozumiał, o jaką tutaj sprawę chodzi, to było trzeba zajrzeć do jakiej historii saskiej i poinformować się, a jeżeli mu do tego zbywało na źródłach, należało się przynajmniej przyznać do niezrozumienia i podać w nocie dosłowne brzmienie oryginału, aby je może kto inny wytłómaczył.

Chodzi tutaj po prostu o taką sprawę: w jednym z artykułów pokoju drezdeńskiego z r. 1745 przepisano, aby Saksonia wszystkim tym pruskim poddanym, którzy mają saskie obligacje urzędów podatkowych (*Steuerscheine*) w rękę, wyplaciła niezwłocznie sumy te wraz z procentem. Saskim poddanym zaś prawo to nie przysługiwało. Prusacy rzucili się zatem na spekulację, wykupując z rąk saskich poddanych za niskie sumy takie obligacje, które potem prezentowali sami w wydziale podatkowym Saksonii i zabierali całkowite sumy wraz z procentem. Skarb saski więc, a mianowicie wydział podatkowy (a nie prowincya Steueru jak pisze wydawca) ponosił przez to wielkie straty, król zatem polecił Poniatowskiemu starać się o usunięcie tego paragrafu z traktatu drezdeńskiego. — Na str. 293 i następnych w nocie do ministerstwa z 10. marca 1758 r. nazwano Fleminga w. kancleżem litewskim, choć każdemu wiadomo, że urząd ten piastował wówczas Czartoryski, wuj Stanisława Augusta, a Fleming był podskarbin w. księstwa Litewskiego. — Wreszcie choć język jest po największej części czysty i poprawny, to i tutaj nie zbywa na niepolskich zwrotach, i tak na str. 232 czytamy „Ojciec mój wprawdzie życzył dla mnie tego poselstwa“, na str. 252: „aby król pruski obowiązany był wrócić królowi polskiemu . . . sprzęt wojenny, jakiego by nie był rodzaju;“ na str. 311: „zmuszony jest pilnować domu“ (zwrot francuski zamiast: nie wychodzić z domu); na str. 375: znalazłem krótki

listek (zamiast naturalnie liścik) Waszej Ekscellencyi:“ na str. 406: „popychać trzeba . . . do energicznego działania przeciw nieprzyjacielowi, czego też życzyć tu mają szczerze:“ a wreszcie na str. 427 „pomoc w stosunkach z pewną panią, której cesarzowa zawsze była niezmiernie zazdrośną.“

Taki jest długi szereg przekreśzań i pomylek, które wymienić musieliśmy, żeby sąd nasz poprzednio wypowiedziany nie wydał się niesłusznym i parcyalnym. Kończąc, powtarzamy jeszcze raz, że dość liczne te usterki, gdyby się znajdowały w tłómaczeniach, jakie się zwykle u nas pojawiają, bynajmniejby nas nie zadziwiały, bośmy do nich przywykli, w wydaniu atoli, dokonanem przez pisarza w innych swych dziełach tak poprawnego jak p. Br. Zaleski, nas razić muszą. Recenzją naszą kierowało tylko zamilowanie prawdy, nie wątpimy więc, że szan. wydawca, którego dzieła wysoko cenimy, za złe nam jej nie weźmie.

X.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

III.

Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuiti mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuiti. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów. — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie. — Panegiryki jezuitckie pod względem moralnym. — Zasługi Jezuitów na polu moralności narodowej. — Niemoralność polityczna obok moralności religijnej.

Do zdań najbardziej u nas utartych, należy bezwątpienia i ono: Jezuiti Polskę zgubili. Jak dogmat wiary, jak niczem niezaprzeczoney pewnik, przechodzi ono z ust do ust, a nikt podobno, owszem, mało kto zastanowił się nad jego słusnością i prawdziwością.

„Jezuita“ — to imię znieawidzone od wielu, uważane za równoznaczące mnogim odrębnym pojęciom, które złość, nienawiść a w końcu nieświadomość i głupota doń przywiązały. Ludzi chytrych i przebiegłych, z udaną pobożnością a w rzeczy złoczyńców, podobano się nazwać imieniem Jezuita¹⁾ — w Polsce przywiązano doń nadto pojęcie „zdrajcy ojczyzny“. „Jezuiti Polskę zgubili. Jezuiti przyczyną upadku Polski“ ogłoszono jako dogmat historyczny, jako pryn-

¹⁾ Pichlera, którego przed nie wielu laty nazwano wielkim, sławnym, bo przeciw Rzymowi występował — zaraz zrobiono ex-jezuitą i jezuitą, skoro pokradł książki w petersburskiej bibliotece. Pichler nie był ani Jezuitą, ani ex-jezuitą.

cypium *à priori*, które wywodów nie potrzebuje ani powątpiewań nie przypuszcza. Powtarzali je od pół wieku przeszło ojcowie i matki dzieciom, profesorowie uczniom — podając je jako drogą spuściznę — zaiste bardzo drogą; bo cóż droższego nad to, co uwalnia od poszukiwania winy, zwalając ją na jednego? „Wszak to tak właściwe naturze ludzkiej, na jedną przyczynę, a jeżeli można, na jednego człowieka zwać doznane nieszczęścia, bo to uwalnia od sumiennego dochodzenia prawdy a dogadza lenistwu i często stronnictwej zawziętości“¹⁾.

Wskazałem już wyżej, gdzie szukać źródła tych mylnych a tyle krzywdzących naród i zakon przekonań czy opinij²⁾. Tu dodam, że w miarę jak starannie i sumiennie biorą się pisarze nasi do badania przeszłości ostatnich lat Rzpltej — zdania o Jezuitach wrogie i mylne zacierają się i ustępują z dzieł poważnej treści. Z tem wszystkiem nie ma jeszcze dotąd opracowanej krytycznie historii upadku Polski. Autorowie stosownie do systemu jaki sobie wytknęli, wskazują to na naród cały, duchowieństwa nie wyłączwszy³⁾, to na wadliwą konstytucję, to na arystokracją wyłącznie⁴⁾, to na zbieg politycznych wypadków i niesumienność gabinetów — jako na przyczyny upadku. Nie uwłaczając w niczem szlachetnym usiłowaniam i pracy autorów, pozwolę sobie zestawić te czynniki i przyczyny, które mojem zdaniem, na upadek narodu wpłynęły. Czynię to dla tego, że nie można jawniej okazać mylności zdań krążących o Jezuitach, jak właśnie odwołując się do historii.

Twierdzę tedy, że zaród upadku leżał w wadliwej konstytucyi, mianowicie w wolnej elekcyi i w *liberum veto*. Koniecznym wynikiem tej wadliwości było rozdwojenie króla z narodem, które się datuje już od Zygmunta I, i upadek moralny narodu. Z tej zaś scysy tronu z narodem i upadku moralnego wyrosła anarchia. Dostarczały żywiolu palnego wszystkim namietnościom i wadom narodowym herezje i filozofizm XVIII wieku — a niesumienność gabinetów korzystała z wewnętrzznego nieładu i rozprzężenia.

Że konstytucya polska była niedostateczną i wadliwą — dzisiaj nie ma się podobno już nad czem rozwodzić. W latach potęgi narodowej za Zygmunta Augusta ludzie głębszego rozumu utyskiwali nad brakami konstytucyi polskiej, układali reformy, wróżyli w razie niepoprawy upadek Rzeczypospolitej. Dostyc przeczytać „Tierceica“ Orzechowskiego, kilka Kart Frycza Modrzewskiego⁵⁾ o poprawie Rzeczypospolitej, lub satyr Kochanowskiego, albo Koronę księdza Gra-

¹⁾ Żywot J. U. Niemcewicza, przez ks. Czartoryskiego. — Berlin. P'o znań. 1860. str. 13.

²⁾ Patrz wstęp I rozdziału.

³⁾ Tak np. Bernard Kalinka w dziele: Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Tom I.

⁴⁾ Jak np. Henryk Szmitt w Polsce wieku XVII i XVIII

⁵⁾ Mianowicie rozdz. III w przydatku do czterech ksiąg, w którym to rozdziale jest „krótkie przypomnienie wad Rzpltej“.

bowskiego? ¹⁾ Co więcej, Długosz jeszcze, patrząc na nieporadność a zuchwałość polskiego kóła, nie tai się z swem oburzeniem i trwogą o całość państwa ²⁾.

Dopieroż w późniejszych czasach nie masz prawie sejmu jednego, na którymby o poprawie praw nie radzono, a często dawały się słyszeć przepowiednie niechybnego upadku, jeżeli Rzeczpospolita naprawioną nie zostanie.

I nie były to pojedynczych ludzi obawy i wołania. Ledwo z śmiercią ostatniego Jagiellona dojrzała konstytucja polska ³⁾, już żąda jej zmiany Stefan Batory. Mamy o tem niewątpliwe ślady w źródłach społecznych, i nie bez podstawy powiada Mickiewicz, „że proszono go (Batorego), żeby ogłosił uchwałę względem wybierania królów. Nie chciał o tem nic wyrzec, chociaż wiedziano, że z panami posiadającymi jego zaufanie układał rozległy plan zmiany wewnętrznej w Polsce“ ⁴⁾. Pomiędzy „panami posiadającymi zaufanie“ Batorego znajdował się, rzecz godna uwagi, ten sam Jan Zamojski, twórca elekcji *virilim* i obrońca wolności szlacheckiej.

Dążności monarchiczne Zygmunta III nadto są wiadome i osławione, aby je tu wspominać. Zato tajemne układy Władysława IV z papieżem Inocentym ⁵⁾, Wenecją i Kozakami co do wojny tureckiej i cała ta burza sejmowa, jaką wytrzymać musiał z domatorską szlachtą i ów reskrypt, tyle upokarzający dla tronu ⁶⁾ — wszystko to naprowadza na mniemanie, że król pod urokiem odniesionego zwycięstwa pragnął przeprowadzić reformę, której w latach spokojnych mózdz przewodzić nie spodziewał się. Kanclerz Jerzy Ossoliński pomagał mu w tej pracy — za to dostała mu się w udziale nienawiść u braci szlachty. Jan Kazimierz napróżno rozpoczynał dzieło Danaid. Znajduje się w Monumentach Theinera ⁷⁾ obszerna między nim a papieżem Aleksandrem VIII korespondencja w przedmiocie elekcji króla za życia jego na sejmie 1658. Ojciec święty osobne listy do króla i narodu wystósował, polecając, aby obrano pana katolickiego a o unię starannego. Pan des Noyers w relacjach swych opowiada, że pod naciskiem publicznych nieszczęść 1655 r. „wszyscy senatorowie i szlachta zgadzają się, że trzeba zmienić formę rządu.“ Wiemy z historii, jakie bolesne koleje przechodzić musiał król Jan za to, że śmiało pomysleć tylko o koronie dla jednego z synów swoich. Wiemy o usiłowaniach bezowocnych Stanisława Leszczyńskiego i rodziny Potockich.

¹⁾ Polityczną literaturę narodu z tej epoki rozwinął pięknie p. Stanisł. Tarnowski na swej rozprawie habilitacyjnej w maju 1869 r. w Krakowie.

²⁾ Przedmowa do historii Długosza.

³⁾ Przez złożenie tytułu dziedzica Litwy na sejmie piotrkowskim r. 1564. Tym aktem rozwiązano ręce obydwu narodom do wolnej elekcji, która była uzupełnieniem konstytucji polskiej.

⁴⁾ Lit. Sław. kurs I. str. 319. — Szuski „Dzieje Polski“ t. III. str. 71.

⁵⁾ *Monumenta Polonica et Lituanica. Theineri* t. III. 441—443.

⁶⁾ *Volumina legum Konarskiego* t. IV. 83—85.

⁷⁾ *Mon. Pol et Lituan.* t. III. p. 515.

W tej epoce i następnej już każdy roztropny tylko ruszał ramionami, bacząc na konstytucją polską, lub spisywał plany reformy na wzór Karwickiego, których nie miał odwagi drukiem ogłosić, czując konieczność i zarazem niemożebność tej naprawy. Zamach stanu Czartoryskich zmierzał wprost do obalenia obydwu tych instytucyj kardynalnych: ostatni król elekcyjny Stanisław Poniatowski wyznaje otwarcie, „iż interregnum od czasu jak korona stała się elekcyjną, stało się przyczyną upadku Polski¹⁾; a konstytucya majowa, mająca ustalić szczęście Polski, i *liberam electionem* i *liberum veto* na zawsze z księgi praw wykreśliła. Znów niczego tak troskliwie nie przestrzegaly zaborecze dwory, jak zachowania *liberum veto* i wszystkich braków konstytucyi. Tych kilka pobieżnych uwag wystarczy, aby się przekonać, że przez całe dwa wieki z górami istniało w każdej chwili w narodzie poczucie potrzeby reform w konstytucyi²⁾.

Dość zresztą rzucić okiem na one dwie kardynalne zasady, aby się o ich fatalnej doniosłości przekonać. Nikt jej trafniej nie skreślił jak Mickiewicz:

„Wedle wyobrażeń polskich, każdy członek będący częścią całości politycznej, nie przestaje nigdy praw swoich używać, wolen jest zawsze wyjść z społeczeństwa, jest to wolność osobista posunięta do najdalszego kresu. Wolność tę może on podczas obrad poświęcić rzeczy publicznej, ale także ma moc zawsze ją zachować; jest to ten stan wymagający po obywatelu tej ciągłej ofiary, jakiej religia wymaga podobnież po sumieniu chrześcijanina. Polak uważa się być podległym społeczeństwu, nie dla tego, że go wpisali przodkowie, ale że sam je poślubił jako najsprawiedliwsze, najlepsze i najpiękniejsze; przyznaje też sobie prawo nie tylko je opuścić ale wstrzymać, gdyby widział że schodzi na błędną drogę, rozmija się z własnym mu celem“³⁾.

Wszystko to bardzo piękne w teorii, ale jakże straszne w praktyce. W onej ogromnej liczbie szlachty zjeżdżającej strojno i zbrojno na pole elekcyjne, lub na sejmiki tłoczącej się gromadnie — jakże można rozumnie przypuścić, że nie znajdzie się żaden, któryby odmówił tej „ciągłej ofiary?“ Jakiejże to cnoty i zaparcia się samego siebie potrzeba w całym społeczeństwie, aby utrzymać się mogła konstytucya, zdająca wszystko, najważniejsze nawet warunki bytu, jak opatrzenie obrony, ustanowienie podatków, na dobrą wolę pojedynczego obywatela?

¹⁾ Listy króla do Bukatego. Ostatnie lata Poniatowskiego, przez Kallinkę, t. III. str. 155.

²⁾ Przed nie wielą laty wynaleziono ważny dokument historyczny z r. 1708 „świadczący wymownie, jak nawet w czasie rozpasania się nierządu u nas ludzie wyższego umysłu o naprawie Rzpltej marzyli“ (*Przeegl. Polski* r. 1869. kwiecień. str. 13). — Dokumentem tym jest dzieło pod tytułem: „*Stanisława Dunina Karwickiego de corrigendis defectibus in statu Reipublicae Poloniae discussus 35, libris sex. comprehensi. A. D. 1708.*“

³⁾ Lit. Sław. kurs II. str. 32.

Jeden z wielkich mężów stanu nazwał niedobłą i błdną tę konstytucję, która wymaga wysokiej moralności w narodzie. Bardzo słusznie — bo jak pożądaną jest rzeczą moralność i godność narodowa, tak znów niedorzecznością jest, całą polityczną budowę tak rozległych państw, jak Polska, opierać jedynie na moralności publicznej. Doświadczenie historii daje tej prawdzie wymowne poparcie.

Do rządzenia państwem potrzeba także politycznego rozumu. Konstytucya polska przypuszczając do współdziałania w rządzie wszystkich i każdego z osobna, wymagała tem samem politycznego rozumu u wszystkich. Któż znowu nie wie, że ta trudna sztuka rządzenia państwem, ta znajomość spraw publicznych, połączona z tem, co zowiemy rozumem politycznym, jest udziałem nie wielu?

Konstytucya polska grzeszyła tem jeszcze, że zlewając na pojedynczych ludzi niezmiernie prawa, nakładając na nich ciężkie obowiązki, a tem samem wielkiej od nich domagając się cnoty obywatelskiej i wysokiego nastroju ducha a większego jeszcze rozumu politycznego — żadnej, ani na jedno, ani na drugie nie dawała rękojmi: owszem wystawiała moralność i godność narodu na gwałtowne pokusy, już to otwierając wrota intrygom obcych, już to pozwalając się krzewić swobodnie najwybredniejszym doktrynom i sektom.

Słusznie tedy Mickiewicz, powiedziawszy, że tu „gdzie wszystko zależało od dobrej woli i nieustannych poświęceń każdego, surowość obyczajów, wyteżenie ducha, były istotnemi zasadami publicznego życia; że wszelkiej potęgi źródłem był tu zapal powszechny, sam jeden zapal, nic więcej“ — zapytuje sam siebie: „Ależ jak wysnuć stały organizm królestwa z tego pierwiastku? jak ułożyć systematycznie artykuły konstytucyi opartej na tem, co jest tak przelotne, niezależne od woli, niewyrachowane? Możnaż obudzić zapal kiedy chcąc i wiele chcąc? Były wprawdzie ogromne wypadki tchnące samym entuzjazmem, wyprawy krzyżowe, wojna trzydziestoletnia, niektóre kampanie rewolucyi francuzkiej. Ale możeż być państwo, któreby trwało, żyło, działało mocą tylko entuzjazmu? Dotąd nie mamy takiego przykładu — będzież on kiedyś?...“ Gorące serce nakazało odpowiedź: „Tego nie godzi się przesądzać“¹⁾, ale zimny rozum dalby podobno przeczącą odpowiedź.

Stało się więc co się stać musiało. Jak długo nie wyczerpnęły się zasoby obywatelskiej cnoty, które nagromadził oligarchiczny rząd Piastów i pierwszych Jagiellonów, jak długo znaleźli się w narodzie mężowie, którzy kupiąc się koło tronu, powagą swoją powstrzymywali młodszą braci zapędy, a przykładem własnym do dzieł chwalebnych i ofiar dla ojczyzny porywali, tak długo mimo całej wadliwości konstytucyi, naród postępował i potężniał politycznie, zdobył się na wielkie wojenne czyny. Ale skoro grono owych mężów z każdym pokoleniem malało — skoro rozpolitykowana szlachta nie dała się już ująć w karby żadną powagą magnata: zle, robaczkliwe drzewo konstytucyi wydało swój owoc: upadek moralny, zerwanie obopólnej zgody, nieład

¹⁾ Lit. Sław. kurs II. str. 34, 19, 35.

i polityczną niedoleżność. To też zgodne jest historyków przekonanie, że „w Polsce stało wszystko ludźmi a nie instytucjami“, że „błędne koło instytucyj polskich płało kraj w coraz większy zamęt, a wystawiając obywateli na niezliczone pokusy do złego, zmniejszało coraz bardziej ów zastęp filarów ojczyzny, wprowadzało zepsucie i nurtowało pod budową państwa“¹⁾; że „rozprzeżenia żywioty leżały w przywilejach rozmaitych stanów i w nieograniczonej wolności ich nadużycia. Póki te przywileje powściągał duch żywotny, zmierzały one ku dopięciu celów ogólnych — skoro później wszczął się zamęt umysłowy i polityczny, rozerwały wszelkie ogniwa jedności i siły moralnej“²⁾.

I to jest właśnie to, co jako konieczny wynik błędnej konstytucyi wskazałem: rozerwanie ogniów jedności i rozstrojenie siły moralnej.

Ta dowolność i elastyczność konstytucyi polskiej w żadne ramy nieujęta, tak, że ją każdy mógł tłumaczyć jak chciał, że na każde prawo zabraniające lub nakładające obowiązki znalazło się kilka praw innych, które też same zakazy lub nakazy niweczyły — to mówię, dowolność miała jeszcze wielką szkodliwą doniosłość psychiczną. Całe pokolenia chowały się i wzrosły w jakiejś kapryśnej niesforności umysłowej, której już nic, nieszczęścia nawet wiekowej niewoli uleczyć nie mogły. Łatwo tedy pojąć, że niepodobną była zgoda i harmonia najprzód między królem i narodem — a potem w łonie samego narodu.

W dzisiejszym ustroju państw opozycja przeciw rządowi stała się osią zwrotną parlamentaryzmu. Dawniej nie było tej potrzeby stawiania kozłem przeciw królowi. Jeszcze monarchowie, tytułujący się „z bożej łaski“ nie wyrzekli się zasad chrześcijańskich w polityce, jeszcze interes i chwilowa korzyść nie stała się jedyną modłą i celem jedynym ich rządów — jeszcze tronów swych nie opierali na bagnietach. Obdarzeni zwykle bystrym rozumem politycznym, lepiej niż ludzie prywatni świadomi stosunków i politycznych konstelacyj, nie pragnęli niczego, coby bezpieczeństwu i rzetelnemu dobru ludów zagrażało.

Można więc było im zaufać i ręką w rękę idąc, kroczyć bezpiecznie na wytkniętej przez Opatrzność drodze. Przedewszystkiem prawosie i moralna zacność Jagiellonów powinna być Polakom rekojmią obopólnej zgody. Stało się inaczej. Tej harmonii króla z narodem, lat nie wiele rządów Zygmunta I wyjąwszy, nie było nigdy. Dopieroż prawo *liberae electionis* utrwaliło ten fatalny rozłam. Wolno obrany król, zwykle z innego narodu, przynosił z sobą już wykończoną politykę, Polsce często niepożyteczną, częściej wstępną i wręcz przeciwną. Ginęło tedy to, co wszystkim politycznym państwom najdroższe być powinno — tradycya narodowa; — a na jej miejsce następowała polityka dworu, obca narodowi, często przedmiot nieublaganej jego nienawiści — i stało się drugą naturą Polaka stawić się hardo i opierać królowi jedynie dla tego, że król to każe

¹⁾ Szujski. „Dzieje Polski“. t. III. str. 1.

²⁾ Lit. Sław. II. 288.

lub tak mieć pragnie, choćby to zresztą było rzeczą najzbawienniejszą i najbardziej konieczną.

Nie mogło też być zgody i pomiędzy obywatelami, choćby już dla tego, że obok partyi tak zwanej patryotycznej lub narodowej, uformować się musiała partya dworska. I ta ostatnia zawsze odznaczała się większą sfornością, większym zmysłem politycznym, podczas gdy pierwsza rozpadła się zwykle na tyle drobniejszych facyj, ile było możnych rodzin, nie trzymających z dworem. Ponieważ rząd nie dokonywał tego, co dokonać był powinien — pojedyncze domy a często pojedyncze osoby brały na siebie w intencjach mniej lub więcej szlachetnych obowiązek kierowania publicznym sterem. Ztąd politykowanie na własną rękę — ztąd na ruinach królewskiego majestatu troniki wielogłowego możnowładztwa. I niechaj nikt nie sądzi, że ten rozdział na partye, ta polityka na własną rękę, ta nałogowa opozycja królowi nie istniała w Polsce już w XVI wieku. Nie było może nazwy — ale tkwił już zaród zlego. Okażę to niżej.

Na tak wątle i bezładnie uorganizowane społeczeństwo wionął rozrywający wszystkie węzły moralne i polityczne duch herezyi. — Będzie na innym miejscu sposobność wykazania tych szkodliwych ciósów, jakie różnowierstwo politycznej budowie Polski zadało. Tu tylko mam na oku moralną stronę herezyi. Otóż herezya z natury i rodowodu swego przynosiła z sobą przeczenie i wywrot, bo każda herezya jest negacją. A że w Polsce z królewskiej władzy nie było już co przeczyć i wywracać, więc za to tem namiętniej rzucono się do przeczenia dogmatów i wywrotu moralnych zasad. W żadnym politycznym państwie nie istniała taka potrzeba katolickiej wiary i cnoty prawdziwie chrześcijańskiej jak w Polsce — bo żadne inne państwo „nie stało instytucjami tylko ludźmi“ — to też w żadnym innym państwie różnowierstwo tyle szkód względnie nie wyrządziło co u nas w Polsce. Względnie, powiadam — bo w zupełnie innych, niekorzystnych dla siebie warunkach zawitała herezya do Polski jak do państw innych, a jednak tak fatalnie na szali politycznego bytu przeważała.

Ten tedy duch reformatorski, duch pychy i zarozumialości, duch przeczenia i wywrotu rozerwał na wieczne czasy na podstawach błędnej konstytucyi słabo spojoną zgodę — dzieląc naród na dwa obozy religijne, a tem samem i w rzeczach polityki z sobą poróżnione — utrudnił, uniemożliwił prawie królom trudne dzieło kierowania tak rozstrojenem społeczeństwem — a podkopując moralne i domowe cnoty, usunął jedyną silną podstawę, na której wznosił się wąty gmach Rzeczypospolitej.

Co jeżeli w chwilach politycznej potęgi, rozkładający pierwiastek, różnowierstwo, dał się uczuć tak dotkliwie, to w ostatnich latach politycznego upadku, filozofizm wieku XVIII przyspieszył godzinę konania i sam zgon Rzpltej uczynił sławnym.

Jeżeli kiedy, to właśnie wtenczas potrzebna była narodowi moralna cnota, już dla tej prostej przyczyny, że w obec ukoronowanego cynizmu i bezsumiennosci — cnota, cnota sama jedna opór stawić zdola, a jeżeli ulegnie przemocy, to z chwałą i chlubą dla narodu.

Dalekim jestem od tego abym twierdził na pewne, żeby tak rozstrojone państwo jak Polska na początku XVIII wieku utrzymać się mogło było w obec nowego porządku rzeczy, jaki zaprowadzić niebawem mieli monarchowie ze szkoły filozofów — choćby taż sama szkoła nie znalazła u nas tak licznych zwolenników, ale to śmieje twierdzić mogą, że w takim razie historia upadku naszego nie byłaby przepelnioną szkaradą czynów tyle upakarzających naród, jak jest teraz.

Z takiego składu rzeczy, gdzie najrozleglejsza wolność została na lasce pojedynczych obywateli dobro publiczne, a znów ci obywatele z przytępionym zmysłem politycznym, z wykoszlawioną cnotą obywatelską i udanym patryotyzmem tam tylko publiczne dobro najczęściej widzieli, gdzie własne lub familijne dały się odnieść korzyści: wyrósć musiała koniecznie anarchia. Anarchia w rządzie Rzeczypospolitej. W obec uorganizowanej polityki gabinetów, posługujących się przebiegłością dyplomatów, sprytem agentów, intrygą i kłamem, nieskrupulatnej w środkach, byle te wiodły do celu: Polska nie zdołała postawić jak tylko rozstrzelone usiłowania dworu i magnackich familij, często z myślą nie daleko sięgającą, częściej bez myśli i wytkniętego celu — a zawsze bez zdolnych mężów stanu. Oszukiwali tedy Polskę kolejno: Brandeburczyk, carowie Moskwy, Francya a w końcu mocarze świętego przymierza. Anarchia w administracyi krajowej, w prawodawstwie, w trybunalach, nareszcie w życiu prywatnem domowem. Nadto wiele już o niej w pamiętnikach, w powieściach i poważnych historyach pisano, nadto wiele żalów nad nią rozwodzono — abym tu potrzebował obszerniej się tłumaczyć ¹⁾. Idzie mi tylko o wykazanie tej fatalnej konieczności, jaką z wadliwej konstytucyi, by z źródła zatrutego, rozkładowe czynniki upadku Polski wyływały, lub w niej otuchę i pomoc pewną znaleźć musiały.

Teraz już nic nie przeszkadzało sąsiednim dworom dokonać zbrodni od lat wielu przewidzianej. Polska w XVIII w. z całym swem wewnętrznym gospodarstwem i polityczną niedoleżnością zostawała w dziwnym kontraście z całą Europą na pierwiastkach monarchizmu graniczącego o międzę z despotyzmem opartą i rządzoną. Uważano Polskę za państwo o wiek cały zacofane w cywilizacyi, na pół barbarzyńskie, a nader niebezpieczne monarchicznym dążnościom przez samą swoją sprzeczność z monarchicznymi państwami Interes polityczny, owa

¹⁾ Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu ogłosiło przed kilkoma laty konkurs premiiowy na najlepszą rozprawę „o przyczynach słabości rządu w Polsce w ostatnich dwu wiekach XVII i XVIII.“ Znalazłem ją ogłoszoną w Roczniku hist. lit. paryzkim na r. 1870. Autor za dewizę rozprawy kładzie słowa Bielskiego „ale o rządzie szkoda u nas mówić“. Czytałem ją w czerwcu 1871 r. podczas gdy te karty pisałem 1867. Jakże się więc zadziwiłem i ucieszyłem zaraz m uderzającą zgodnością zapatrywań i sądów autora z mojami w najdrażliwszych kwestyach dziejów Polski.

Pozwoli czytelnik, że w ciągu mej pracy odwołam się nieraz na powagę autora paryzkiej rozprawy, która mem zdaniem osobnym przedrukiem powinna być rozpowszechnioną.

jedyna natenczas modła królów i rządów, nakazywał Prusom, Mo-skwie i Austrii znieść i zniszczyć Polskę jako polityczną anomalie; innym państwom, mianowicie Anglii nakazał milczenie, nieinterwencją. Stawały tylko na przeszkodzie prawa sprawiedliwości i odwieczne prawa narodowe — ale już od dawna przestano rachować się z niemi. Polityka wtenczas jak dzisiaj nie przyjmowała żadnego wyznania re-ligijnego i żadnej zasady moralności — chciała być bezwyznaniową, aby zostać bezsumienną — popełniono tedy zabójstwo na narodzie¹⁾.

Taki jest ryczałtowy pogląd na przyczyny upadku Polski. Idzie teraz tylko o to, czy Jezuci przyczynili się w czemkolwiek do roz-woju i spotęgowania tych czynników rozkładowych? Nieprzyjaciele ich powiadają, że tak. „Jezuci demoralizowali naród“ jest to ulubiony ich zarzut i figuruje na pierwszym miejscu. Chciejmy zastanowić się głę-biej nad tą demoralizacją narodu przez Jezuitów.

Według literatów naszych, Jezuci trojakim sposobem demoral-izowali naród: raz przez edukacją, powtóre przez nieuczucie wpływów swych na szlachtę, tj. że nie sprowadzili jej na drogę legalności i dobrze zrozumiałego samorządu; nareszcie przez pochlebianie magna-tom i możnym. Uчени ci zdają się chcieć wzmówić w nas i przeko-nać, że przed Jezuitami, demoralizacji i upadku obywatelskiej cnoty w Polsce nie było: dopiero z Jezuitami przyszło wszystko złe na nieszczęśliwą Rzpltę. Demoralizujące wpływy Jezuitów ogarnęły dwór, magnatów, szlachtę, starców, mężów, kobiety i młodzież. Jezuci umieli się wszędzie wcisnąć, wszędzie stać się niezbędnymi i wszędzie działać i pracować na zgubę Polski. Rozwielmożniony bogactwem i znaczeniem zakon trząsł Rzeczpospolitą i jak zły geniusz towarzy-szył jej aż do grobu i z nią w grób się położył, ale na czas tylko krótki.

Nic łatwiejszego, jak wykazać mylność, złą wiarę i niedorze-czność zdań i sądów. Przywołując na pamięć czytelnikowi to, co o przyczynach upadku Polski wyżej powiedziałem, a do wypowiedzenia czego źródłami historycznymi i własną panów literatów pracą czulem się być upoważnionym: śmiało twierdzę i utrzymuję, że wszystkie zarody wewnętrznego rozstroju tkwiły w tonie Rze-czypospolitej jeszcze przed wprowadzeniem Jezuitów i przed ustaleniem się ich wpływów i znaczenia.

Pierwszy fatalny objaw braku obywatelskiego poświęcenia i bru-dnej prywaty jest wojna pruska za Kazimierza Jagiellończyka i takie przywileje jak cerekwicki. P. Szujski bardzo trafnie ocenia owe pierw-sze symptomata ciężkiej niemocy, nazywając je „jednym z najsmutniej-szych ruchów“²⁾.

Drugim objawem rozprzężenia narodu z tronem, anarchii i pry-waty, że pomimé inne mniej wybitniejsze, jest rokosz lwowski. Wy-stępują tam w jaskrawych kolorach wszystkie wady polityczne, których

¹⁾ Ten krótki ustęp jest streszczeniem innej, kilkoletniej, ale niewy-kończonyj jeszcze pracy: „o przyczynach upadku Polski.“

²⁾ Dzieje Polski t. II. str. 91.

wskrzesicielami mieli być Jezuici: buta, swarliwość, prywatna, żądza domatorstwa i zupełna bezmyślność polityczna. Rokosz lwowski wyprzedził na lat 26 wprowadzenie Jezuitów do Polski. Potrzebaż jaśniejszych dowodów? W latach 1538—1546 Jezuitów nie było jeszcze w Polsce; proszę otworzyć historią sejmów z tej epoki — a znowu uderzą nas w społeczeństwie polskim, przez sejmy reprezentowanem, te wady i zdrożności, których nauczycielami mieli być Jezuici.

Komuż nie wiadoma burzliwość sejmu 1548 roku, a wywołała ją intryga Bony? Cóż sądzić o Kmicie i całym jego stronnictwie, a było ono liczne i potężne, bo z bronią w rękę odgrażało się królowi. Jezuitów jeszcze wtenczas nie było, a demoralizacya szerzyła się na dobre. Sejmy z lat 1552, 1554, 1556, 1558 rozwiały się na niczem dla wzburzonych i rozgorączkowanych religijnymi nowinkami umysłów. Nie było wtenczas Jezuitów — ale wstrząśnienia, które zgodny dotąd naród na partye i obozy podzieliły, które dla sporów namiętnych Rzplęte bez obrony, siły i sprawiedliwości na lat kilka zostawiły — nie byłyż one demoralizującemi w najwyższy sposób? Pan Szujski skarży się słusznie na upadek obywatelskiego ducha już pod koniec panowania Zygmunta I, „które acz spokojny zewnątrz, smutny wewnątrz stan przedstawia”. „Poważny, harmonijny początek rządów Zygmunta I smutny tworzy kontrast z wojną kokoszą i ostatnimi latami tego króla“¹⁾. Była więc demoralizacya w narodzie, nim Jezuici przyszli do Polski.

Ostatni Jagiellończyk umarł, i nastąpiła pierwsza elekcyja a z nią pierwsze objawy sprzedajności. Rzucił hojnie złotem cesarz niemiecki, rozdawał wiele, a obiecywał jeszcze więcej kandydat francuzki. Świadczy między innymi dobrze tych sprawek świadomy Sędziwoj Czarnkowski, (który sam był jurgeltnikiem cesarskim) w liście do Zofii Jagiellonki, księżnej brunświckiej (dnia 20 maja 1573). „Żalosc serdeczna nam dobrym ludziom, widząc iż się mocą dzieje wszystko, praktykami, niestatkiem, pożytkiem własnych rzeczy, bo staroście żmudzkiemu (Janowi Chodkiewiczowi) i wojewodzie wileńskiemu (Mikołajowi Radziwiłłowi) obiema obiecano od Francuza dać 100.000 koronnych i pewne jurgelty co rok i pewne imiona....“ Siła województw miał za sobą Francuz częścią te przedniejsze upominkami i wielkimi obietnicami uwiedzione, częścią tą praktyką królowny JM. Anny.... Gdyby się tym stracyuszom było co dało i obiecało, pewnie za nami wszyscy.“ (Jagiellonki polskie tom IV).

Na drugiej elekcyi, która w trzy lata po pierwszej nastąpiła, już znamy po imieniu jurgeltników cesarskich, którzy nie dopisawszy na elekcyi, przysługiwali się Habsburgom szpiegowaniem kroków W. Batorego. Jezuici dopiero od lat nie wielu osiedli w Polsce, posiadali zaledwie kilka domów, a w narodzie żadnego jeszcze nie potrafili sobie zdobyć stanowiska — nie można więc owej widocznej demoralizacyi przypisać ich wpływow. Sejm inkwizycyjny i rokosz sandomierski obalily do reszty powagę tronu tyle ważną i świętą dla Rzeczypospolitej.

¹⁾ Dzieje Polski. II. 233—339.

Panowie Niemcewicz, Bandtke, Szujski, a za nimi cały tłum literatów z profesyi wspominają ogólnikowo, że król dostarczał sam powodów do nieukontentowania, bo polegał na radzie obcych i poufnych, a tymi mieli być naturalnie Jezuici¹⁾. Ale jakież dowody na to? Co do układów w Rewlu, zerwał je król głównie na przedstawienia ks. Skargi Jezuity²⁾. Zamojski, który udawał, że przejął wszystkie sekreta intrygi, nie wspomina nic o współdziale Jezuitorów: jak przedtem tak i potem okazywał im przychylność i względy, co dowodzi, że Jezuici istotnie nie byli intrygą objęci. Z współczesnych pism sejmu inkwizycyjnego nie można się doczytać nie tylko winy, ale nawet zarzutu winy Jezuitorów. Rokosz sandomirski zażądał wypędzenia Jezuitorów, to najlepiej dowodzi, że zakon był uważany jako antydotum demoralizacji, że zasady, jakie wyznaje i głosi, są wręcz przeciwne rokoszowym ruchom. W grawaminach swoich podali rokoszanie, jakoby Jezuici mieszczeni się w sprawy państwa. I to ma być dowód dla panów historyków? Wszak liczba grawaminów dochodziła do 60, a z tych ledwo kilka miało jakie takie uzasadnienie, o tem historycy dobrze wiedzą: na namiętnem żądaniu jawnych zakonu nieprzyjaciół opierają swoje zdania i zarzuty — i to znaczy pisać historią? Na zarzut mieszczenia się w sprawy państwa, odpowiedział z ambony w obec króla i zgromadzonych Stanów w Wiślicy ks. Skarga: „W świeckie sprawy z nim (tj. z królem) nigdy się nie wdawamy“.... „Nie kłamam przed Bogiem i ci co słyszeli wyświadczyć mię mogą, iżem mówił i jeszcze mówić będę. Nie chodźcie do nas o wakancye i pożytki swoje. Macie urzędy, kancelarye, sekretarze: na spowiedź do nas i duchowne porady i pociechy przychodźcie... Dowieść na mnie nie mogą, abym co komu uprosił, bo się za tak u króla JM. pana mego wdzięcznego i udatnego nie mam, anim jest, ani być chcę. Jeden jednak na się grzech powiem: woźnicy króla JM., który mię kilkanaście lat wozi i ze mną u dworu się zestarzał, a nigdy mię nie przewrócił, uprosiłem wielką wakancyą na żupach: groszy 20 na tydzień, aby w sta-

¹⁾ Niemcewicz powiada, że sejm inkwizycyjny wywołany został „częścią nieszczerością i tajemnemi Zygmunta postępkami“. Uniewinnia Zamojskiego, głównego sprawcę sejmu inkwizycyjnego, że: „okazywana mu przez Zygmunta oziębłość, przybranie innych powierników i innych łask szafarzów ubodły umysł do rządzenia przywykły.“ (Dzieje panowania Zyg. III. t. I. str. 124—132. Wyd. Turowskiego).

Bandtke wypowiada to otwarciej: „Oddaliwszy się od rady wszelkiej Zamojskiego, słuchał tylko księży zagranicznych, najwięcej Jezuitorów, Niemców i pochlebców dworskich.“ (t. II. str. 162. wyd. Wrocł. 1835). Temu protestantowi tylko księża i Jezuici w głowie — wszystko złe ich winą. P. Szujskiemu nie podoba się dwór Zygmunta III „obsadzonego Jezuitorami“ co ma być niejakiem usprawiedliwieniem rokoszów. (Dzieje Polski. III. 170).

²⁾ Sam Bandtke świadczy o tem: „Jezuitor, Piotr Skarga, kaznodzieja wymowny, najdzielniej pracował nad umysłem słabego króla, aby nie zstąpił z tronu, na którym dla wiary katolickiej tyle może uczynić.“ t. II. str. 161.

rości głodem nie umarł. — Jeżeli tem zgrzeszył, proszę odpuszczenia“¹⁾).

Wobec tego publicznego wyznania Skargi, któremu żaden z tysięcy dobranych słuchaczy kłamu nie zadał, śmie twierdzić Bandtke: „ksiądz Bernard Gołyński i Piotr Skarga, spowiednicy, rozdawali urzędy“²⁾).

Dalej zarzucali rokoszanie Jezuitom, że radzą królowi „*absolutum dominium*“. Gdyby nawet tak było, to dzisiejsza historia nie powinna bardzo gniewać się na Jezuitów, że radzili królowi ująć w karby wolność wyrażającą się w rozhułkaną swawolę. Był to jednak kłam jawny i potwarz, na którą odpowiedział Skarga w temże kazaniu wiślickim: „Ja na kazaniu przeszłego sejmu tegom słowa w uściech nie miał i nie pomnę, abym go kiedy używał; alem często chwalił monarchią, tj. jedynowładztwo... Lecz iż do monarchii trudno znaleźć człowieka w dobroci bezpiecznego i w rozumie niemylnego i bez bojaźni odmiany jego na tyraństwo: pożyteczniejszy jest rząd zmieszany z tych trzech do rządzenia sposobów: aby monarchia obłożona była i arystokracją i demokracją, a pan radą i prawem określony był, żeby moc jego z brzegów nie wylewała, a w rządzie nie błędził i tyranem nie zostawał. To moja była i jest nauka, która się z teologii i doktorów św. bierze; nie wstydzę się jej i żadnego się wykrętacza i przeciwnika słów moich nie boję.“ Zresztą rokoszanie sami siebie w sprzeczności postawili obwiniając Jezuitów: „że tumulty czynią i do scysy ludzi pobudzają“. Jakżeż ci sami ludzie mogą podzegać do tyranii i do rewolucyi? Baczne oko dostrzeże tu rzecz jedną, która przemawia bardzo na korzyść zakonu. Zarzut rokoszania, zadany Jezuitom o *absolutum dominium* dowodzi, że stali oni przy tronie, a pomnijmy, że wszyscy prawdziwie wielcy ludzie w Polsce stawali przy królach, i chociaż współcześni za winowajców ich okrzyknęli, to historia uznała w tem prawdziwą ich zasługę³⁾).

¹⁾ Kazanie Wiślickie r. 1606. Obrona zakonu Jezuitów przez księdza Piotra Skargę. Warszawa. 1814. od str. 124—162.

²⁾ Tom II. str. 162. Wyd. Wrocław 1835. Dodać muszę, że ten Bernard Gołyński był spowiednikiem króla tylko do r. 1599, w którym umarł. Kapłan i zakonnik cichy i spokojny, nie zostawił żadnych pism, żadnych dzieł, a w sprawy państwa nie mieszał się nigdy — przynajmniej żaden historyk dowodów dać nie może. Niemcewicz dodaje, że na dworze króla był jeszcze Wujek, Wysocki i Herbert, co jest grubą pomyłką, bo Herberta żadnego w zakonie nie było, był Herbst, ale ten, jak Wysocki i Wujek, nigdy na dworze królewskim nie byli, zamieszkiwali kolegia w Poznaniu, Wilnie i Jarosławiu.

Po Gołyńskim, spowiednikiem królewskim był Fryderyk Bartsch; rządził przedtem prowincją polską i litewską — a nawet heretykom „*propter comitatem et sanctimonium fuit perquam charus*“. (Rostowski. 235). Obsługując wojsko w obozie pod Smoleńskiem, zarazą tknięty, umarł 1609 r.

³⁾ P. Szujski jednak widzi w tem ujmę zakonowi. „Rokosz Zebrzydowskiego... domagał się usunięcia ich z kraju, co się żadnemu nie zdarzyło zakonowi.“

Potrzebaż jeszcze więcej dowodów, że żywiły demoralizacyjne istniały w łonie narodu, nim jeszcze zakon Jezuitów wpływ swój ustalić i rozszerzyć zdołał? Przytoczę jeszcze kilka. A najprzód anarchia sejmowa, niesumienność w skarbowości, brak sprawiedliwości w trybunałach, odbieganie chorągwi i jawne bunty wojska — to wszystko praktykowanem było w Rzpltej jeszcze przed ustaleniem wpływu Jezuitów — i wyrzucał te zbrodnie i zdrożności narodowi Skarga w kazaniach, mianowicie sejmowych, które lubo dopiero 1600 r. drukiem ogłoszone, ale powiedziane już były pierwszej między 1590—1600 rokiem. Będziemyż więc obwiniać Jezuitów, że oni wprowadzili anarchią i upadek obywatelskiej cnoty?

Dalej konszachty Zborowskich z domem Habsburgów w latach 1576 i 1586 — pierwszej jeszcze na lat 10 zachcianki książęce Łaskiego i Wiśniowieckiego wbrew upominań króla Zygmunta Augusta, wbrew oczywistego niebezpieczeństwa narażania Rzpltej na wojnę turecką: — samowolne zwolywanie zjazdów przez Zamojskiego 1571 r. Zebrzydowskiego i Janusza Radziwiłła rokosz — pierwsze gwałtowne objawy owej buty magnackiej, owego politykowania na własną rękę, owe podszywania prywaty pod dobro publiczne — wszystko to znajdujemy w Polsce, nim jeszcze Jezuici rozwieliźnili. Albo może hersztowie rokoszu i tacy ludzie, jak Djabeł Stadnicki, Łasz, Pękosławski i Kazimirski, istne warcholy i zawadyaki wyszli ze szkół Jezuitów? Nie byliż to wyłącznie prawie heretyckiego obozu rycerze?

Wszystkie więc anarchiczne objawy aż do zajazdów, napotykamy w Polsce już z końcem XVI w. — a przecie powiedzieć nie możemy, że wpływy Jezuitów już były potężne i daleko sięgające wtenczas¹⁾.

Proszę każdego uważnie przeczytać kazania sejmowe Skargi które jak mówię, wydane były na widok publiczny pierwszy raz 1600 r. a mówione przed dziesięciu i dalej laty: wyczyta tam wszystkie symptomata owych straszliwych chorób, na które Rzeczpospolita umrzeć miała. Z tą książeczką sejmowych kazań Piotra Skargi w rękę, twierdzą śmiało i utrzymuję, że w narodzie polskim istniała demoralizacya wielka, anarchia i nieład wielki już przed r. 1600 — przed którym to czasem szkoliwe wpływy Jezuitów w żaden sposób ustalone i rozkrzewione być nie mogły²⁾.

¹⁾ W roku 1597 mieli Jezuici na całą Koronę i Litwę 13 kolegiów i domów (w Brunsbergu, Pułtusk, Wilnie, Poznaniu, Jarosławiu, Połocku, Lublinie, Kaliszu, Dornpacie, Rydze, Nieświeżu i dwa w Krakowie), a w nich 412 osób. Zważywszy, że domy te dopiero od roku 1590 w wielkiej części ufundowane zostały, że tylko w niektórych edukowano młodzież, koniecznie przyznać trzeba, że pod koniec XVI wieku wpływ Jezuitów, a nadewszystko szkodliwe skutki ich edukacyi, mimo nadludzkich wysiłków, daleko sięgać nie mogły. Że wtenczas krzyczano i pisano na Jezuitów więcej niż potem — rzecz jasna — krzyki te podnieśli różnowiercy, bo ocenili do razu, jakie niebezpieczeństwo grozi ich nowinkom od Jezuitów.

²⁾ Proszę każdego przeczytać „Rozmowę Polaka z Włochem“ rzecz napisaną przez Łukasza Górnickiego jeszcze w 1586 roku a 1615 r. drukiem

Autor rozprawy umieszczonej w roczniku hist. lit. paryz. 1870 roku, „o przyczynach słabości rządu polskiego w XVII i XVIII w.“ dowodzi na 13 stronicach, że wskutek przywłaszczenia sobie przez szlachtę praw książęcych (*jura ducalia*), w skutek zlania wszelkiej władzy na burzliwe sejmiki i zidentyfikowania przywilejów szlachty z prawami królestwa, wszystkie zarody upadku moralnego leżały w narodzie już pod koniec XVI w. i zamyka ten ustęp: „Złe, złe, złe się działo,“ nastawały złe coraz cięższe czasy. Ani na prawach stojąca ani z porządku słynąca, ani kwitnąca sprawiedliwością, która była jakoby za granicą wygnana, ani wreszcie siłą i męstwem wojsk parta, chwiała się na podstawach swoich Rzeczypospolita, upadała, mdlała, toczyły ją wrzody, zaraza, trucizna, gotował się pogrzeb. Już nierząd Polski wchodził w przysłowie, polską wolność zwano już nędzną swawolą. Sejmy były jarmarkiem, tandetą, targiem; datek, groźba, pochlebstwo gotowało im skutek. Nie było czem popisywać się. Nie warte

ogłoszoną. Doczytać się tam można owych anachronizmów politycznych, które jako zaród przyszłego upadku Rzeczypospolitej wykazałem. Czy Jezuici tego sprawcami się stali?

W tejsze epoce ks. Piotr. Grabowski napisał: „Zdanie syna koronnego.“ rzecz do Ich Mości Panów Polaków i Litwy wzywając do ligi przeciw Turkom. Czytać tam możesz niemal dosłownie to co Skarga w kazaniach sejmowych o bucie, nieporadności, braku zmysłu politycznego, skąpstwie publicznem, przepychu i zniewieścianości z kaznodziejskim zapałem gromił w narodzie. Oto dla próbki ustęp jeden.

„Do gromady nas zebrać trudno; pieniędzy gotowych nie mamy zaczętem żołnierza mieć nie możemy. Pobór nasz wiecie jak wielką sumę wynosi, żeby to ledwo mem zdaniem na balwierza dosyć było temu żołnierzowi, którego nam na Turka potrzeba, a jeszcze i tego poboru na sejmikach naszych postąpić nie chcemy — ażbyśmy potrzebę widzieli — a nieprzyjacieli to wiedząc tai się i nie pokazuje potrzeby, aż kiedy we wrociech u nas stanie. Wtenczas dopiero o pieniądzech radzić, kiedyby je żołnierzowi rozdawać.. A choćbyśmy już nawet i pieniądze dostatek mieli, jeszczeby nam żołnierza ćwiczonego, koni pocztowych (t. j. dla kawalerii) i armatury nie dostawało. Wszystkośmy staranie nasze na zbytne a kosztowne stroje obrócili, na uczyty i bankiety wytworne.“ O pospolitem ruszeniu powiada, że: „jest na turecką moc niesforne jako cielę na zająca. — Postuszeństwo tam niedbałe, umiejętność rycerskiej dzielności rzadka, aparaty rycerskie i armatura nie wszędzie sposobne — zgoła nie nowina, trzeźwości i skromności nie pytaj.“ A niżej nieco: „Na lchych pobór trzeba sejmy składać z wielkimi gamony (sejmowe listy rozesłać) sejmiki złożyć, o miejsce się sejmowe naswarzyć, jeżeli się nam na sejmie co nie podoba, do braci się z tem odwołać, na to drugie z jazdy czynić, co wszystko nieprzyjacieli przed czasem mógłby wiedzieć, choćby i w Indyi był.“ (*Przegląd Polski* r. 1869) Pisano to między rokiem 1593—1598 zatem pierwszej nim demoralizujące Jezuitów wpływy ustalić się mogły.

Jaroszewicz, pisarz nieprzyjaźny Jezuitom poświęca 16 kart zepsusiu obyczajowemu Litwy w XVI wieku. Czytaj kto chcesz „Obraz Litwy“ tom III, str. 3—15 i 23—27.

nazwiska obrad, im częściej zbierały się, tem większe zle rozdziły: mieszało ją niezgodą przekleństwo boskie. Rąbano się przy spiswanej posłom mocy. Widocznem już było, że zbytnia owa wolność albo wielką niewolę przyniesie, albo wszystkich razem zgubi. Zginiemy! mieli też wszyscy to słowo w uściech a nie było ochoty do poprawy. Psuły dobrą chęć rozumki wykrętne, wskazujące na jarzmo dręczące narody sąsiednie. Pyszny ze swoich swobód mówił obywatel: rozum polityki najdoskonalszy dostawa się w Polsce, trunków tylko i korzeni potrzeba nam od postronnych. Zwaliwszy na króla ostatni ciężar, ciężar wojny sam oddany niby gospodarstwu szlacheic stał się niby obojętnym na to, że Smoleńsk stracony, że Szląsk odpadł, że Tatarzy Ruś płądrowali — oddawszy się spoczynkowi a podlej lichwie, wołał łapać grosz, macać gdzie zakupi, do Gdańska szafować, stroić żonę, skakać, huczeć, psuć pospolity porządek, dobro korony na stronę odrzuciwszy, to przedsiębrał, czemby dom swój zбогacil.¹⁾ Zaprawdę, utylityzm ma także przywary swoje.

Taki już był stan Rzeczypospolitej z końcem XVI wieku (slr. 13, 14). A więc nie Jezuci zdemoralizowali naród — ale go już znaleźli zdemoralizowanym. Inicyatywa demoralizacyi, upadku ducha obywatelskiego i anarchii nie wyszła od Jezuitów — idzie więc tylko o wykazanie: że Jezuci dolewali oliwy na ogień, że zle, które w narodzie zastali, żywili i podtrzymywali swoim potężnym ale szkodliwym wpływem. Panowie historycy i literaci jakie na to podają dowody? Gdzie są fakta i czyny — gdzie *corpus delicti*? Nie podobnego u nich doczytać się nie mogę, twierdzenia i same twierdzenia, sprzeczne ze sobą, ogólnikowe i teńące wyraźną niechęcią ku katolicyzmowi. Dowodów nie ma tam żadnych.

Ależ moi panowie, *quod gratis asseritur gratis negatur*. Mogę więc zaprzeczyć mowie waszej, a nie macie prawa pytać mię „czemu przeczysz“? Nie uczynię jednak tego i chęć uwzględnić wszystkie możliwe dowody, które za wami przemawiają.

Przeciw Skardze i Jezuitom powstawali różnowiercy w stylu Andrzeja Wolana, a z pisarzów katolickich, z historyków narodowych nie pisał przeciw Jezuitom tylko biskup przemyski Piasecki. Historia oceniając znaczenie potężnego jak zakon Jezuitów zgromadzenia, nie powinna i nie może się opierać jako na dokumencie, na panfletach — a tylko tak nazwać można pisma w tej mierze różnowierców — pozostaje jej więc jako jedyny dokument przeciw Jezuitom świadectwo Piaseckiego. W kronice²⁾ jego czytamy: „Jezuici wzięwszy się za ręce z nim (z Jędrzejem Bobolą) mieli zawsze otwarte królewskie ucho i monarchę tego tak skrupowali, że wszystko czynił za ich radą, i nietylko od nich zależał los nadziei i zabiegów dworzan, ale i w sprawach publicznych wszystko królowi poddawali z tem większem dla Rze-

¹⁾ Dosłownie u Modrzewskiego, Reja, Bielskiego, Górnickiego, Solikowskiego, Kochanowskiego, Skargi, Bombusa, Starowolskiego. (*Przyp. autora.*)

²⁾ *Chronica gestorum in Europa singularium. Cracoviae 1645.* str 358 pod notą: *Bobola moritur, aulae regiae facies.*

czyzpospolitej niebezpieczeństwem, że do takiej z nim poufalości przypuszczone były osoby (mianowicie spowiednik i kaznodzieja) od steru szkół lub nowicyatów zakonnych brane a spraw publicznych i administracyjnych zupełnie nieświadome, to też jedyna była przyczyna błędów nietylko domowych ale i zewnętrznych w Moskwie, Szwecyi i Infantach, a przecież poczytywano to prawie za świętokradztwo, jeżeli ktoś odważył się zganić ich mowy lub czynności, i nikt, kto im nie poklaskiwał, nie mógł łatwo urzędu dostać.¹⁾

Świadectwu Piaseckiego mógłbym uczynić dwa zarzuty: raz że jest zbyt ogólnikowe, a w następnem opowiadaniu dziejów nie ma szczegółów sprawdzających ten pogląd ogólny. Powtóre technie niechęcią wyraźną ku Jezuitom, którą zaraz wytłumaczę. Piasecki był biskupem w duchu Uchańskiego i Goslickiego, tj. okazywał się nadto względny i powolny dla różnowierców, i w rzeczach religii łatwo przeskłaniał się na stronę dogodniejszą. Tak n. p. w r. 1635 wbrew wszystkim biskupów i całego niemal senatu obstawał za związkim małżeńskim króla Władysława z córką Palatyna Renu, kalwinką. To ściągnęło na niego niechęć wielu i uszczypliwe przymówki, jakoby schlebając zachceniom króla szukał protekcji i względów. Jezuiti byli uważani zawsze za czoło katolików, być więc mogło, że biskup upartywał w nich sprawców oburzenia na siebie.

Powiększała niechęć biskupią ku zakonowi inna jeszcze okoliczność. Zwyczajem starym, biskupi przemyscy dzierżyli pieczęć koronną. Tymczasem Piasecki, lubo biskup przemyski, nie mógł, mimo zabiegów i starań otrzymać u króla godności kanclerskiej — przypisywał zaś to wpływowi Jezuitów u dworu. To nam tłumaczy jego słowa: „Nikt, kto im nie przyklaskiwał nie mógł dostać urzędu.”¹⁾

Powtóre, Piasecki, który w kronice swej nietylko jest kronikarzem, ale i krytycznym historykiem, zarzuca Jezuitom nadto wiele; bystry rozum jego, gdyby nie był uprzedzonym, niepodobna aby nie dojrzał przesady. Poufalość króla z Jezuitami, ma być według niego „jedyną przyczyną błędów nietylko domowych ale i zewnętrznych w Moskwie, w Szwecyi i Infantach.” Proszę uważać jedyną (*unica*) przyczyną — tego ani nawet sam Bandtke ani Niemcewicz Jezuitom nie zarzucali.²⁾ Kto zbyt wiele dowodzi, niczego nie dowodzi.

Mógłbym więc uczynić słusznie te dwa zarzuty Piaseckiemu — nie czynię jednak — przyjmuję świadectwo jego za prawe, rzetelne i uzasadnione. Cóż ztąd? Przeciw świadectwu Piaseckiego postawię

¹⁾ O stronniczości tego historyografa, mamy świadectwo nowszych literatów. Recenzent rękopisu „o poprawie Rzeczypospolitej Karwickiego“ powiada bez ogródki, „że ks. Piasecki był nadzwyczaj stronny, sam niezupełnie czystych usposobień, że dopiero dzisiaj podglądamy tę dwulicowość Piaseckiego.“ *Przeegl. Polski* r. 1869 kwiecień str. 14. Jakże to długiego czasu potrzeba tym panom, aby przejrżeli.

²⁾ *Haecque causa unica fuit errorum non in domesticis solum sed et in publicis ut Moschicis, Sueticis, Lavonicisque Regni rationibus. Chronic. pag. 358.*

świadczenia wręcz przeciwne biskupów Hozjusza, Kromera, Solikowskiego, Karnkowskiego, Szyszkowskiego, Myszkowskiego, Protaszewicza, Noskowskiego, Konarskiego, Maciejowskiego,¹⁾ takich mężów jak Zamojski, Chodkiewicz, Lew Sapieha. Oni nie tylko piórem, ale stwierdzili czynem, jak wysoko cenili zakon Jezuitów, fundując im domy i kolegia, biorąc ich w opiekę przeciwko pociskom heretyków, powierając im kapelanie wojskowe, utwierdzając przed nimi sumienie swoje własne.²⁾

Historia równowagi świadectwa — proszę tych panów porównać świadectwo jednego z świadectwem tylu mężów równych a nawet wyższych i zasłużeńszych ojczyźnie od Piaseckiego; — i wtenczas dopiero

¹⁾ Ci fundowali im domy i kolegia w Brunsbergu, Lwowie, Kaliszu, Płocku, Wilnie, Poznaniu, Lublinie i t. d. Przy otwarciu kolegium kaliskiego, któremu przytomnym był król Zygmunt III. fundator jego prymas Karnkowski jeden z najwybitniejszych postaci swego wieku, w te przemówił do króla słowa: „Tylko o to proszę, aby W. K. M. miłościwe oko mieć raczył najprzód na to, tam Zgromadzenie *Patrum*, którzy są wielką podporą kościoła, którzy *primum et praecipuam curam gerunt, iuventatis in pietate et in timore Dei optimisque disciplinis formanda et instituenda.*“ *Bibl. warsz.* tom I. str. 472. Bernard Maciejowski miał za spowiednika Jezuitę. — *Argentus de rebus Soc. pag. 85.* Tego Argenta wizytatora prowincyi uczynił Jaroszewicz generałem. (Obraz Litwy tom III) Ci ludzie znają historię zakonu!

²⁾ Jan Zamojski miał aż do ostatnich chwil życia za spowiednika Jezuitę Piotra Kuleszę, który był zarazem kapelanem obozowym. Kiedy raz skarżył się ojciec Piotr staremu hetmanowi, że zakon tylu ma nieprzyjaciół, odebrał odpowiedź: Cóż dziwnego, gdy wielu zna zakon z imienia tylko, i słucha tylko zmyślonych zbrodni, a nie chce dostrzedz tych czynów dobrych, których zakon dokonywa (*Argentus de reb. Soc. pag. 10*). W podwójnej wyprawie na Moskwę r. 1580 i 1581 pełnili w obozie hetmańskim posługi kapelanów OO. Laterna, Jan Kampan, Szczepan Drenocki, Piotr Kulesza i Mikołaj Markiewicz. (Rostowski pag. 98.)

Jan Karol Chodkiewicz hetman w. litew. fundował i nadał Jezuitom kolegia w Krożach, Dorpacie, Myszach i Rydze, miał ich z sobą w obozach podczas kampanii inflanckiej i używał za spowiedników. (Rostowski, 234. 287.)

W pułkach Żółkiewskiego r. 1602 byli kapelanami Jezuiti: „*plures et Societate operarii, imprimis Petrus Kulesza, Nic. Markiewicz, Martinus Ostiensis, suam in castris Lithuanicis militiam theologi militarunt.* (Rost. 215).

W obozie pod Smoleńskiem umarł usługując zapowietrzonym spowiednik królewski Frydryk Bartch 1609. Nawet z szesnastoletnim Władysławem, gdzie hetmanił Karol Chodkiewicz, ciągnęli pod Smoleńsk Jezuiti jako kapelani obozowi — a pan Szujski nie śmiał kazać im odegrać w swym dramacie roli Tryzny.

Lew Sapieha k. i hetman w. lit. posługując do Moskwy, przybrał do swego towarzystwa kilku Jezuitów Stefan Czarnecki ulubieniec narodu wszędzie wioził z sobą kapelana Jezuitę Pikarskiego i Dąbrowskiego (Pam. Paska) Tenże Dąbrowski dysponował na śmierć sędziwego hetmana, gdy w Sokołowie 1665 r. umierał. (Kochowski, *Annal. Pol. Klimakter.* III pag. 167).

wydać sąd o Jezuitach. Zupełnie on inaczej wypadnie jak wypadł, kiedy opierając się na jednym nie całkiem czystym historycznym źródle, wszystkie inne odrzucamy dla tego, że nam niedogodne. Wszyscy nowsi, którzy o Jezuitach pisali, przytaczają świadectwo Piaseckiego z radością i tryumfem, przemilczając o innych. Owszem, u tych panów Hozyusz wprowadzając Jezuitów zawinił, bo użył „radykalnego środka“. Batory potęgując zakon, zblądził, bo nie przewidział fatalnych jego wpływów. I to znaczy pisać historią! Owi najwięksi swego wieku mężowie nigdy nie blądziili, tylko w sprawie Jezuitów. Cóż, może mieli pójść po naukę i radę do takich ludzi jak panowie literaci? Równie i tego pojąć nie mogę, jakim czołem śmie pisać p. Soltykowicz a za nim p. Wojcicki, że Zamojski nie lubił Jezuitów. Czy dla tego, że akademii zamojskiej nie oddał pod ich zarząd? ¹⁾ Podobno i Bartłomiej Nowodworski, kawaler maltański, z tej przyczyny nie cierpiał Jezuitów, że do liceum św. Anny w Krakowie wprowadził profesorów świeckich pod zwierzchnictwem akademii krak. zostających. Piękne dowody! Dziś w Galicyi utrzymują Jezuiti konwikt, to już każdy Polak, który swych synów nie umieścił w konwikcie, jest nieprzyjacielem Jezuitów? Dziwnaby to była argumentacya, a zupełnie w ten sposób argumentuje p. Soltykiewicz: Nie oddali przez siebie założonych szkół Jezuitom, więc ich nie lubili, więc potępiali ich edukacyą. Innych świadectw współczesnych o demoralizacyjnych wpływach Jezuitów historia podać nie może. ²⁾

Jezuita Adam Przyborowski towarzyszy hetmanowi Sobieskiemu pod Chocim 1673 — błogosławi wodzom i wojskom przed bitwą a po zwycięztwie składa dziękę Bogu w namiocie wczyra. (Józefowicz *Annales urbis Leop. Ms. Bibl. Oss.* t. 147 *in fol.* str. 678. — Salvandy t. II, str. 144.)

¹⁾ „Przewidywał albowiem prorockim duchem ów wielki obywatel (Jan Zamojski) jakiem niebezpieczeństwem groziło Polsce zaprowadzenie szkół zakonnych i dla tego starał się, aby jego akademii zamojskiej zapobiegła wszelkiemu szzerzeniu się szkół jezuitkich w owych krajach.“ (Soltykiewicz o stanie akad. krak. str. 64.) Szkoda że brak dowodów na usprawiedliwienie domysłu.

²⁾ Odwołują się jeszcze prawie wszyscy literaci na świadectwo Brosciusza i Klonowicza. Rzecz doprawdy ciekawa, podczas gdy słowa uprzedzonego ku Jezuitom biskupa, zazdrośnego rywala akademika i obrażonego za ostrą pism swoich cenzurę poety chętnie i z emfazą powtarzane bywają; to chlubne dla zakonu słowa Batorego i wielkich mężów Zygmuntońskich świadectwa, troskliwie zostały ominione; owszem Batory i ci wielcy w Rzeczypospolitej mężowie przemawiając za Jezuitami, mylili się i blądziili — tylko Piasecki, Brosciusz i Klonowicz (a może i autor listów sekretnych) ci są luminarzami prawdy! O Piaseckim już wspominałem — o Brosciuszu to tylko mam do powiedzenia, że na świadectwie jego polegać nie można, ile że będąc mistrzem na krakowskiej akademii, interesowanym był w zdepopularyzowaniu szkół jezuitkich, — na interesowanych zaś świadectwach historia swego sądu opierać nie powinna, zwłaszcza że wiele poważnych świadectw staje na przeciw. Co się tyczy Klonowicza, wiadomą jest rzeczą, że zagniewany na Jezuitów, których uważał za sprawców ostrej krytyki dzieła swego: „*Victoria Deorum*“, powstał

Nie wiem także, na jakiej podstawie oparty Bandtke, a za nim wielu literatów utrzymują, że Władysław IV. nie sprzyjał Jezuitom. Czy może dla tego, że ulegając napieraniom akademii, wyrobił u Papieża nakaz zamknięcia szkół krakowskich? Ale historia tej głośniejszej klótni, (którą podam w rozdziale następnym) świadczy, że nie uczynił tego Władysław z niechęci ku zakonowi. Może dla tego, że sprowadził Pijarów do Polski.¹⁾ Ależ historycy wiedzą, przynajmniej wiedzieć powinni, że gościnna, a dzięki Jezuitom katolicka Polska, otwierała bramy wszystkim zakonom kolejno jak powstawały na zachodzie. Zresztą inicjatywa wprowadzenia Pijarów do Polski, wyszła tak dobrze od króla, jak od zgromadzonych stanów na sejmie 1647 r., o czem poświadcza list od tychże stanów do Innocentego X. umieszczony w monumentach Theinera w tomie III str. 449 kr. 419.

Mówią, Jezuitów wygnał z swego dworu;²⁾ Sarbiewski Jezuita był kaznodzieją królewskim, a Stanisław Pstrokoński spowiednikiem.³⁾ Nie bez przyczyny podnoszę właśnie na tem miejscu kwestyę usposobienia Władysława IV. ku Jezuitom. Król ten dla liberalnych zasad i wolniejszego życia ma wielki urok w oczach dzisiejszego pokolenia. Literaci, którzy ten urok pismami swemi wywołali, którzy wynoszą pod nieba jego tolerancyę, jego tendencyę szlachetne ukrócenia swawoli i olbrzymie plany wojny tureckiej, wypowiadają jakby od niechcenia, że król ten niecierpiał Jezuitów. „że był ich osobistym nieprzyjacielem“.⁴⁾

osobnem pismem „*Eques Polonus*“ (istny paszkwil) na nich. Znów każdy rozsądny przyznać musi, że świadectwo pogniewanego poety nie jest pewnikiem historycznym.

¹⁾ W ten sam sposób dowodzą, że Jan Sobieski nie lubił Jezuitów, bo Kapucynów sprowadził. Zapominają, że O. Vota był Jezuitą, że król Jan prosił Stolicę apostolską, aby Jezuitę ks. Pikarskiego wyniosła na biskupstwo kijowskie (Mon. Th. III. 661) a wspomnianego ks. Votę na arcybiskupa in part (tamże str. 124).

²⁾ Jest w tych słowach coś prawdy. Skoro brat królewski Jan Kazimierz wstąpił do nowicyatu w Rzymie (1643) urażony tem król, wydalili spowiednika i kaznodzieję od dworu, został tylko spowiednik Jezuita królowej. Ale już w rok potem zwiedził kolegium warszawskie i nowymi zakon obsypał łaskami.

„*Iratior hinc Vladislaus aulicos e Societate theologos, quibus amanter utebatur adhuc amandavit. Unus ex illis, sibi ut relinqueretur vix precibus impetravit Regina Caecilia. Inde rex alias Religiosorum respectare familias et invitare ad se. Hac ipsa tempestate accivit peregre Patres Ordinis Calasantini; quos volgo scholarum piarum appellamus, et in constructo Varsoviae domicilio collocavit Qamqam ista regis offensa non fuit immortalis, neque annum amplius tenuit principem.*“ Rostowski. hist. Soc. Jesu. Prov. Lith. p 530. A na str. 538 powiada Rostowski: „*Aliquando in triclinium etiam descendit (rex Vladislaus) et medius inter mendiculos Christi servulos, colegas nostros, discubuit parentem suum imitatus.*“

³⁾ Rostowski. Soc. Jesu. 511.

⁴⁾ Szujki t. III 481.

zdają się mówić: patrzcie Polacy — tak wielki, tak popularny król nie lubił Jezuitów, snąć musieli to być ludzie podli, fanatycy, krzewiciele ciemnoty,¹⁾ a tem samem ludzie niebezpieczni dla moralności narodu i podżegacze swawoli. Uwydatniają przeto błędy Zygmunta III, że ten król kochał i protegował zakon, któren oni zdepopularyzować tak gorąco pragną. Zrazu nie poznałem się na tym fortelu „uczonych,“ lecz jakież było zadziwienie moje, kiedy wertując monumenta Theinera, znalazłem obszernie korespondencye tego króla z Stolicą apostolską, korespondencye, które zadają kłam opinii przez panów literatów wywołanej i róższerzonej, a podnoszą właśnie te cnoty zakony, które jak najdardziej wpływają na moralność narodu. I tak, listem z dnia 7 grudnia 1645 r. do Innocentego X. uwiadamia król Władysław Stolicę apostolską o fundacyi domu Jezuitów w Malborgu i żąda papieżkiego zatwierdzenia. Czytam w nim te słowa: „Taka jest bowiem Ojców *Societatis Jesu* w okolicach mianowicie herezyą zarażonych a szczególnie w mieście Malborgu, jużto w utwierdzaniu katolików, jużto w nawracaniu heretyków i w wszelakim sposobie wspomagania dusz usilność i pilność, że gdy tam, ani kościoła, ani mieszkania własnego, ani odpowiedniego utrzymania nie mają, ażeby (jednak) owoc pracy ich obfitszym i trwalszym został na potem, wszelkim sposobem ich tam wspomagać i utundować należy.“²⁾ Jaśniej jeszcze i dobitniej wypowiada swoje przekonanie o Jezuitach w innym liście (z dnia 9 grudnia 1645 r.) do tegoż Papieża, w którym go prosi aby przeciał spory biskupa Chelmińskiego (Kaspra Działyńskiego) z Jezuitami Toruńskimi na korzyść tych ostatnich.³⁾ Oto dotyczący się ustęp: Sądzę, iż rzecz pełna pobożności nie potrzebuje długiego wyliczania (nadewszystko aby się nie zdawało, że chępliwością słów jest wspieraną) u Świętobliw. waszej, jakie i jak wielkie prace i owoce przynieśli Ojcowie *Societatis Jesu* od pierwszego wstąpienia do królestwa polskiego, w uprawianiu i sadzeniu winnicy pańskiej, zarzuconej zresztą na wielu miejscach cierniami herezyi, i jak ją wielorakimi innymi blaskami przyozdobili: od którego to przedsięwzięcia i obowiązku ani na włos jeden (jak mówią) dotąd nie odstępują.“⁴⁾ Proszę dobrze uważać te słowa ostatnie

¹⁾ Na jej rozproszenie mieli być sprowadzeni właśnie Pijarzy; — tak utrzymują literaci.

²⁾ „*Ea est Patrum Societatis Jesu in regionibus praesertim haeresi infectis, et singulariter in civitate Mariaburgensi, qua confirmandis catholicis, qua haereticis convertendis, omnibus modo animabus juvandis industria et diligentia, ut cum nec templum, nec mansionem propriam nec congruam sustentationem istic habeant, quo fructus operae eorum uberior et stabilior deinceps existat, omni ope juvandi fundandique ibi videantur.*“

(*Monumenta Poloniae et Lith.* t. III. p. 436. nr. 398.)

³⁾ „...velim ita per S. V. lites absque mora complanentur et decidentur, quatenus praedicti Patres circa jura sua a serenissimo praedecessore nostro, clementer sibi indulta in toto conserventur, neque in divinis exercendis quoquomodo a quopiam in posterum inturbentur. (Ibid. p. 437.)“

⁴⁾ *Prolixa enumeratione rem pietatis plenam (praesertim ne verbis jac-*

„a quo instituto et munere suo ne lato quidem ungue (ut ajunt) hucusque non recedunt.“ Zdanie p. Szujskiego, że Jezuitom do połowy XVII wieku nie zarzucić nie można, w tem świadectwie króla Władysława znajdzie potężną rękojmię i zupełne usprawiedliwienie.

Że zaś przyjaźne usposobienie ojca swego dla zakonu, król Władysław nietylko nie potępiał, ale je szanował i podzielał świadczy o tem list jego do Stolicy Apostolskiej datowany z Warszawy 23 grudnia 1646 r. „Zrozumiałem, są słowa listu, że podobano się kiedyś ś. p. ojcu memu Zygmuntowi, ażeby dla rozszerzenia chwały bożej w podanej mi Kaszubii zakonnym ojcom *Societatis Jesu* jaki dom w Chojnicy, królewskiem, naszym mieście był nadany... Na mnie więc, który chętnie czcze, jak pamięć ojcowską szacunkiem, tak czyny jego naśladowaniem, spada niejako powinność dopełnienia staraniem mojem tego, czego on śmiercią zaskoczony spełnić nie mógł, i tak pobożnie rozpoczętemu dziełu opatrzyć trwałość.¹⁾

Listy te były pisane już po owem głośnem *Colloquium charitativum* Toruńskiem, którem dobroduszny Władysław chciał wiecznie zbratać katolików z dyssydentami. *Colloquium* do żadnej zgody nie doprowadziło, a Władysław dopiero teraz przekonał się, że z różnawiercami pokoju mieć nie można, że zupełnie pokonać ich należy — Jezuitci zaś z powołania swego zdali się mu być do tego wybornem narzędziem. Ztąd jego tak energiczne występowanie za Jezuitami, pełne godności i szacunku dla zakonu. Nawet przypuściwszy początkowo pewną obojętność i niechęć z jego strony dla zakonu, to ta przemiana w usposobieniu królewskiem wypadająca na korzyść Jezuitów, przynosi im prawdziwą chlubę. A dodać należy, że były to chwile wielkiego na zakon oburzenia dyssydentów, którzy nowemi obelgami mścili się za porażkę na *Colloquium* toruńskiem poniesione.²⁾

tantia adstipulari videatur) apud Sanctitatem V. minus egere puto, quos quantosque labores et fructus Patres Societatis Jesu a primo ingressu in Regnum Poloniae in vinea Domini, sentibus alias haereseos pluribus in locis obsita, excolenda plantandaque fecerint, et variis sacris splendoribus eandem illustrarint, a quo instituto et munere suo ne lato quidem ungue (ut ajunt) hucusque recedunt. (Ibid. pag. 436).

¹⁾ *Placuisse quondam divo Parenti meo Sigismundo, ut pro divini cultus per Cassubiam mihi subditam propugnatione, Religiosis Patribus Societatis Jesu domicilium aliquod Choynecei in civitate nostra regia constitueretur... Mihi igitur qui ut memoriam paternam veneratione, ita facta imitatione libenter colo, incumbit quodammodo id, quod ille fatis preventus non potuit, studio meo supplere, tamque pie inchoato operi de aeternitate, quoad possum, prospicere. (Ibid. p. 441).*

²⁾ Między innemi ułożono złośliwy pamflet, broszurkę, która wyjść miała od biskupów polskich, a w której Jezuitci nazwani są: „wichrzycielami kościelnego porządku, wzgardzicielami praw, najezdnikami obcych praw i ojcowizn, wichrzycielami parafij, potwarcami i paszkwilantami kleru świeckiego itp. Pismo to musiało nabyć rozgłosu, kiedy prymas Maciej Łubieński widział

Chętnie więc zgadzam się z p. Szujskim, i za nim powtarzam: Jezuitom do połowy XVII wieku żadnego zarzutu uczynić nie można, bo byli to ludzie „głęboko przejęci swoim powołaniem, w posiadaniu ogromnej wszechstronnej nauki, niepokalani w prywatnym życiu, biegli i zręczni p nawcy serca ludzkiego. Ale na jakich danych oparty, śmie nazwać p. Szujski Jezuitów drugiej połowy XVII wieku i XVIII w. „zdegenerowanymi,“ wyrodnymi.¹⁾

Już na wstępie dzieła powiedziałem, że jeżeli Jezuiti drugiej połowy XVII w. wyrodzili się, „zdegenerowali“, to o tej degeneracji powinni wiedzieć papież, powinni wiedzieć biskupi. Gdzież tedy są listy tych naczelników kościoła upominające, karcące wyradzający się zakon? W bularium rzymskiem znajduję już w drugiej połowie XVII wieku jedną bulę i kilkanaście brew rzymskich papieży wychwalających zasługi zakonu, a w nagrodę za nie zatwierdzających dawne przywileje, nadających nowe.²⁾ Jaki zaś szacunek, jaką głęboką cześć dla zakonu miał zawsze episkopat polski, pokazało się w chwili kasaty. Nie owi „zdegenerowani“ biskupi: Młodziejowski, Podoski, Massalski,

się zmuszonym zaprotestować przeciw rozsianej w imieniu biskupów potwarzy, i Stolicy apostolską osobnym listem o tem uwiadomić.

W liście tym między innymi czytamy i te pochwały dla zakonu: „Nic w ich życiu, nic w ich nauce nie spostrzegłem, jak tylko co było pobożnem i zakonnem; zdawali mi się zawsze być pomocnikami i nauczycielami kleru świeckiego, instruktorami proboszczów, pedagogami młodzieży, promotorami do wszelkiej pobożności i cnoty, obrońcami wiary katolickiej, gorliwymi Kościoła i św. Stolicy apostolskiej obrońcami.“ Oto początek listu:

„*Sanctissime et Beatissime etc. Venit in manus meas exemplar supplicis libelli, nomine quasi omnium Episcoporum Poloniae oblato Vestrae Sanctitati, in quo accusantur Patres Societatis Jesu veluti perturbatores Ordinis ecclesiastici, legum et episcoporum contemptores, alienorum jurium et patrimoniorum invasores, parochiarum vastatores. dittractores et convitatores Ordinariorum, aliaque multa congeruntur ad invidiam et ignominiam sancti illius ac venerabilis Instituti. Non ergo possum facere, quin hac epistola coner meam liberare constentiam, et coram S. V. diserte testari me nunquam illius scripti conscium fuisse.*“ A powiedziawszy, że ani inni biskupi o tem nic nie wiedzą, że on i cały episkopat polski doznawał wielkich usług zakonu, tak list kończy: „*Nihil in vita eorum, nihil in doctrina observavi nisi piwm et religiosum, adiutores mihi semper et cultores Ordinariorum visi sunt, institutores Parochorum, juventutis magistri, et promotores ad omnem tum eruditionem tum sanctimoniam, fidei catholicae propugnatores, Ecclesiae et sanctae sedis apostolicae strenui propugnatores.*“

Monumenta Poloniae et Lithuaniae. t. III. p. 433.

¹⁾ Jezuiti XVI i pierwszej połowy XVII wieku różnią się stanowczo od późniejszej zdegenerowanej swej braci rozpuszczzonej na służbę mowładztwa i bałamucenia głów szlacheckich płytką i pedancką edukacją, na pisanie panegiryków nikczemnym senatorom i szerzenie fałszywej faryzeuszowskiej religijności. — Dzieje Polski III. 88.

²⁾ *Institutum Soc Jesu. tom fol. I. 161—260.*

Ostrowski stanęli w obronie zniesionego zakonu, ale ci przed których moralną cnotą i obywatelską zasługą uderzyć czołem musi sam pan Szujski, t. j. Sierakowski, Soltyk, Zienkiewicz i Andrzej Załuski. W dokumentach ogłoszonych w tomie II dzieła ks. Ravigniana Klemens XIII i Klemens XIV znajduję listy tych polskich pralatów i czytam: „Towarzystwo Jezusowe od pierwszej zaraz chwili wstąpienia do Polski, okazało się zawsze wiernem królom i Rzeczypospolitej, a wierze św. i dobru powszechnemu zawsze bardzo pożytecznym; ani też wczemkolwiek dotąd odstąpiło od swoich przodków i od instytutu swego, nad które nic nie masz pożyteczniejszego dla rozszerzenia chwały prawdziwego Boga, dla wykształcenia ludów i wychowania młodzieży.“¹⁾ Są to słowa patrioty biskupa Soltyka. A wileński biskup Zienkiewicz pisze do Klemensa XIII: „Dziewiędziesiąty rok życia przy lasce bożej rozpoczynam, i już też w tym zwłaszcza wieku nie oglądam się na sądy ludzkie; świadectwo zaś prawdzie jedynie dać pragnę. Coby nagany godnego u ojców Towarzystwa Jezusowego było, mimo przydłuższego doświadczenia nic nie znajduję.“²⁾ Jakżeż te świadectwa pogodzić z ryczałtowem potępieniem, z degeneracją pana Szujskiego? Nie należałoby też lekceważyć tego uczucia i przekonania narodowego, którego tłumaczem na wielkim sejmie był Tadeusz Lipski, kasztelan łęczycki.³⁾ Dwadzieścia lat miało od kasaty zakonu, szkodliwe, demoralizujące wpływy zakonu powinny były wystąpić na jaw, powinny były być omówione przez wszystkie usta, zwłaszcza że to tak właściwe jest naturze ludzkiej, odszukiwać i rozgłaszać błędy i winy upadłej wielkości. Literaci chwalą ludzi epoki sejmu wielkiego, wysławiają przedewszystkiem ich rozum i patriotyzm, dlaczegoż tak lekko zbywają ten objaw sympatii sejmujących stanów dla Jezuitów? Dlaczego tych ludzi mienia do tyła ogłupionymi przez Jezuitów, że nie

¹⁾ *Sanctitati Vestrae... referam, Societatem Jesu a primo suo in Polonia ingressu serenissimis regibus, ac Reipublicae fidelem, fidei ac bono publico semper parutilem exitisse: neque hactenus a majoribus suis atque ab eo instituto, quo nihil ad promovendum veri Dei cultum erudiendos populos, excolendam bonis moribus juventutem utilis recessisse. Clemens XIII et Clemens XIV t. II, p. 172.*

²⁾ *Nonagesimum divina me conservante clementia inii aetatis annum jamque hujusmodi praesertim aetate non curo, ut ab humano judice die, testimonium autem veritati dare unice quaero, quod in patribus Societatis Jesu reprehendendum merito esset — longiori experientia adverti nunquam.* — Tamże str. 175.

Sierakowski, biskup natenczas przemyski, nazywa zakon: *un corps si illustre et qui rend tant de service, importants à la religion.* Str. 174.

Ów zaś tyle wielbiony przez literatów Jędrzej Załuski prosząc Klemensa o opiekę nad Jezuitami, powiada: tak nam są drodzy i mili, że seminaryum kleryków mej dycezyi ich zarządowi powierzać zamysłam.“ Tamże str. 170.

Listy te noszą datę z 1759 i 1760 r. i są adresowane do Klemensa XIII. Niechże p. Szujski przeciwstawi swoją powagę powadze tych biskupów.

³⁾ Patrz mowę jego na początku dzieła.

umieli, nie byli zdolni ocenić tej łaski, jaką im wyświadczył Klemens XIV kasatą zakonu? „Skasowanie ich w końcu XVIII wieku wszystkim ludziom starej daty zdało się niepowetowanym nieszczęściem“ pisze p. Szujski (III. 246). Otóż „tymi ludźmi starej daty“ to sejm wielki czteroletni! Kasztelan Lipski przemawiał w imię ogromnej większości. Oto są słowa jego: „Czuje tę zakonu jezuickiego szkodę i nasza Polska, kiedy wszystkie prawie województwa, ziemie i powiaty zaleciły swym na zjazd powszechny terażniejszy posłom powtórnym (jako i województwo Łęczyckie pod liczbą zlecenia 24) ażeby Rzeczpospolita nasza upraszała jak najusilniej Ojca św. o przywrócenie do Polski zakonu jezuickiego“ Pomnijmy, że to były te same województwa, ziemie i powiaty, które głosując za zniesieniem *liberac electionis* i *liberi veto* dały dowód swego rozumu politycznego. Jakiemże tedy czołem śmieją panowie literaci, śmie p. Szujski nie rachować się z tą opinią publiczną narodu, uważać ją *per modum non esse*, a tem samem uchylać w wysokim stopniu godności narodowej?.. Tak nie piszą poważni sumienni badacze dziejów, ale tylko literaci z rzemiosła, boleję mocno, że pan Szujski wniósł się w ten tłum niesławny.

Pytam dalej, w czemże była ta degeneracya, ta wyrodność Jezuitów z drugiej połowy XVII wieku? Najistotniejsze obowiązki zakonu. to kazalnica, katedra szkolna, misyonarskie prace i trudy obozowe: przejdźmy kaźden z osobna, szukajmy tej degeneracyi, ażali jej gdzie nie dostrzeżemy. Że kaznodzieje Jezuitów z drugiej połowy XVII wieku i dalej postępowali w ślady Skargi — że byli mimo swoich florydackich zachceń i popisów „patryotami“ — świadczą o tem sami panowie literaci. Dla przykładu tylko zacytuje p. Lesława Łukasiewicza, W jego „rysie piśmiennictwa“ pod rubryką: wymowa kościelna z epoki jezuityzmu, czytam imiona Jezuitów: Lorenkowicza „słynnego kaznodziei“, Młodzianowskiego „który kaznodziejską mównicę zarliwością i dusz pozyskaniem wslawił“, Filipowicza, Poszakowskiego, Rydzewskiego, Borowskiego, „który należy do pierwszych kształcicieli polskiego kaznodziejstwa po przywróceniu dobrego smaku i nauk.“¹⁾ Pan Mecherzyński o wymowie XVII i XVIII wieku powiada: „Głównym przymiotem wymowy tego okresu była narodowość i popularność.“ W wykładach dogmatycznych uderza szczególnie narodowej rzeczy pojęcie. Ludy obcego plemienia i języka, osoby dziejowe i fantastyczne, przemawiają, myślą i działają według wyobrażeń i pojęć panujących w narodzie. Królestwo boże urządzone jest na wzór Rzeczypospolitej. Może ten wiek okazać mówców, którzy światłem i powagą górując nad społecznymi, umieli wrażyć w ich serca budujące i godne ust apostołskich nauki. Dostyć tu wspomnieć Młodzianowskiego. Nie brakło i w politycznym względzie poważnych przestróg i upomnień — jak n. p. w kazaniu Olszewskiego Sнопек.“²⁾ Uderzyło mnie wiece, że panowie literaci podnosząc dodatne strony okrzyczanej epoki Jezuityzmu, wszędzie jako przykłady i wyjątki nierzadkie cytują imiona Jezuitów. Mło-

¹⁾ Rys piśm. polsk. Poznań 1860 str. 248, 251.

²⁾ Historia wymowy w Polsce str. 50, 58, 61.

dzianowskiego n. p. nachwalić się dosyć nie mogą dla jego patryotyzmu i gorącości słowa. Jak w XVI wieku Skarga, tak w drugiej połowie XVII wieku Młodzianowski prym trzyma na mównicy kościelnej. „Wymowa jego, pisze Mecherzyński, przy nader milej prostocie oddycha niewysłowioną rzewnością, poruszającą modlitwą... Pod względem szczeroty i popularności wystowienia, Młodzianowski zbliża się często do Birkowskiego a bezwątpienia przechodzi go czystością i poprawnością.“¹⁾ Tenże autor wylicza dwudziestu pięciu kaznodziei Jezuitów, którym daje przydomki: kaznodzieja niezmordowany, sławny kaznodzieja trybunalski, mówca poważny i gruntowny i t. p.²⁾ A więc oparty na świadectwie samychże panów literatów wnoszę, że zakon, który tylu i takich wydał z łona swego kaznodziejów, nie mógł się wyrodzić, degenerować od starszej swej braci, i na ambonie przynajmniej tej degeneracji ducha wiary i patryotyzmu, mimo różnicy stylu nikt nie dostrzeże. Obok tego zastępu „zarliwych, niezmordowanych, sławnych“ kaznodziei powstaje w tejsze epoce również liczny zastęp mężów, których cnota i świętobliwość jedna im już za życia powszechny szacunek i cześć prawie religijną, że tu tylko wspomnę Łęczyckiego, Drużbickiego i Pawłowskiego. Cnota i mądrość tych ludzi może się niepodobać dzisiejszym literatom i dzisiejszemu pokoleniu, ale bezstronny przyzna, że nie może być mowa o degeneracji zakonnego zgromadzenia, które takimi ludźmi się szczyli.

Również trudno dopatrzeć tej degeneracji w szkołach i nauce. System szkolny, o którym w poprzednim rozdziale dosyć się powiedziało, nie doznał żadnej zmiany a moralną stronę tego systemu potępić jeszcze może tylko ten, kto z góry sobie powiedział, że bądź co bądź, nie złoży swych uprzedzeń. Nie zbywało też Jezuitom polskim w tej epoce na uczonych mężach mających rozgłos w naukowym świecie. Pana Szujskiego i jego towarzyszy odsyłam do dzieła księdza Browna: „Biblioteka pisarzy asystencyi polskiej Towarzystwa Jezusowego.“³⁾ Niech przewertują te czterysta kilkadziesiąt kart, a potem dopiero o degeneracji Jezuitów rozprawiają. Ja na tem poprzestaje, bo jeszcze z tą kwestyą spotkamy się na innem miejscu.

Że nawet w chwili kasaty zakon miał uczonych a głośnych ludzi, świadczy komisya edukacyjna. „Teraz nadmienię tylko dziwną okoliczność, słowa są księcia Czartoryskiego, że komisya edukacyjna zaraz po swojem zawiązaniu, znalazła dla swych prac i dążeń najskuteczniejszą pomoc w pozostałych indywiduach zniesionego zakonu. Najlepsi profesorowie, najgorliwsi naczelnicy szkół i biór komisyi, uczeni najznakomitsi tych czasów: Naruszewicz, Piramowicz, Koblański, Nagorczewski, Woroniecz, Poczobut, Jakukiewicz, Waga, Książnin i t. d. byli Jezuitami.“⁴⁾

¹⁾ Mecherzyński. *Historja wymowy w Polsce*. str. 286.

²⁾ Tamże str. 1, 3, 292 i nast.

³⁾ Bibliograficzna ta praca drukowaną była w *Przeglądzie Poznańskim* na rok 1862 i jest uzupełnieniem Bentkowskiego i Jochera.

⁴⁾ *Żywot Niemcewicza* str. 19.

Bardzo to pięknie, ale zkądże ci mężowie przyszli do tej szerokiej, rozległej a praktycznej nauki i wiedzy? Wynieśli ją z zakonu, którego podobano się literatom nazwać „zdegenerowanym“. Tak się to u nas pisze historya.

Dopieroż na polu publicznych usług, Jezuici drugiej połowy XVII wieku nietylko że stoją na równi z starszą swą bracią, ale ją prześcignęli, dla tej prostej przyczyny, że większe i częstsze były nie-szczęściami i klęski publiczne. Druga połowa XVII wieku jest najpiękniejszą kartą dziejów zakonu, bo zapisaną krwią męczenników, potem i łzami misyonarzy, kończących swój pracowity żywot na usługę zadżumionych. I ludzi, takiego poświęcenia, takiego obywatelskiego ducha, śmie p. Szujski nazwać „zdegenerowanymi!“ Doprawdy trudno mi pojąć i zrozumieć ten sąd autora dziejów Polski, i gdyby nie lata młode, w których to pisał, gdyby nie prawość charakteru, której później w publicznym zawodzie złożył dowody, nazwałbym go przewrotnym. Ale nie wyprzedzajmy wypadków.

TOWARZYSTWA KATOLICKIE W RZYMIE, przyczyna ich powstania — ich wzrost i działalność wobec rewolucyi włoskiej i jej rządów.

Rzym, 8 października 1871 r.

Korespondenci rzymscy do dzienników nawet zagranicznych, donosząc o wypadkach zachodzących we Włoszech, nie dosyć może zwracają uwagi świata katolickiego na niezwykle rozbudzenie religijnego ducha, na wielkie rozmiary, jakie ruch katolicki przybiera w Wiecznym mieście, a mniej jeszcze na stowarzyszenia, jakie się potworzyły ku obronie wiary i dobrych zasad, szczególnież na czynności *Società per gl'Interessi cattolici*, kierującej już nietylko ruchem katolickim w Rzymie, ale we Włoszech, dzisiaj powiedzieć można, prawdziwi przedstawiciele nietylko tutejszej ludności, ale całego apenińskiego półwyspu.

Stowarzyszenia religijne nie są w naszym wieku nowością, gdyż tworzone od lat kilkunastu w Belgii, Niemczech, Francji, Austrii, a ostatniemi czasy we Włoszech i Hiszpanii, przybrały takie rozmiary, że stanowią prawdziwą epokę w dziejach drugiej połowy naszego stulecia. Chociaż wszystkie moralnie brały swój początek w Rzymie, nie były jednak znane w Wiecznym mieście i w całym państwie kościelnem. Rzecz to bardzo prosta i naturalna. Stowarzyszenia ku obronie interesów katolickich, w społeczeństwie katolickim są zupełną anomalią i jedynie wynikiem nienaturalnego położenia dzisiejszych społeczeństw, jakie mu wytworzyły najnowsze rewolucyjne zasady. Bo nie jest zadaniem społeczeństwa opiekowanie się Kościołem, stawianie w obronie praw jego i zabezpieczanie pojedynczym indywidualom wykonywania swobodnego praktyk religijnych, zadaniem to jest państwa, które mając sobie nadane prawo kierowania i rządzenia ludzką rodziną: ma samo przez się obowiązek bronie-

nia jej wiary i interesów jej najważniejszych i najdroższych. Ale kiedy prawo do bronienia ogłosiło się ateuszem, a państwo tak nieszczęśliwie dla siebie, uczyniło zupełny rozbrat z Kościołem, społeczeństwo zagrożone w swej podstawie, nie widząc dla siebie opieki u władzy, samo musiało pomyśleć o swem bezpieczeństwie i szukać środków ku obronie spraw mu najbliższych i najważniejszych, bo stanowiących niemal o jego istnieniu. Były wprawdzie dawnemi czasy rozmaite bractwa religijne, ale te miały na celu ożywienie ducha już wierzących, podniesienie wiary i pomoc czysto duchową, gdy zadaniem stowarzyszeń jest propaganda i w państwie bezwyznaniowem walka w obronie wiary i zdrowych zasad. Bractwa były zawsze pewne opieki prawa i niejako pod jego skrzydłami się tworzyły, stowarzyszenia rodzą się najczęściej w skutek właśnie praw bezbożnych, dla ochrony wspólnej od prześladowania, dla zasłony Kościoła, którego prawo nie uznaje, od wymierzonych nań pocisków bronić nie chce, samo najczęściej będąc powodem napaści. Państwa katolickiego w Europie już nie ma; jedyne, które powołania swego się nie wyparło, obowiązku nie zapomniało i przyjąć do prawa publicznego nowych rewolucyjnych zasad nie mogło i nigdy nie chciało, było państwo kościelne. W Rzymie przeto bractwa od wieków istniejące były bardzo liczne, ale stowarzyszeń religijnych nie znano, bo ich nie było potrzeba, nie byłyby nawet miały racji bytu. Prawo nie stało się w Rzymie ateuszowskie, nie wyparło się Boga, państwo opiekowało się sprawami Kościoła, a społeczeństwo pewne, że uczucie religijne prześladowaniem nie będzie, że interesa wiary we władzy będą miały najlepszego i najpewniejszego strażnika i obrońcę, nie potrzebowało się wiązać w stowarzyszenia. Bo jak pisał słusznie jeden z znakomitych mowców: „gdy nad Rzymem panowało doczesne berło Namiestnika Chrystusowego, interesa katolickie w swej rozciągłości, o ile obejmują wiarę i moralność, religię i dobre obyczaje, były pod opieką władzy, która nie mieszając bynajmniej podwójnych swych atrybucyj: świeckiej i duchownej, ale umiając je pogodzić, bardzo dobrze spełniała swe zadanie mniej szlachetne, posiłkując się światłem i zasadami tej, która była piękniejszą i świętszą.“

Z zajęciem atoli Rzymu przez wojska piemontkie, położenie rzeczy zupełnie się zmieniło. Wiecznemu miastu zagroziło większe niebezpieczeństwo, jakby się to zdawać mogło. Bo kiedy w całej Europie z coraz silniejszymi i zaciętszemi napadami na Kościół, w społeczeństwach chrześcijańskich rosła odwaga i środki obrony i prześladowanie szło niejako w parze z rozwojem ruchu religijnego, tutaj naraz jak nawałnica uderzyła wszystkimi siłami rewolucya na społeczeństwo nieprzygotowane, niezahartowane, niezaznajomione z walką, przyzwyczajone do cichego życia i spokoju pod opieką Piotrowej kopuły. Wiedziała o tem sekta i umiała z dogodnego dla siebie położenia korzystać. Z samego początku gwałtowny szturm przypuściła, zalała zupełnie miasto, wywarła ucisk niesłychany, żadnych nie zaniedbała środków, przekonana, że wkrótce z papieżstwa i katolicyzmu nie pozostanie i śladu. Dopomagał jej otwarcie i rząd, ten sam, co głosił, że rękojmiami dla Stolicy Apostolskiej chce podniesienia i wzmocnienia Kościoła. Rzymianie się więc znaleźli naraz wystawieni na prześladowanie rewolucyj, która widziała się blisko tryumfu i rządu, który wystąpił otwarcie jako nieprzyjaciel wiary i dobrych obyczajów, „co zresztą tak jest widocznem, mówi jeden z dzienników, że rząd nie uważa nawet za obrazę podobnego oskarżenia, przeciwnie przyznaje się doń prawie i chętnie“. A jednak to co się

powiodło, choć w części w daleko trudniejszych dla rewolucji okolicznościach nad Arno i pod Wezuwjustem tego niepodobna było dokonać w opuszczonym zupełnie a wedle florenckich dzienników „wzdychającym do wyswobodzenia Rzymie“. Ileż to razy zdarzyło mi się czytać ostre krytyki na tak zwane „ultramontańskie“ wychowanie, ile to poświęcono czasu, talentu i pracy na szarpanie rzymskiego systemu nauczania „zabijającego zdolność“, „zacieśniającego umysł“, „umyślnie przygniatającego inteligencję“, że nie przytoczymy wszystkich użytych frazesów dla napiętnowania i podania w pogardę szkół chrześcijańskich. Tymczasem dzisiaj one już same za siebie mówią. Gdy w całych mniej więcej Włoszech ze zniesieniem rządów katolickich rządy rewolucyjne wzięły górę i jeżeli nie opanowały całej dwudziestopięciu milionowej ludności, to chrześcijańskie uczucie przydużyły i tryumfalnie zagnieździły się na całym półwyspie; w jednym Rzymie nie tylko nie potrafiły przez całe lat dziesięć jedności włoskiej spiskami i ciągłymi knowaniami ludności zdemoralizować, ale dziś nawet gdy Bóg dozwolił takiego poniżenia Kościoła, gdy wszystkie możebne środki są w ich ręku, zapuścić na siedmiu pagórkach korzeni nie zdołały; pływając niejako po powierzchni, nie potrafiły wdrzeć się we wnętrze społeczeństwa.

Ochłonawszy z pierwotnego przestrawu, otrząśniesz się z pierwszego wrażenia Rzymianie, jak tylko spostrzegli, że wojna wydana jawnie już i otwarcie, wzięli się natychmiast do pracy. Jakby dla zadania kłamu rewolucyjnym wiadomościom, garnięto się z niezwykłą żarliwością do kościołów, które ludności pomieścić prawie nie mogły, podwoiła się pobożność, a w przeciągu kilku tygodni potworzyło się mnóstwo komitetów i towarzyszw dla stawienia zapory tej lawie antyreligijnej, która zalać chciała całe społeczeństwo i uniemożliwić prawie panowanie Kościoła. Przytoczymy tu główne, dla pokazania, jak wszystkie sfery społeczeństwa jednym uczuciem kierowane były i jak gorące przywiązanie do wiary panuje w sercach rzymskiej ludności. A naprzód zawiązało się stowarzyszenie młodzieży katolickiej (*della gioventu cattolica*) na wzór od lat kilkunastu istniejącego w Bolonii, potem kobiet *delle unione pie* pobożnej jedności, dla utrzymania w ludności wiary, dla wspierania biednych i bronienia zagrożonej tak silnie moralności i dobrych obyczajów, które w krótkim czasie liczyło blisko 2000 członków, a czynności swoje co raz bardziej rozszerza; inny znowu komitet, złożony z kobiet i mężczyzn dla przyścia w pomoc rodzinom urzędników, którzy wierni papieżowi zostali i przysięgi złożone nowemu nie chcieli rządowi, drugie stowarzyszenie uniwersyteckiej młodzieży, zwane *Circolo di San Pietro*, dla uchronienia się od złego wpływu wykładów antyreligijnych, dla jedności w wiadomościach i pracy naukowej. I wielu innych większych i mniejszych w przeciągu kilku miesięcy powstałych, uorganizowanych i działających pilnie, które zadziwiają cudzoziemców a zatwożyły partyę ruchu na seryo. Spostrzeżono się jednak, że pojedyncze usiłowania nie wystarczają, że rewolucyjna, systematycznie a z zaciekłością prowadzona praca nie spotyka w społeczeństwie dość jeszcze silnego oporu i że trzeba, by cała niemal katolicka ludność Rzymu związała się w jedno stowarzyszenie, by prawdziwą tamę złemu położyć. Rząd niszczył wszystkie dawne instytucje, ze szkół wypędził zupełnie chrześcijańską naukę, do liceów i uniwersytetu wprowadził nowych a znanych ze swej bezbożności profesorów, zakony znosił, szpitale oddał pod zarząd słynnego rewolucjonisty Pantalione, wszystkie urzędy

zapełnił znanymi ze swej nienawiści do Kościoła ludźmi. Samozwańcza junta ogólny przewrót w administracji czyniła, wszelki wpływ duchowny usuwała, za zaciągnięty dług trzydziestu milionów tworzyła manifestacje jawnie urągające z wiary. Sekta zasypała miasto dziesiątkami dzienników i dzienniczków brudnych, niecnych, a przytem ziejących nienawiścią dla katolicyzmu, w teatrach dawała przedstawienia, których opisywać skromność nie pozwala, wśród dnia białego na najludniejszych ulicach napastowała księży, napadała nawet kościoły, jak w al Gesu, gdzie lud zgromadzony modlił się spokojnie. Na wszystkich więc punktach zagrażało niebezpieczeństwo, ale znaleźli się ludzie, którzy rąk nie opuścili, nie przestraszyli się trudnościami, nie zbledli przed prześladowaniem i zajęli się sformowaniem towarzystwa, któreby mogło stawić czoło rewolucji i rządowej i ulicznej. Myśl była śmiała, gdzieindziej niepodobna może do wykonania, ale w Rzymie, gdzie cała ludność czuła się uciśnioną przez najezdzców i pragnęła żywo obrony wiary, przyszła do skutku niesłychanie prędko, zręcznie i umiejętnie, bo prowadzona z miłością i poświęceniem.

Już dziesiątego grudnia zawiązało się stowarzyszenie dla bronienia interesów katolickich *Società per gli Interessi Cattolici*, które tak było potrzebne na czasie i pożądane, że zaledwie statuta wypracowane zostały i wiadomość rozeszła się po mieście, zgłosiło się dnia jednego kilkuset kandydatów, pragnących wziąć udział w ogólnej pracy. W Rzymie nie wstydzono się zacząć od wezwania na pomoc Ducha św. i oddania się w opiekę Najświętszej Pannie. Przez trzy dni, członkowie założyciele, odbyli zamknięci w kościele rodzaj rekolekcji, by się podnieść i wzmocnić na duchu, wyprosić sobie dostateczny zasób siły do walki i wytrwałości w przedsięwzięciu, zjednoczyć się w modlitwie i wyrobić sobie wspólność dążeń i celów. Wszyscy razem przystępowali do Stołu Pańskiego. Był to widok prześliczny i niezwykły naszym czasom, a jeżeli przeszedł niepostrzeżony prawie, powodem nie tyle jeszcze zajęcie Rzymu i wrodzona obojętność naszego wieku ku wszystkiemu, co podniosłsze i wyższe, ile oblężenie Paryża, zwracające wówczas uwagę całego świata. Towarzystwo nie miało żadnych celów politycznych; wypowiedział to otwarcie i głośno z kazalnicy sławny kaznodzieja Ojciec Curci a kapelan niejako towarzystwa, na uroczystym triduum przy rozpoczęciu czynności. Celem stowarzyszenia było biedz w pomoc, gdzie od sekty grozić będzie niebezpieczeństwo, rozszerzać działanie chrześcijańskie na wszystkie warstwy społeczeństwa, całą katolicką ludność związać niejako w jedną machinę, by jej ich wpływy dosięgnąć nie mogły i demoralizacja postępów nie czyniła. Dla tego nie tworzyło sobie towarzystwo żadnych granic, bo czynności jego miały się zastosowywać do potrzeb i okoliczności, ale z góry zapowiedziało, że istnieć jedynie będzie, dopóki potrwa niebezpieczeństwo; z powrotem rządów papieżkich pozostanie może jako bractwo; ale w obronie interesów katolickich występować nie potrzebując, rozwiąże się jako stowarzyszenie. O ile pomysł był śmiały, o tyle statuta proste, jasne, dokładne a niezawikłane i ładne. Całe stowarzyszenie dzieli się na członków czynnych, którzy biorą udział w ciągłych czynnościach, i niejako honorowych, nie mogących dla ważnych zajęć życia domowego oddać się zupełnie tej pracy, ale przychodzących w pomoc zgromadzeniu propagandą w swoim kółku wedle sił i możliwości, wspierając materyalnie i działając zawsze w jednym duchu. Członkowie czynni dzieli się na komitety, których podstawą są parafie rzymskie z jednym prezesem i sekretar-

rzem, których wybierają między sobą. Plan działania wychodzi z Rady głównej z zarządzającej, wybieranej na ogólnem zgromadzeniu, przyjmowanie członków czynnych przez komitet prezesów w wszystkich parafij. Stowarzyszenie jest czysto świeckie, nie wyklucza z siebie osób duchownych, ale ich przyjmuje jako prostych członków; poddając się z góry wszystkim rozkazom Ojca św. i przepisom władzy kościelnej. Dzieło zupełnie odrębne i nie jest w niczem zależne, ani od jakiegokolwiek zgromadzenia duchowego, ani też którejkolwiek kongregacji papieżkiej. Każdy członek z obowiązku wnosi miesięcznie jednego franka, każdy ma głos wyborczy, ale obowiązuje się zastosować do rozporządzeń Rady głównej zarządzającej, w swoim zaś komitecie prezesa i większości. W pierwszych dniach zaraz przyjęto blisko czterystu członków czynnych, w kilka tygodni liczono niemal ośm tysięcy członków honorowych, będących towarzystwu wielką pomocą, a znaleźli się ludzie, co poświęcili czas, majątek, wpływy, często wygody i spokój, jakiego używali, by się całym sercem oddać tej pięknej i zacnej pracy. Jeden z najlepszych adwokatów rzymskich Bacelli, wybrany wiceprezesem, zamienił klientelę, a interesa swe tak uporządkował, by potrafił siebie i rodzinę wyżyć z zebranego przez długie lata majątku i zajął się jedynie interesami stowarzyszenia. Hrabia Braceschi, młody jeszcze człowiek z gwardyi przybozycznej Ojca św., a członek Rady zarządzającej, wyśmiewany przez dzienniki, napastowany na ulicy, prześladowany we własnem mieszkaniu, poświęcił wszystkie niemal chwile nowemu swemu powołaniu. W biurze towarzystwa potrzeba było pisarzy. Zebrani urzędnicy dawni papieżcy, którzy opuścili miejsca, by pozostać wiernymi Stolicy świętej, wybrali z pomiędzy siebie kilkunastu i codziennie zmieniając się, ośmiu młodych ludzi pracuje pod okiem wiceprezesa, prowadząc konieczną i rozległą korespondencję i załatwiając mnóstwo naglących spraw i interesów. Ojciec św. osobnem breve udzielił swego błogosławieństwa tak pożytecznym dążnościom i w styczniu stowarzyszenie zaczęło na dobre czynności.

Nie dosyć jest jednak założyć nowe stowarzyszenie, ułożyć statuta i zebrać licznych nawet członków, trzeba umieć pokierować pracą, by martwem nie pozostało, a odpowiedziało założeniu i ogólnym oczekiwaniom. W Rzymie nawet dobrzy katolicy nie dowierzali w początkach, by tak szeroka instytucya mogła z siebie wydać pożyteczne owoce, nie byli pewni, czy dobre usiłowania nie rozbiją się o trudności i odradzali przedsięwzięcie, z obawy prędkiego upadku na korzyść jedynie nieprzyjaznego stronnictwa. Po dziesięciu miesiącach istnienia, po własnych jej czynach, sędzić już można *la Società per gl'Interessi Cattolici*.

Nowe Stowarzyszenie uorganizowawszy się w mieście, zwróciło przede wszystkim uwagę na wychowanie, zostające w okropnym stanie po zajęciu Rzymu. Rewolucya wiedziała dobrze, jaki wpływ mają szkoły na społeczeństwo, i dla tego, zajmawszy Wieczne miasto, od pierwszego dnia zaraz wywierać szczególny zaczęła nacisk na wychowanie publiczne. Zamknawszy wszystkie szkoły, będące w rękach duchownych, sekularyzowała natychmiast licea i kollegia, t. j. wypędziła Boga zupełnie z nauczania, uniwersytet na sposób florencki przetworzyła, a szkoły elementarne oddała pod zarząd zupełnie przeciwny Kościołowi. Przestraszeni rodzice nowemi zasadami, wpajanemi w młodzież, zaprzestali posyłać dzieci do szkoły, zamożniejsi dawali im wychowanie w domu,

inni posyłałi ukradkiem do znajomych katolickich pensyonatów, ale biedniejsza ludność w okropnem znajdowała się położeniu, na ciągłą wystawioną była walkę wewnętrzną i pokusę: albo dzieci pozostaną zupełnie bez nauki, albo ze szkoły wyniosą niewiarę, utratę moralności i dobrych obyczajów. To też stowarzyszenie pamiętne na słowa Leibnitza: „daj mi szkoły, a dam ci naród“, główną zwróciło uwagę na niebezpieczeństwo z tej strony grożące i powzięło zamiar otwarcia szkół wolnych katolickich, w którychby wedle dawnego programu uczono. Zadanie łatwe nie było. *La Società per gl'Interessi Cattolici* nie miało dość znacznego kapitału, nie posiadało jeszcze dość wielkiego w mieście zaufania, nie mówięc już o przeszkodach, jakie ze strony rządu napotykało. Pracując jednak po cichu a wytrwale, w każdym komitecie starało się założyć szkołę bezpłatną pod zarządem wydelegowanych członków, których obowiązkiem było czuwać, by nauki prowadzone były porządnie, a rodzice pomienionych dzieci nie byli zawiedzeni. I w sierpniu, jak za czasów papieżkich, w wielkiej sali klasztoru *delle Stimate* odbył się uroczysty popis i rozdanie nagród, z wielką radością ludności katolickiej, gdy tymczasem szkoły rządowe pozostały prawie zupełnie puste, tak że dzienniki rewolucyjne nieustannie narzekały „na zdemoralizowane przez księży społeczeństwo“, a w ostatnich czasach mówiono nawet o zamknięciu uniwersytetu. Kto miał kiedykolwiek do czynienia bliżej z wychowaniem publicznem, ten tylko zrozumieć potrafi, jakie trudności przelamać musiało stowarzyszenie prywatne, by założyć na różnych punktach miasta w przeciągu paru miesięcy kilka zakładów naukowych bez żadnych środków nadzwyczajnych i móż stawić czoło rządowi nie żalującemu żadnych nakładów, by przyciągnąć dzieci i zjednać sobie rodziców. Temi dniami stowarzyszenie otwiera czternaście nowych szkół katolickich i jedno zapewne liceum, stając otwarcie do konkurencji ze szkołami bezwyznaniowemi, a raczej bezhożnemi, bo nauczyciele umyślnie wpajają w dzieci nienawiść do wiary i można zawsze w manifestacjach przeciw Kościołowi robionych spotykać wychowañców rządowych. Komitety pojedyncze obznajmiały się zarazem z ludnością własnych parafij, z jej potrzebami, usposobieniem i skłonnościami, tak że dziś rząd przy wszystkich środkach, jakimi włada, z wykazami statystycznymi i raportami policyjnymi, nie jest tak dobrze obznajmiony z położeniem korzystnem i moralnem miasta, jak stowarzyszenie dla obrony interesów katolickich. By członkowie mogli się poznawać. w jedności, hartu i siły nabierać, by nie byli zmuszani szukać towarzystwa piemontckiego, utworzono rodzaj klubu w mieszkaniu kardynała Boromeusza, który na ten cel odstąpił kilka wielkich sal pałacu Altieri i co wieczór można spotkać kilkuset młodych ludzi zdających sprawę ze swych czynności, wspólnie się podniecających do wytrwałości i usilności, a zapał, jaki w tych gorących sercach panuje, może być dla Rzymu i Włoch całych na lepsze czasy zadatkiem. Nie ginie marnie kraj, którego pokolenie takim odznacza się przywiązaniem do stolicy św., a w tak trudnej szkole życia ćwiczy się i w prześladowaniu charakter sobie wyrabia. Ci ludzie nie wstydzą się głośno nazywać się katolikami i nie kryją się bynajmniej z praktykami religijnymi Szesnastego czerwca, dwudziestego trzeciego sierpnia, wszyscy członkowie razem przystępowali do Stołu Pańskiego, na wielkich nabożeństwach u św. Piotra Santa Maria Maggiore, w Lateranie długim szeregiem ze świecami w ręku rozpoczynali procesyę, by swoim nieprzyjaciołom pokazać, że się nie kryją ze swojemi pojęciami, że się

chlubią być wiernymi synami Kościoła. To też lud rzymski zna ich dziś dobrze i czcić ich umie, a gdy stowarzyszenie zaprasza na triduum, całe miasto wylega i regularnie wspaniała się tworzy manifestacja katolicka, spokojnie lecz najuroczyściej przeczącą wszystkim kłamstwom i obelgom dzienników, wszystkim rewolucyjnym pochodom.

Sekta wspólnie działając z rządem zapełniła Rzym mnóstwem dzienników jednych gorszych od drugich, mając i własne fundusze i kasę ministeryalną do pomocy, za bezcen prawie podawała ten przyciągający a zatruty pokarm. Dziennikarstwo katolickie w pierwszej chwili nie mogło ani liczbą, ani taniością wyrównać rewolucyjnemu, bronilo się jednak mocno i nie ustępowało bynajmniej z placu walki. *La società per gli Interessi cattolici* widząc potrzebę poważnego dziennika, stworzyła swój organ w gazecie katolickiej codziennej *La Voce della Verità*, oddając ją publiczności po tej samej cenie co *La Capitale*, *Il Tempo*, *La Libertà* wspierane przez rząd albo przez sektę. Członkowie nie muszą się trzymać ściśle przypisanej jedno-frankowej składki miesięcznie, kiedy w rok niespełna potrafił więcej zrobić niżeli dziesiątkami lat gdzie indziej, ale wnosić muszą lepszą jeszcze składkę dobrej woli, pracy i poświęcenia. W Czerwcu Towarzystwo liczyło przeszło 800 członków czynnych, przed trzema tygodniami liczba podniosła się do 1.200 a w radzie głównej mi mówiono, że co tydzień od 30 do 50 przybywa nowych kandydatów, mimo że przeszło 500 młodych ludzi przeniosło się do innych uniwersytetów, by na antyreligijne wykłady w Rzymie nie uczęszczać i mnóstwo rodzin katolickich opuściło wieczne miasto. Stowarzyszenie czując się już dość silne w Rzymie, zaczęło własne filije zakładać na prowincyi w Viterbo, Veletri, Albano, nawet w Neapolu i Palermo, a takiego we Włoszech całych nabrano znaczenia, że wszystkie stowarzyszenia religijne z całego półwyspu poddały się pod jego zarząd, chociaż niektóre, jak *Armonia* we Florencyi, *La Gioventù Cattolica* w Bononii, liczyły lata egzystencji i słusznie szczyły się ze swych usług oddanych kościołowi. Zrozumiano natychmast we Włoszech znaczenie tak potężnego Towarzystwa uformowanego w samym jądrze katolicyzmu i zostającego pod szczególną opieką Ojca św., pojęto że w niem leży podstawa do przyszłego odrodzenia i oswobodzenia się z pod jarzma rewolucyjnego, z drugiej strony *La società per gli Interessi cattolici* przyjmując pod swój zarząd kilkadziesiąt innych towarzystw, nie narzuciła bynajmniej im swoich władz, nie stawiała żadnej zapory dalszego rozwoju, owszem zostawiła całą swobodę czynności, znosząc się jedynie w ważniejszych sprawach, gdy o jedność idzie działania. Bo kraj ten, stworzony do federalizmu, ile razy w tym kierunku się rozwijał, zawsze świat zadziwiał potęgą swego geniuszu, rewolucya wprowadzając jedność centralistyczną, zabiła w nim wszelką samoistność, zdusiła go materialnie i moralnie, ale i dla siebie grób podobno gotuje.

Pamiętamy wszyscy, jak rok temu właśnie po sławnym plebiscycie rzymskim rząd Florencki uwiadomił dwory europejskie o objawionej jednomyślnie woli ludu rzymskiego przyłączenia się do jedności włoskiej. Czterdzieści tysięcy oznajmiło się, wedle rządowych dzienników, za nowym porządkiem rzeczy, czterdzieści ośm jedynie przeciwnych było głosów. Organa katolickie z dokumentami w ręku, dawno wykazały całą komedję odegraną dla usprawiedliwienia zaboru, hr. Arnim poseł pruski, jakkolwiek sam protestant i jawnie sprzyjający Piemontczykom, przy urnach osobiście się przekonał o czynionych fałszerstwach, ale nikt nie zadał tak wyraźnie kłam manewrom ministeryalnym, jak

Stowarzyszenie dla obrony interesów katolickich. Skorzystano z jubileuszu papieżkiego, by złożyć Ojcu św. adres ludności rzymskiej podpisywany przez ojców rodzin, przez samych mężczyzn i mających prawo wotowania. Nie był to plebiscyt, gdyż ani Rzymianie go nie uznają w prawie publicznem, ani Ojciec św. opierać praw swoich do posiadłości Kościoła na głosowaniu powszechnem nie może, ale dowodem wierności dla Stolicy Świętej, była to zarazem uroczysta protestacja przeciw zaborowi. Adres zresztą wyraźnie mówił, że podpisani „*ciesząc się z dojsia Ojca św. lat Piotrowych, przyłączają się całym sercem do wszystkich jego manifestów i protestacji.*“ Nie były to kartki ukradkiem do urny rzucane, ale własnoręczne podpisy ze świadomością rzeczy robione, które jedyny może prawdziwy w naszym wieku zacny i piękny uczuć i woli ludu stanowić będą pomnik. W Sierpniu złożono u stóp tronu Papieżkiego 27.000 imion zbieranych po parafiach, składanych w urządzie proboszczów, poświęconych przez władzę duchowną, w której rękach znajdowały się metryki a więc najlepiej znającą liczbę pełnoletnich płci męskiej mieszkańców. Dwadzieścia siedem tysięcy wynosiło więcej niżeli połowę mających prawo wotowania w rzymskim rewolucyjnym plebiscycie, jakimże więc sposobem rząd Florencki mógł znaleźć w tym samym mieście czterdzieści tysięcy zwolenników? pytanie to tak ważne, a spisy podane papieżowi były tak cenne i tak godne wiary, że kardynał Antonelli wziął je do sekretaryatu stanu, by dyplomatyczny z nich użytek zrobić i Ambasadorom zostającym przy Stolicy Apostolskiej pokazać, dla przekonania ich o dobrej wierze ludzi rządzących królestwem włoskiem. Ale dokument ten ma znaczenie większe moralnie, bo pokazuje, jaką wierność zachowali Rzymianie Papieżowi, kiedy wśród wojsk nieprzyjacielskich, ucisku, prześladowania, dwudziestu siedmiu tysiącami własnoręcznych podpisów mieli odwagę jawnie potępić najście piemontskie. Akt ten ośmielił ich jeszcze do otwartości w wystąpieniach, co pokazało ich przewagę w wiecznym mieście. Dowodzi on ogromnego zarazem wpływu i zaufania ludności Rzymskiej w Stowarzyszeniu dla obrony interesów katolickich, gdyż Włoch z natury ostrożny, musi być przejęty silnie bardzo koniecznością podobnego wystąpienia, by się nań zdobyć i odważyć. Mimo ogromnej partii burbońskiej, nigdy nie podobnego nie dało się w Neapolu otrzymać, a wielki książę Toskański, dziś jeszcze kochany i żalowany we Florencji, poszczycić się takim aktem nie potrafi.

La società per gli Interessi cattolici zauważywszy, że rząd w szkołach publicznych dni świątecznych nie szanuje, a mnóstwo nowych sklepów z północnych Włoch do nowej stolicy przybyłych niedziele i uroczystości za powszednie dni uważa, nowi florency obywatele Rzymu wysmiewają się z przepisów kościoła i ciężkie prace odrywają wśród gorszącej się ludności, zajęła się od kilku tygodni złączeniem wszystkich kupców, rzemieślników i robotników katolickich w powne koło, które uroczyste przyrzecze szanować dni świąteczne, a stowarzyszenie w zamian obiecuje popieranie firm należących do tej nowej assocyacji. Zadanie to jeszcze niewypełnione, ale w niedługim czasie przyjdzie do skutku tymbardziej, że Towarzystwo powiększając się codziennie, zostało zmuszone podwoić liczbę komitetów i parafie podzielić na kilka nowych oddziałów i zarazem wchodzi w coraz bliższe stosunki z całą ludnością rzymską pozostałą wierną Papieżowi. Cios to zada przybyszom ogromny, a społeczeństwo chrześcijańskie podniesie, rządowi piemontskiemu raz jeszcze pokaże, że w Rzymie Ojciec św. jedynie panować może. Rewolucya nie zważała z początku na

Stowarzyszenie dla obrony interesów katolickich, nie przypuszczała, by w kilku miesiącach takie rozmiary przybrało, a odniósłszy łatwe na całym prawie półwyspie tryumfy, nie spodziewała się znaleźć w ludności rzymskiej takiego przeciwnika. Ale kiedy Rzymianie nie odpowiadali na wezwania sekty, a przeciwnie łączyli się ze Stowarzyszeniem, gdy 16 Czerwca takie jawne dowody złożyli przywiązania do Stolicy Apostolskiej, a tak obojętnie i zimno przyjęli uroczyste ogłoszenie stolicy w dwa tygodnie później, gdy dwudziestego trzeciego Sierpnia znowu tłumnie biegli do Watykanu, a na rocznicę wejścia wojsk piemonckich pozamykali się w domach, rewolucya uczuła się dość bezsilną i prześladować zaczęła *La società per gli Interessi cattolici*. Te same dzienniki, które się chlubią z propagowania zupełnej wolności assocjacyi, naraz zaczęły domagać się od rządu, by siłą rozprószył Stowarzyszenie dla obrony interesów katolickich „knujące spiski przeciw spokojności publicznej“ „zamyślające o zamachu stanu“ „łączące się z Internationalem przeciw jedności włoskiej.“ Ministerjum nie śmiało wystąpić otwarcie, widząc siłę Stowarzyszenia, ale powoli zaczęło je prześladować, aresztując podpisujących adres do Ojca św., i ogłaszając w swym organie listę członków czynnych, by ich wystawić na napaść hołoty ulicznej. Gdyby nawet rząd zniósł przemocą Stowarzyszenie oficjalnie, zniszczyć go nie potrafi, bo uorganizowane po parafiach, mając za sobą całą ludność rzymską, istnieć nie przestanie. To też *La Libertà* niedawno z zupełną rozpaczą wzywała przyjaciół rządowych, by zawiązali podobne Stowarzyszenie, gdyż katolicy stanowią siłę, z którą się liczyć dziś trzeba, a której niedługo niepodobna będzie pokonać.

I rzeczywiście w przeciagu dziesięciu niespełna miesięcy Stowarzyszenie dla obrony interesów katolickich potrafiło się ukonstytuować, w całym miesiącu organizacją zaprowadzić, uformować i wziąć w swój zarząd szkoły katolickie, własny swój organ utworzyć, adresem do Ojca św. podnieść ducha ludności, związać ją, dodać jej odwagi, wpoić przekonanie o własnej większości i sile i odsunąć zupełnie od nowej przybyłej z wojskiem piemonckiem, a co najważniejsza stanąć na czele całego ruchu katolickiego nie tylko w Rzymie, ale i we Włoszech całych i stać się przedstawicielką przekonań, nczuć i dążeń ludności całego półwyspu. Zasluga Stowarzyszenia nie tylko w stawieniu oporu rewolucyjnemu zastępowi, i w walce jaką w obronie prawych zasad stacza, ale daleko większa w utworzeniu całego nowego pokolenia, zdrowego, silnego, wyrobionego prześladowaniem, wypracowanego w wierności dla wiary, nietkniętego trudem sekciarskim, na ktorem społeczeństwo oprzeć się zdoła, gdy minie burza rewolucyjna, i chwila tryumfu i spokoju nadejdzie. Cześć to przynosi ludziom, co się dobrowolnie stali synami wiary i sztandar jej wśród najtrudniejszej wywiesili chwili, ale też cześć i ludności, co się pod katolicką chorągiew skupia i nie kryje się, nie wypiera i z taką wiernością przy tronie papieżkim pozostaje.

W odpowiedzi

PANU MAZUROWI NA JEGO BROSZURĘ P. T.
„NASI ULTRAMONTANIE.“

Broszura pana J. Mazura ma niby zawierać uwagi nad broszurami Nasi Moderanci (ks. Z. G.) i Przegrana Francyi (ks. Kalinki). O pierwszej z tych broszur p. Mazur powiada, że prawi o tysiącach rzeczy o jednej jeszcze i zbywa ją kilku zdaniem, w których istotnie niema ani jednej rzeczy; jeżeli więc brak rzeczy ma być dowodem wartości pisma, to piętnastokartkowe dzieło p. Mazura stoi o tysiąc i jeden razy wyżej niż broszura księdza Z. G. — Co się tyczy broszury księdza Kalinki, z góry oświadcza p. Mazur, że jej na seryo brać nie myśli. I dotrzymał słowa, powydzierawszy bowiem zdania pojedyncze z broszury Kalinki, odpowiada na nie w ten sposób, iż każda z tych odpowiedzi jednej tylko rzeczy na seryo dowodzi, to jest, że jeżeli autor skończył trzecią klasę gimnazyalną, to chyba, jak to mówią, piecem przeszedłszy.

W imię pokrzywdzonej prawdy, pokrzywdzonej nauki, pokrzywdzonej uczciwości i pokrzywdzonego patriotyzmu — p. Mazur biczuje ultramontanów. Zawsze tedy niestety mamy przeciwko sobie prawdę, naukę, patriotyzm i inteligencję i postęp. Z uwagi na olbrzymie rozmiary inteligencji, prawdy, patriotyzmu, uczciwości, takich zwłaszcza autorów, jak w mowie będący, nie wypada nam jak złożyć broń i o pardon prosić Oto próbki tych olbrzymich ich dzieł atrybutów.

P. Mazur jest specjalistą w historii. On naprzykład chłoszcząc ultramontanów dających nacisk na objawienie boskie, powiada: „mało jest religij, coby (sic) nie miały prawa objawionego“ — a posługując się swoją erudycją historyczną, powiada: „Mojżesz dał ludowi tablice objawione w krzaku.“ — Tablice objawione! i do tego w krzaku! Czyżby za to uczniowi z pierwszej klasy nie dał profesor historii trójki?

P. Mazur jest i teologiem. On objawia w swej broszurze, że Panu Bogu podobało się stworzyć protestantów i żydów, nie tylko katolików — a myśmy dotąd myśleli, że Pan Bóg w protestantach, żydach, katolikach, stworzył tylko to, czem są protestanci i żydzi i katolicy, to jest ludzi. Wiedźmyż teraz, że protestanci, żydzi, katolicy, to są zupełnie odrębne stworzenia. Głębość teologiczna p. Mazura jest niezgłębiona, zwłaszcza, gdy rozumuje o dogmatach. — Twierdzi naprzykład, że Pius IX. zgrzeszył, ogłaszając Niepokalane Poczęcie N. Panny dogmatem, chociaż za Sykstusa IV ogłoszeniu temu opierało się Zgromadzenie Dominikanów (p. Mazur bowiem wierzy w nieomylnność tego Zgromadzenia, spotwarzonego o nadużycie Inkwizycyi). Ale on przeciwko ogłoszeniu tego dogmatu sam stawia argument, arcydzieło dyalektyki. Powiada tedy: „że nie może być niepokalanego Poczęcia, bo N. Panna urodziła się w grzechu pierworodnym.“ To bo p. Mazura da się tylko porównać z *albowiem* obrońcy Girtlera.

W imię prawdy p. Mazur powiada, że Pius IX „kazał chwycić dzieci żydowskie we włoskich prowincjach.“ — Jest to, jak wiadomo, aluzya do Mor-

tary, który najuroczyściej protestuje z Belgii, że będąc ochrzczonym przez swoją mamkę katoliczkę, ma się za chrześcijanina i z całą wolnością, odkąd używa rozumu, był, jest i będzie chrześcijaninem. Tego tedy jednego Mortarę mając na myśli p. Mazur powiada, że Pius IX kazał chwycić dzieci żydowskie we włoskich prowincjach. Ale o tem, że Mortara uciekł z Rzymu do Belgii, aby go rząd Wiktora Emanuela nie kazał gwałtem wliczyć między żydów, i że ten rząd krociami wydiera dzieci rodzicom, przywiązany duszą i ciałem do papieża, pod którego rządami Włochy nie wiedziały prawie, co to jest pobór do wojska, że tedy Wiktor Emanuel te dzieci wydierać każe rodzicom, aby ich ręce uzbroił przeciw sumieniu bagnetami na ucieknięcie papieża — o tem p. Mazur wiedzieć nie chce i znowu w imieniu prawdy protestuje z *Krajem* exkaźmierskim, że papież jest wolny, bo wolności jego strzeże u bram Watykanu sztyldwach piemoncki.

P. Mazur jest także sławnym stylistą polskim. Tu znowu ta inteligentna cudów dokazuje. Pisze naprzykład: „Myśl wstąpienia autora (Kalinki) do zgromadzenia ultramontańskiego nie mamy za szczęśliwą. Myśl nie mamy! (str. 20). A o jedną stronicę dalej ganiąc znowu tę myśl i radząc Kalince wyjść ze zgromadzenia Zmartwychwstańców powiada: „a jeżeli ci chodzić będzie o nasz dla ciebie szacunek, idź lepiej skrzybać (sic) błoto dla czystości ulic.“ — O jedną stronicę wyżej zarzuca Kalince, że „mówi wiele o obowiązku do Kościoła.“ W Kalinkę wmawia takie kacerstwo gramatyczne! Stronica 9. Powiada o papieżu Grzegorzu XVI: „Prowadził nas do powstania a potem potępił za niego.“ „Potępiać za czego“ jest także godne inteligencji antyultramontańskiej. Str. 14 wyliczając zasługi St. Potockiego, powiada: „te wszystkie czyny ziarka (sic) przyszłej oświaty i pomyślności nie mógł St. Potocki wykonać bez znacznych funduszów mogących obciążyć skromny budżet etc. Te czyny nie mógł wykonać bez funduszów mogących obciążyć. To także nie złe. Na każdej stronicy znajdziesz dwa lub trzy dowody, że Mazur maskuje nielada inteligencję!

W obronie patriotyzyzmu uwielbia ks. Hołowczyca, za to, że prałat ten pomógł Stanisławowi Potockiemu, działającemu przeciw katolicyzmowi z wielkiem zadowoleniem rządu rossyjskiego, do złupienia Kościoła w Polsce. Cieszy się, że Hołowczyk za dekret wydany na złupienie Kościoła, a przez cara ratyfikowany, został prymasem.

W obronie sumiennosci wymyśla na Rzym, że tenże nie chciał dozwolnić Zygmunтови III na przyjęcie korony moskiewskiej kosztem podłego odstępstwa religii. Broniąc czysto-historycznej uczoności Renana, powiada, że przeciwko tej uczoności nikt nie wystąpił, a zapomniał albo nie wie, że z pism w tym przedmiocie przeciw Renanowi przez świeckich i duchownych autorów wymienionych, możnaby całą bibliotekę ułożyć — i że właśnie ten sam Passaglia, którego znakomitość wysławia na str. 29. wykazał Renanowi, iż pod względem znajomości orientalnych języków i talmudu, którym Renan wojuje przeciw bóstwu Chrystusowemu, jest on, on tylko, blagierem. Ale p. Mazur w dekoracyi udzielonej Renanowi przez rząd włoski widzi najświetniejsze świadectwo uczoności. Basta!

K r o n i k a.

Z pod gruzów rzymskiego państwa, chrześcijaństwo nie tylko powołał narodowości do życia, ale je wychował, stał się ich duszą, ich życiem. Bez niego, pod druzgocącym wszystkim taranem barbarzyńców, nie byłyby się nigdy ukształtowały. Dzisiaj w chwili straszliwej kryzys, przez jaką przechodzi społeczeństwo, równe jak w tamtych czasach zagraża narodowości niebezpieczeństwo. Prądy rewolucyjne dążą do wytworzenia z nich jakiegoś dziwnego aglomeratu jednostajnej masy ludu, w której wszelkie właściwości i narodowe cechy zartarte zostałyby kompletnie. Teoria *ras* zastosowana w polityce, pierwszym była cięciem organizmowi narodowości zadaniem. Atoli Kościół, jak zdolnym dzisiaj postawić czoło rewolucyjnej sile, tak i On jeden narodowości od za głady uratować może. Nie jest to nasz jedyny sposób widzenia rzeczy, też same czytaliśmy słowa w jednym z wielce liberalnych dzienników francuzkich, w *Constitutionellu*. Niewątpliwie — skala rozwoju religijnego życia w narodzie jest miarą żywotną jego siły i o przyszłości jego wieszczbę nam daje Otóż, chociażby i dla tego nawet, śledzić nam skwapliwie należy ruch religijny, tem skwapliwiej, że tutaj wchodzi w grę kwestye najmocniej człowieka obchodzące. Nas zaś Polaków jeszcze jedna okoliczność zniewalać więcej powinna, abyśmy na to uwagę naszą zwracali; jako katolicy wierzymy: że tryumf Kościoła, to nasz tryumf; walka, jaką on toczy, to o nasze dobro i szczęście, że przyszłość Polski od tryumfu prawdy i sprawiedliwości, od zwycięstwa Kościoła zależy! I dla tego to w kronice naszej ile możności takim sprawom najwięcej poświęcamy miejsca. Tą razą obszerniej nieco o nich pomówić nam wypadnie. Pominiemy więc dzisiaj panów Kraszewskiego, Albina Kuhna i owego, z dolnego piętra *Gazety Narodowej* do omylników monachijskich stojącego koperszaki, z świata pisarza, za to o omylnikach, (popieranym przez Bismarka, kokietowanym przez Synod petersburski, a kanonizowanym i długi czas adorowanym przez dziennik pana Jana Dobrzańskiego), wspomnieć nam jeszcze i w tym poszycie wypadnie. Zaczniemy jednak od serca katolickiego świata, od Rzymu Piotrowej. Wspomnieliśmy zeszłą razą, że *italianissimi* urządzili obchód patriotyczny (!) w rocznicę zagrabienia Rzymu. Nie omyliliśmy się wcale, twierdząc, że odarci tylko ulicznicy, (że użyjemy słów p. Kraszewskiego), stanowili główne zastępy tej bankietującej rewolucyjnej czeredy. Dzienniki katolickie opisują nam je szczegółowo. Krom dwóch imion, rodziny rzymskie niestety przypominających, wszyscy inni, były to z różnych stron Italii przez wylom w bramie Pia zrobiony do Rzymu przybyłe zawłoki i hołota z dzielnicy Getto, gorsza jeszcze od owych odartych uliczników, (jakich p. Kraszewski w chwili przyjmowania wyklętego króla w Wenecyi widział) tworzyła cieszące się zastępy z dokonanej rok temu świętokradzkiej grabieży, ale prawdziwych obywateli Rzymu nie było tam wcale. *Oservatore Romano* mógł więc śmiało nazajutrz napisać, że tylko *petreolczyki*, *abbieta canaglia* w podrygach konwulsyjnej radości odważyła się w rocznicę powszechnej Rzymian żałoby urągać ich boleści. Bądź co bądź postanowili mieszkający Wiecznego grodu zmanifestować swoje uczucia, aby uczyniona im obelga spadła na rząd, który ją dla nich przygotowywał — i dla tego w dzień św. Michała, patrona Kościoła

rzymskiego, tłumnie pośpieszyli do Kościołów — a drugiego października na pokoje papieżkie, aby obok protestu przeciwko świętokradzkiemu na Rzym najazdowi złożyć u stóp Ojca świętego hołd swojej dla Niego wierności i posłuszeństwa, i to nie tylko jako Głowie Kościoła, ale jako swojemu prawemu monarsze (*Sovrano*) należne! *L'Univers* z 8. b. m. podaje nam cały tekst adresu złożonego w tym dniu Ojcu św. przez obywateli rzymskich ¹⁾. Ojciec św. miał do nich przemowę, w której dziękując im za ich uczucia dla stolicy Piotrowej, zachęcał do wytrwałości. „Świat, mówił Papież, podzielony na dwa obozy — z jednej strony katolicy, z drugiej ludzie pogrążeni w obojętności religijnej, albo pałający nienawiścią do Kościoła. Nowoczesne społeczeństwo chce koniecznie aby sama nauka starczyła za wszystko i ztąd każdego, kto pragnie wiernym pozostać wierze swojej i Kościołowi, uważa za człowieka, któremu znajomość nauki obcą jest całkowicie. Nic nie pomoże moi synowie, jeśli chcemy złe pokonać, musimy tegoczesnym teoryom świata przeciwstawić zakon Chrystusa.“ (*L'Univers* 8 Octobr.)

W chwili, kiedy taką miłością otacza Ojca św. katolicka ludność Rzymu, rząd włoski z dziwną obojętnością przypatrywać się zniewolony mnożącym się objawom republikańskiego ruchu w Italii. Rewolucyoniści na wszystkich punktach sposobią się do rychłego obalenia rządu. Tak gazety francuzkie jak i katolicka prasa w Italii mówią o tem głośno. Partya ruchu założyła w samym Rzymie formalne składy różnego rodzaju broni, bomb gliceryną i petrolejem napełnionych. A pan Berti, kwestor rzymski, (przełożony policji) zdaje się, że nic o tem nie wie. Rewolucyoniści z gorączkowym oczekują upragnieniem otwarcia parlamentu. *Opinione* snąc przeczuwa niebezpieczeństwo, ba, przebąkuje już o niem i żali się, że przeznaczoną na obrady parlamentarne salę umieszczono na dole, dodaje, „w razie anarchicznego wybuchu łatwo mogą się do niej dostać czerwoni.“ — Biedna *Opinione*, mówi *l'Univers*, sama czerwona, (choć wedle miary dzisiejszego rządu) mniema, że liczba schodów utrudnić może przystęp rewolucyjnej hołocie. Potrafią jej menerzy bez trudu i znoju i na najwyższe dostać się pietra i zwalić ztamtąd chytre i wiarołomne rządy. Niechaj ostatnie obmyślają sobie jakie chcą środki, nic ich od upadku ochronić nie zdoła; wydały w ręce rewolucyjnych oprawców Kościół, na nie dzisiaj kolej. Bądź co bądź, Kościół jednak zostanie zwyciężony, ale one zaprzepaszczenie dla siebie już znajdują. „Biedne społeczeństwo, mówił niedawno Ojciec św., stąpa po omacku w ciemnej pogrążone nocy, ani widać najmniejszego światelka jutrzeńki; ukazuje się wprawdzie jakiś rąbek krwawego promyka na niebie, nie jest on jednak dnia zwiastunem, to odblask północnej zorzy, znak bożego

¹⁾ Nie możemy podać go w całości, i jeden tylko ałę za to najważniejszy wyjmujemy z niego ustęp: Najświętszy Ojczy! Wobec Twojej świętej osoby w imieniu wiernego Tobie rzymskiego ludu przychodzimy wyrazić nasze oburzenie, wywołane tym bezrozumnym obchodem, jakim zbuntowani Twoi synowie chcieli uczcić rocznicę owego czynu, uznanego przez każdego, odrobinę chociaż zdrowego zmysłu mającego człowieka za... (*Oservatore Romano* z powodu surowości prawa nie dodał wyrazu). Ojczy Święty! Bolesci Twoje są boleścią naszą! Najgorętszem przeto jest naszym pragnieniem, aby Ci je osłodzić, ile to w naszej mocy przez nieklamane dowody naszej ku Twojej Ojczy św. osobie wierności i miłości.

gniewu same tylko klęski i jeszcze klęski zapowiadający, niestety, nikt nie chce na to swej uwagi zwrócić". (*l'Univers* 4. października rb. Korespondencya z Florencyi). A przecież ludzie powinni się spostrzedz; z tego co już się stało, wnosić można, wobec jakich to katastrof znaleźć się możemy, jeżeli i nadal nie przestaniemy hołdować rewolucyjnym zasadom. Sam Mazzini w liście przestany owemu zgromadzeniu Ligi pokojowej (!) w Lozannie, powszechną i już bez ogródki zapowiada walkę. Nie lęczy się, przez nowe klęski przejść wkrótce musi cała Europa. W Niemczech liberali, massoni, protestanci łączą się z sobą przeciw Kościołowi. Zaczynają od skromnych żądań, bo domagają się wypędzenia Jezuitów. Później przyjdzie kolej na świeckich księży, na laików, oni i tych zrobią Jezuitami, jeśli tylko pozostaną wiernymi nauce Kościoła. Tak było przed wielką rewolucją, tak przed 1848 r., tak na parę lat przed ową jednością włoską w Sardyńskim królestwie. Wszystko zapowiada burzę. Ostrzega przed nią nie tylko Najwyższy wódz Bożego Ludu, Ojciec św., ale i stary cerber rewolucyi, dzierżący w swych rękach najskrytsze nitki podziemnych agitacyj, Mazzini. Obaj upewniają nas równie, że się ta chwila zbliża już poczyna.

* * *

Na kongresie omylników w Monachium do swoich towarzyszy uciął był Döllinger przemowę. „Obawiam się, mówił, aby droga, na jaką wejść myślicie, nie była dla nas zgubną. Nie unikniecie jej, jeśli nie porzucicie programu, jaki nakreśliście wczoraj. Żądacie, aby wam przyznano prawa równe katolikom — ale nie zapominajcie, że do katolickiego nie przestaliście (!) należeć Kościoła i od niego odłączać się nie myślicie. Dopiero wówczas, gdybyście chcieli postawić ołtarz przeciw ołtarzowi, parafię przeciw parafii, nie będziecie mogli stanowić jego części“. Następnie wpada Döllinger w oklepane już dawniej przez niego w różnych broszurach frazesy, o pobłędzeniu papieży i w ten sposób przemowę swoją dalej prowadzi: „mimo wyroków Watykańskiego soboru episkopat nie przestał być prawą naszą władzą, a dawniejszy katolicki Kościół naszym Kościołem, nasza tylko zmieniła się rola, bo musimy zajmować stanowisko Pawła Samozatyńskiego za czasów Aryanów. (Biedacy!) — Ależ ono powinno być rozumne, więc nam nie wolno ani jednego zrobić dalej kroku, abyśmy nie przekroczyli przypadkiem granicy, słusznej naszej sprawy i nie wkroczyli na drogę, prowadzącą do następstw z trudnością przewidzieć się dających¹⁾. Nam, moi panowie, mówi przy końcu swojej mowy, należy koniecznie pozostać w Kościele, jeśli go rzeczywiście chcemy zreformować. (Hm!) *Reformatio fiat intra Ecclesiam*, mówili starożytni pisarze. Jeżeli utworzycie niezależną sektę, utracicie zupełnie wszelki wpływ w Kościele. Przypatrzcie się bowiem protestantyzmowi. Reformacya XVI wieku, zapoznała cel swój i to w chwili, kiedy odłączyła się od Kościoła. I protestantyzm poszedł swoją a Kościół swoją drogą... Nam więc pozostać w Kościele należy. Wierząc mi, całe moje życie przepędziłem, badając historję Kościoła. Badałem

¹⁾ Łacno wiedzieć, i *Narodówka* spostrzegła się już nawet i mimo swojej nieudanej miłości do Döllingeryanizmu, bębni na odwrót; przejrzała że dla Bismarcka i Moskwy pracowałaby jeno, gdyby i dalej szczypiła w polskich umysłach obłądy niemieckie.

wszystkie schyzmy, wszystkie herezye i sekty; znam ich początek, rozwój i koniec. Wiem dobrze, na czem skończyć się musi schyzma i dla tego błagam Was, abyscie nie przedsiębrali nic takiego, co mogłoby dać powód katolickiemu światu, do uważania nas za sektę, a jaką bezwątpienia zostalibyśmy wówczas.“

Wiadomo, że nie usłuchali uczniowie swojego mistrza, głos jego pozostał bez wpływu na dalsze obrady, i słusznie, bo jak on postawił swój rozum przeciwko uchwałom Soboru, tak ci postawili swój, przeciwko jego zdaniom. Mistrz z całą swoją mądrością osiadł na piasku, a tacy Hüber, Heller, Anton pocwałują dalej i „utworzą w rezultacie, jak się wyraża szyderczo ich dawna przyjaciółka *Kreuzzeitung*, jakiś nowy religijny system bez jawnych i pewnych form, mający wszystkie cechy, aby nas uderzyć tak zwaną religią ludzkości. — Powodzenie mieć niezawodnie może, każdy bowiem z wyznawców tej religii będzie sam dla siebie powagą, prawem, sam dla siebie Bogiem. Świat cofnie się w onczas w dawne przedchrześcijańskie czasy i imię starokatolików najdokładniej zrozumianem zostanie!“¹⁾ Słowem, kongres Döllingeryanistów narobił trochę hałasu i na tem się też skończy — może z tego utworzyć się sekta socyalna, ale o politycznej nawet, a cóż dopiero o religijnej mowy żadnej nie ma. *Afflavit Dominus et dissipati sunt!* W całej tej sprawie jedna rzecz uderza. Na owym kongresie żaden z Włochów udziału nie wziął, chociaż i na wywłokach klasztornych i na księżkach wyemancypowanych wcale tam nie zbywa. Bądź co bądź żaden się z nich w Monachium nie zjawił. Ojciec Pasaglia tak daleko, jak ex-Hyacent, nigdyby może nie zaszedł — zresztą, nawrócił się już dzisiaj podobno i za dane przez siebie zgorszenia, w osamotnieniu pokutuje. Przywódca zaś wyemancypowanych księży w Neapolu ks. Prota ex-dominikan człowiek bez talentu i lichota, (ostawiony nasz Kamiński na Szląsku więcej już ma od niego sprytu) nie zdołał nawet na swoich zwolennikach najmniejszego wywrzeć wpływu. Dzienniczek, jaki wydaje *Emmancipatore Cattolico* utrzymywany czas jakiś przez rząd, dzisiaj upada — owóż pan Prota mimo zaprosin, nie miał, dzięki Bogu, żadnego funduszu na podróż do Monachium i pozostał w domu. Żali się z tego powodu nadzwyczaj gorzko na obojętność swoich współrodaków. „Dla braku środków, woła w ostatnim numerze swojego pamfletu, nie mogliśmy udać się do Monachium, zmuszeni jesteśmy nietylko pozostać na miejscu, ale co więcej przypatrywać się niezadługo jeszcze szkaradnemu widowisku (1) jak siedmdziesięciu dwóch nowo prekonizowanymi być mających biskupów, po złożeniu przysięgi wierności dla najobrzydliwzej tyranii, rozejdzie się po całej Italii, aby ciemne massy ludu przyprowadzić do zupełnego rozbratu z nowoczesną cywilizacją!“ *Poveretto*, kuso z nim być musi, kiedy nawet brutalna buta wszystkim bohaterom nowoczesnej cywilizacji właściwa, (jak np. p. B. W. korespondentowi *Gazety Narodowej* i wojażerowi na kongres do Lozanny¹⁾) i ta go opuściła.

¹⁾ O podróży tego cnego korespondenta, którego niby to mądre, a w rzeczy gamenowskie dowcipy zamieściła *Gazeta Narodowa* (nr. 303 z 3. paźdz. „korespondencya z Lozanny“) mogliśmy coś powiedzieć, a p. Tretiak niezawodnie przyznałby nam, że istotną tylko powtarzamy prawdę. Ale dać mu pokój, on i tak biedny, że nie ma najmniejszego uczucia przyzwoitości ani oleju w głowie ale korespondentem *Gazety Narodowej* zawsze jednak być może.

Po przytoczeniu tych lamentów wypada nam wspomnieć i o tej historii obsadzenia siedmdziesięciu biskupstw, która go taką goryczą napelnia. Wszystkie te biskupstwa są położone w dawniejszem królestwie Sycylii, księztwach: Toskańskiem, Parmy i Modeny. Otóż po dokonanej jedności włoskiej, król piemoncki przywłaszczył sobie i przywileje ograbionych przez niego książąt, nominowania biskupów. Ojciec św. jak nie mógł przyznać mu tego, tak i nie był w możności i na wakujące dyecezye prekonizować biskupów. Dopiero dzisiaj, wskutek owych ogłoszonych przez rząd włoski gwarancyj, Ojciec św. skorzystał o tyle, że na osierociałe stolice ma niebawem przeznaczyć pasterzy. Krok ten Stolicy świętej podniosły liberalne dzienniki jako dowód, mający świadczyć, że Ojciec św. uznaje rząd włoski za prawowity a jego gwarancje za prawomocne. Do takiej to sofistyki uciekać się muszą rewolucyoniści w obec nieugiętego obstawiania Stolicy świętej za prawem i sprawiedliwością. Nie, nie — Ojciec św. ani się zrzeka królewskich praw swoich, ani uznaje rząd obecny za prawowitą władzę we Włoszech, ani godzi się z obecnym stanem rzeczy — a więc, a więc mówią rewolucyoniści, czemuż z nich korzysta — to, więc, niczego nie dowodzi, bo i uwięziony przez rozbójniczą czeredę ojciec licznej familii nie uznaje jej za swoich panów ani odstępuje od praw swoich dla tego tylko, że w chwili zwolnienia więzów śpieszy załatwić najważniejsze sprawy, dobro jego rodziny mające na celu. *Et voilà tout!*

* * *

Ciekawe szczegóły podaje nam *l'Univers* z d 5 października r b. z rozmowy Bismarka w Gastein tak z Naszym Monarchą jak i z bawarskim ministrem p. Lutz. Pamiętają dobrze czytelnicy nasi jak w owym czasie dzienniki liberalne wspomniały, że żelazny książę gotuje w Gastein potężny bicz na ultramontanów. Pokazuje się, że nie były bez informacji. P. Bismark pragnący złapać w samotrask Austryę, usiłował popchnąć ją do wypowiedzenia otwartej wojny sumieniu katolickich jej ludów.

— „Należałoby Austryi łącznie z Prusami — miał się odezwać do Naszego Cesarza — wystąpić z całą energią przeciw katolikom tak bardzo dzisiaj przeciwko rządowi podnoszącym głowę.“

— Nie, nigdy — odrzekł Cesarz — nie wstąpię na tę drogę — próbowało jej już wielu, a historia nas poucza jaki to był ich koniec.

Bismark w tej chwili zwrócił tok mowy do innego przedmiotu. Nie porzucił on jednak swojego planu, bo w poufnej rozmowie z ministrem bawarskim zaraz po przybyciu do Monachium odezwał się do niego:

— A co? jak rzeczy stoją — co robią przeciwnicy Soboru?

— Wszystko idzie wybornie — odpowiedział biedny Lutz — (*Katolik — katolickiego państwa minister, a wychowujący swoje dzieci w luteranizmie!*) niemal wszystkich profesorów uniwersytetu potrafiłem sobie skaptować.

— Ej! co mi tam znaczą profesorowie — zawołał rubaszny kanclerz — Proboszcze co robią? sąż-li z Döllingerem? Musimy mieć kilkunastu przynajmniej gorliwych proboszczy wraz z ich parafianami. — Ci więcej zaważają niż trzydziestu waszych profesorów, o których cały świat wie, że w Boga nie wierzą!

— Niestety, proboszczów nie mam; był jeden, ależ ani jednego ze swoich parafian pozyskać sobie nie zdołał. Naprawimy jednak te rzeczy. Zamierzam urządzić kongres. Na nim nowe wyznanie wiary postaramy się ułożyć. W tej chwili wstrząsł głową Bismark i jak oparzony zrywając się z fotelu, zawołał:

— Od takiego zebrania niczego zgoła spodziewać się nie mogę!

Niedawno podały dzienniki wiadomość, że jeden z biskupów węgierskich Danielick wydać miał list pasterski przeciw nieomyślności. — Tryumf był wielki. Nieświadomi rzeczy, nie mogliśmy nic o tej sprawie powiedzieć i czekaliśmy wiadomości pewnej. Otóż ów p. Danielick był sobie i jest zwykłym, po prostu bez żadnej tak sakry jak i władzy biskupiej, księdzem. Dzienniki nazwały go biskupem z tego powodu, że na Węgrzech król ma przywilej wybranemu przez siebie księdzu udzielać tytuł biskupi tak jak u nas w Polsce dawać zwykli często tytuł kanonika bez kanonii. Takiego tedy drażkowego biskupa pozyskali dla swej sprawy Döllingeryści. — *Teneant!*

Gorliwi za to biskupi w Węgrzech oddawna już ogłosili wyroki Soboru. Jeden z najuczestniejszych z całego episkopatu w Austrii a do najznakomitszych w świecie katolickim biskupów należący, ks. biskup Roszkowanyi, przed rokiem jeszcze, jednocześnie z dzielnym biskupem Jekelfalusy wydał piękny o nieomyślności Ojca św. list pasterski do swojej licznej owczarni. A jednak nie mówiono mu nic za to — bo wobec męża takiej jak on energii, charakteru, nauki, wpływu; z mężem, po za którym stoi uwielbiających go sto tysięcy Słowaków, oględnym być należało; jest-to potęga, z którą liczyć się należy — za to zemścić się pragnęli liberali na nieustraszonym biskupie Jekelfalusy i wymogli wreszcie, aby powołano biskupa *ad audiendum verbum*. Hrabia Andrassy dostąpił tego zaszczytu aby usłyszeć z ust dostojnego biskupa następujące słowa: „Czczę Króla i czcić Go będę, ale nie zaniedbam nigdy wypełniać i nadal biskupich obowiązków moich!“

Tak to przemawiać zwykł katolicki biskup! Darmo! bić w nas możecie panowie liberalni, ale pokonać nigdy! — dopóki będziemy mieli takich w Kościele pasterzy!

* * *

L'Univers z d. 7 października ogłosił podany przez czterdziestu sześciu członków Zgromadzenia Narodowego do Ojca św. adres. Przedziwnie piękny ten dokument o gorącej wierze, katolickiej Francji świadczący, jeżeli nie został większą liczbą podpisów opatrzony, to dla tego jedynie, że był zredagowany w wiliu odroczenia posiedzeń, w chwili, kiedy wszyscy niemal najlepsi podpisanych koledzy, jak się wyraża p. de Belcastele, do większości w zgromadzeniu należący, opuścili już byli Wersal. W każdym razie adres ten niepospolitej jest doniosłości. Bodaj, czy nie po raz pierwszy w tym wieku, członkowie i to Zgromadzenia, w pełni prawodawczą władzę dzierżącego w swych rękach, bez żadnej restrykcji — z dziwnie wzniostą odwagą nie wahają się wyznać, że posłuszeństwo Chrystusowemu Kościołowi stawiają po nad wszystkie nowoczesne zasady — pierwsi, jako pikietą tej poświęceniem się, odwagą, cnotami i nauką

potężnej armii, która rychło wywiesi sztandar swój socyalny, ale takiego rodzaju, co Chrystusowi odda się w służbę. Cześć ci siostrzyco miła! droga nam zawsze katolicka Francjo! Nie zginęłaś ani splużyć zdołała w sromie przyszłość twoją, wyrodni twoi synowie, dopokąd takich dzielnych wydajesz Kościołowi mężów. Oto jak przemawiają do Głowy Kościoła:

Wersal 17 września 1871 r.

Ojciec Święty!

Członkowie podpisani Zgromadzenia narodowego francuzkiego, w chwili rozejścia się na kilka tygodni wobec nieznannej przyszłości, poczytują sobie za zaszczyt złożyć u nóg W. Świątobliwości z hołdem głębokiej czci, żywy wyraz swych uczuć wierności, poświęcenia i wiary katolickiej.

Protestują oni z całej siły swej duszy i pragnęliby, aby rząd ich kraju zaprotestował przez wytrwałą demonstrację dyplomatyczną przeciw świętokradczemu przywłaszczeniu Włoch wobec Stolicy świętej. Według nich opieka wszystkich mocarstw interesowanych w niepodległości kościoła, jest wspólnym obowiązkiem owych mocarstw, będąc zarazem pokojową rękojmią ich poparcia.

Stwierdzają oni głośniejszą niż kiedykolwiek nienaruszone prawo W. Świątobliwości do papieżkiego królestwa, dzieła bożego przez ręce Franków, które nie przestało być dziś jak wczoraj symbolem duchownego królestwa Jezusa Chrystusa i potrzebną rękojmią wolności sumień katolickich.

Wierzą oni silnie w przywilej nieomyślności, która nigdy nie przestawała należeć do Piotra w osobie jego następców, a którą kościół powszechny ustami Ojców Watykanu chwalebnie ogłosił. Wyznają oni przeto bezwzględną swą adhezję do powagi doktrynalnej encykliki, co do głównych stosunków społeczeństwa cywilnego z społeczeństwem religijnem.

Przekonani są głęboko, że rewolucya pod rozmaitemi formami, jest wielkim nieprzyjacielem kościoła i ludzkości. Gotowi są walczyć z pomocą Bożą zawsze i wszędzie, z całą energią swego światła i swej woli.

Spodziewają się jako jedyne zbawienia przyszłości, uznania przez społeczeństwo cywilne pełnej wolności nauki kościoła katolickiego apostołskiego, rzymskiego, matki i dobrodziejki ludów.

Proszą oni W. Świątobliwości, aby znalazł swoje błogosławieństwo na nich, na ich myśli, ich prace, ich postanowienia i nie odmawiał ojcowskiej litości swych modłów apostołskich za Francję, ich drogą i nie-szczęśliwą ojczyznę aby wróciła do światła Bożego, do zgody, do pokoju.

Z radością mianują oni się w końcu Ojciec św. W. Świątobliwości synami najpokorniejszymi, najprzywiązanszymi, najpoddanśzymi.

(Przekład z Czasu.)

(Następuje 46 podpisów.)

Odebraliśmy następujący list z miasta, któremu nie możemy odmówić miejsca w naszym piśmie, chociaż o kwestyi, jaka tutaj poruszoną została, nie chcieliśmy już wspominać.

Lwów 13. października 1871.

Szanowny Księżę Redaktorze!

Słyszac z ust wiarogodnych, że prelekcyje ks. dr. Delkiewicza profesora historii kościelnej na tutejszym uniwersytecie niezupelnie są zgodne z duchem kościoła a więc i z prawdą dziejową, dowiedziałem się z prawdziwym zadowoleniem, że *Przegląd Lwowski* rozbiór onych zamieści. Jakkolwiek pojmuję zwłokę, którą tłómaczy sama obszerność takiego zadania, to jednak mniemam, że jak najrychlejsze ogłoszenie takiego rozbioru jest nader pożądane, nie tylko w interesie ogólnym Kościoła i prawdy ale w szczególności ze względu na licznych słuchaczy, których dłuższemu balamuceniu w tak ważnym przedmiocie należałoby jakoś zaradzić. — Zgłaszając się z tem do Szanownego Księdza Redaktora, sądzę, że te słów kilka zostaną zamieszczone w *Przeglądzie* jako wyraz życzeń nietylko osobistych, ale i wszystkich dobrze myślących.

Przymij księżę Redaktorze zapewnienie mego szacunku
z jakim zostaje

MAURYCY DZIEDUSZYCKI.

Otóż możemy Czciogodnemu Panu oznajmić, że wzmianka nasza, jaką zrobiliśmy w *Przeglądzie* o prelekcyach ks. dr. Delkiewicza daleko donioślejszą okazała się już w skutkach, aniżeli tego mogliśmy się spodziewać. Pierwszy Nasz Najczciogodniejszy Arcypasterz zajął się tą sprawą, a na żądanie samego ks. dr. Delkiewicza wyznaczył komisję, która wszystkie prelekcyje ma przejrzeć i do poczynionych przez nią uwag ks. dr. Delkiewicz, jak na prawego katolickiego przystało kapłana, przyrzekł się zastosować. Równocześnie niemal i ks. Nuneyusz w Wiedniu o całej tej sprawie podobno się dowiedział. Wobec takiego stanu rzeczy, nie widzimy konieczności poddać szczegółowej krytyce prelekcyj dr. Delkiewicza. — W każdym jednak razie w rozprawach o historii kościelnej traktujących, jakie zamieszczać będziemy, zwrócimy się nieraz do dr. Delkiewicza, mianowicie w kwestyach dotyczących tak strony dogmatycznej i kanonicznej jak i historii kościoła w Polsce.

Jako odpowiedź *Gazecie Narodowej*, na jej artykuł ze świata o döllingeryanach i döllingeryanizmie prawiący, zamieszczamy następującą korespondencyę z miasta.

Lwów 13. października 1871.

Arcypocieszny skok, w jakie obfituje *Gazeta Narodowa*, zrobiła znowu w nr. 307 z 8 października w artykule ze świata. Rozdąsana że uwielbiani i kanonizowani przez nią monachijscy sekciarze, stali się płatnymi sługusami Bismarka, że propagowane i z gorącą afektacją, polskiemu społeczeństwu zalecane przez gazetę ich doktryny, przysposobić mogły i u nas grunt wiarołomnemu Krzyżakowi, wpychając biedną ojczyznę naszą w głębinę tem większej

zaguby. — Kiedy więc to wszystko dzięki Bogu na jaw już wyszło, *Gazeta Narodowa* przestraszona odpowiedzialnością jaka przed narodem naszym spotkaćby ją mogła — wybieliwszy się, staje zdenerwowana stara grzesznica, przed swoją publicznością, w roli niewiniątka i nuż jej palić najniezgrabniej wysmażone morały i gorące upomnienia, aby od tych niemieckich przysmaków, którymi ona do sytu się już opchała — odwrócić się liberali polscy pośpieszyli. Niema wątpliwości, że skok taki arcy pociesznym wydał się i ostatnim nawet, jak tylko przypomną sobie ile to razy taż sama *Gazeta* od czasu Watykańskiego Soboru, z zapalem godnym lepszej sprawy, pracowała nad wytworzeniem w umysłach polskich uprzedzenia i nienawiści do Papieża i całego katolickiego kościoła. Bo i któż to ogłaszał za zdrajców i wrogich ojczyźnie tych wszystkich, co wierze, kościołowi, Stolicy św. dochowywali swoją wierność, posłuszeństwo i gorącego przywiązania składali dowody? A kto ogłaszał za mężów cnoty, poświęcenia i przekonania, za Polaków i gorących patriotów tych, co chętniej niemieckim szeptom dawali posłuch niż tradycjom kościoła i narodu polskiego, a dogmatu albo uznać nie chcieli albo przeciwko niemu co u miara w pismach, dziennikach — na zebraniach i w kasynach gardłowali? Wszak to *Gazeta Narodowa* pierwsza to głosiła — wszak to ona przez lat dwa piętnowała pierwszych, okładała narodowemi klątwami, a kanonizowała drugich. — Aż tu doczekaliśmy się przecież chwili, w ktorej taż sama *Gazeta* przejrzała wreszcie na oczy, spostrzegła, gdzie to biedny kraj nasz zaprowadziły ona była mogła. Już jeden z jej księży-patriotów, apostata Kamiński, prądem patriotyzmu *Gazety Narodowej* uniesiony, skończył na napisaniu nikczemnego listu do Bismarka i o udzielenie pozwolenia na utworzenie parafii dla kilku swoich zwolenników najpoddanej uprasza. *Gazeta Narodowa* widząc tedy gdzie zaszli ci bohaterowie liberalnego i postępowego stronnictwa, rejteradę przedsięwzię, ale żeby się lepiej udała, swoim zwyczajem maskuje dawne swoje sekciarzom oddane usługi i całą winę na nas katolików zwała. My to według niej i w przyszłości winni będziemy temu przejściu, jak się wyraża, do obozu protestanckiego biednych omylników. — „Czy polemika ks. Goliara, ks. Podolskiego, ks. Stagracyńskiego, ks. Koźmiana i ich przyjaciół zażegnywa burzę zewsząd na nas ciągnącą? Niechaj sami sobie odpowiedzą. My widząc ich nieroztropne (sic) usiłowania mimo ich woli mogące przez gwałtowną polemikę wywołać podobny ruch jak w Niemczech, nie do nich ale do stronnictwa postępowego a liberalnego zwracamy się z przestrożą etc.“

Pozwoli *Gazeta*, że się odwołamy nie do sumienia jej redaktorów ale do prostej uczciwości jej czytelników — niechaj oni przejrzą numeru *Gazety Narodowej* jakie mamy w ręku od lat dwóch, a w nich popodkreślane przez nas ustępy z artykułów wstępnych, z korespondencyj, z feljetonów, kronik i niechaj osądzą, kto pierwszy wywoływał rozterki w naszym katolickim społeczeństwie? zaczepiani czy zaczepiający? — czy my broniący świętości naszego narodu czy bezrozumni szaleńcy rzucający się na nią wściekle?

Gazeta Narodowa więcej ciągów polskiemu duchowi zadała, niż Katakowy i Milutyny w ziemiach pod panowaniem moskiewskiem. I zdaje nam się, że *Gazeta* poznaje już ogrom swojej winy, czuje całą odpowiedzialność jaka ją przed potomnością czeka, bo już nie do nas katolików, którzy narodu masy stanowimy, ale do stronnictwa swego tylko „postępowego a liberalnego“ zwraca się z przestrożą. — Daj Boże! aby pomna na nią, nie zapominała

nigdy, że zdradza u nas ojczyznę naszą ten, kto osłabia w narodzie naszym wiarę, podkopuje powagę i przywiązanie do Rzymskiego Kościoła — który sam jeden stanowi dzisiaj siłę i podwalinę gnębionej opodal narodowości naszej. X. X.

* * *

Czwartego października obcobodzilimy uroczymie rocznicę dwudziesto-pięcioletnią biskupstwa Naszego Arcypasterza. Trzech księży biskupów, kapituły trzech obrządków, wszystkie zakony, profesorowie fakultetu teologicznego na uniwersytecie i przeszło dwustu księży składało Dostojnemu Jubilatowi życzenia *ad multos annos*. Ksiądz Prałat Mossing w imieniu Kapituły i Duchowieństwa miał długą a piękną do Najprzewielebniejszego Arcypasterza przemowę. Wspominał w niej i o optakanem położeniu Ojca św., o zawziętej walce wydanej Kościołowi przez rewolucję — o rozkiełzanej prasie, znieważającej wszystko co boże i święte — i o owej przedziwnej wobec tego wszystkiego jedności jaką przedstawia kler posłuszny i wierny swoim Pasterzom, otaczającym znowu jak jeden mąż Najwyższego w Kościele Pasterza, Ojca św. Na inowę, mową odpowiedział Dostojny Arcypasterz, dziękując duchowieństwu za dowody miłości i przywiązania, wspominał: że ogłoszenie dogmatu nieomylności Bóg opatrnościowo zachował na czasy, w których osłabiona powaga władzy, prawa, wiary, potrzebowała wzmocnienia i że taką właśnie dał Bóg w uchwałach Watykańskiego Soboru. Zalecał następnie Duchowieństwu, aby dogmat ten, świętej wiary naszej, gorliwie wpajali w umysły powierzonych im przez Kościół owieczek. Po skończonej mowie złożyło duchowieństwo hołdy swojej czci i przywiązania Dostojnemu Jubilatowi oraz i bogate dary, między innymi pastorał i album.

— **Sejm galicyjski** dobiega do swej mety, za dni parę ma być zamkniętym. Krótka sesja nie jest dostatecznym usprawiedliwieniem braku rezultatów pracy sejmowej. Korzystacby nam należało z czystszej i myślniejszego położenia, z dobrych chęci rządu i wyszedłszy z czechyich sporów stronnictw, lub uprawiania owej wielkiej polityki przejść do spraw piekących, wewnętrznych. Praca organiczna zawsze jeszcze jest czczem słowem, a sejm na tem polu daje zaiste gorszące przykłady nieporadności. Wniosków zawsze niebrak, służą one bowiem za rodzaj popisu i za środek jednania sobie popularności. W wnioskach tych jednak przebija się częściej tendencya obcego liberalizmu niż szczerza patriotyczna usilność o zaradzenie potrzebom kraju. Przymus szkolny, reforma wybornicza w celu pomnożenia okręgów miejskich, oto owe koniki dla popularności wnioskodawców. Ale nikt się nie zapyta, jaki jest stan dzisiejszych szkół, czy oświata, nauka zyskała istotnie na wprowadzeniu języka polskiego, czy przeciwnie ten złoty nabytek nie obrócił się na niekorzyść młodzieży przez kierunek, jaki wychowaniu publicznemu nadaje zwierzchnicza autonomiczna instytucya. Czy dzisiejsza Rada szkolna stara się odnaleść zatracony ślad po pracach komisji edukacyjnej, czy jej wzorem i tradycją są usiłowania Czackich, Czartoryskich, lub też przeciwnie, czy tylko tłumaczy na polskie systema pp. Hamerów, Mühlfeldów i t. p.

Nie jesteśmy ptakami ciemności i wrogami oświaty, za co nas często starają się przedstawiać, ale w kwestyach wychowania publicznego bardziej nam chodzi o jakość szkół niż o ilość.

Wystąpiono z wnioskiem pomnożenia okręgów wyborczych miejskich, dwór miałby ich wybierać aż siedmiu, a przypominamy sobie chwile, kiedy werbowano kandydatów do krzesel poselskich z stolicy po za obrębem t. z. inteligencji. Wydzielenie miasteczek z okręgów wiejskich jest także dziwnego rodzaju reformą. Jedynie przez połączenie mniejszych miast z gminami wiejskimi zdolano przeprowadzać gdzie indziej wykształceńszych kandydatów. Wydzieliwszy miasteczka uzyskamy kilku tromtadratycznych reprezentantów malomiejskiego żywiołu, ale natomiast wyrzec się już musimy zupełnie równoważenia wpływu, jaki przez połączenie miast z wsiami się rozszerzał. Chłopi wybierać będą chłopów, mieszczenie mieszczan, w ten sposób schmerlingowską myśl podziału na kasty dalej rozwijać będziemy. Bolesnemi także byli na sejmie naszym te objawy niesforności ustawodawczej, te długie rozprawy o sprawach małej wagi, jak n. p. ustawa o ptakach i te częste odsyłania wniosków napowrót do komisji. Rzecz dziwna, jak tradycya parlamentaryzmu u nas się zatarała, rzecz to jednak smutniejsza, gdy zważymy, jakie sejm daje sobie świadectwo ubóstwa w przeddzień może uzyskania szerszych atrybucyj ustawodawczych.

Wszelako obok tych ujemnych stron miał sejm obecny i strony dodatnie. Dowiódł on, że umiemy się ochronić od choroby opozycyjności *quand-mème*. Pojedyncze bowiem głosy, acz nader rażące i traktujące sprawę publiczną z lekceważeniem i zbywające ją często żartem, nie wchodzą w rachubę. Większość tak w sprawie adresowej, jak w sprawie wyborów do rady państwa, większość stanowcza i przeważna zachowała stanowisko odpowiednie interesowi kraju i zasadom dobrze zrozumianej wolności. Sprawy autonomii i sprawy utrzymania związku polityki narodowej z polityką państwa nie poświęciliśmy sympatjom dla liberalizmu wiedeńskiego lub nawyczkom opozycji. Lecz najpomyślniejszym faktem obecnego sejmku było szczere, stanowcze zmanifestowanie się stronnictwa ugodnego ruskiego, przedział, jaki powstał między posłami ruskimi na ugodnych i nieprzejednanych, a zbliżenie między stronnictwem p. Ławrowskiego z większością polską w duchu unii działającą. Z radością witamy tę dążność szczerych Rusinów do pojednania, bo z boleścią widzieliśmy, jak duch antagonizmu gnał stronnictwo ruskie na sejmie na bezdroża, na których nietylko sprawie ludu, nietylko tradycji historycznej, ale i wierze ojców sprzeniewierzać się mogli. Unia brzeska była ukoronowaniem unii lubelskiej, i dopokąd dzieło unii religijnej niezachwiane, dotąd skutki unii politycznej niezatarte. Grunt przeto katolicki, podstawa jedności wiary, zgoda obrządków może być jedyną rękojmnią bratniego rozwoju dwóch szczepów na jednej ziemi. O tym niezbitym pewniku powinniśmy równie pamiętać Rusini jak i Polacy, jeżeli chcą miru i zgody.

W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

pomiędzy innymi zamieszczać będziemy:

1. Cudowne miejsca w Polsce. (artystyczno-literacko-historyczne).
 2. Dziennik Poznański i Ultramontanizm polscy. (ciąg dalszy).
 3. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Łętowski.
 4. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ, na społeczeństwo, przez p. Adama Krechowickiego.
 5. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydyłka.
 6. Poeci. — Wieszcze. — Dante i Mickiewicz. przez X. Jachimowskiego
 7. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy).
 8. Bezkrólowie pod Batorym na 2 nieznanach dokumentach osnute. X. Polkowski.
 9. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d.)
X. kan. Zygmunt Golian.
 10. Historia synodów w Polsce, przez hr. M. Dzieduszyckiego.
 11. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
 12. Postępy Zoologii.
 13. Büchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie.
 14. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
 15. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
 16. Rzym i Londyn.
 17. Studium bibliograficzno-historyczne o wszystkich peryodycznych pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym. X. Ign. Polkowski.
 18. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez **.
 19. Dante Beatrycja i Wirgiliusz.
 20. O architekturze. Przez **.
 21. Tygodnik Wielkopolski — jego redaktorowie — ich wiedza — ich prace szerzone przez nich zasady.
 22. Nieszczęśliwi. (Ciąg dalszy).
-

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatscha; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l. 24.

Od Redakcyi.

Wielu z naszych prenumeratorów żądało od nas zamieszczenia w Przeglądzie Lwowskim dwutygodniowego przeglądu politycznego — otóż możemy ich dzisiaj zawiadomić, że od przyszłego poszytu rubryka ta stale raz na nawsze, będzie zamieszczaną. Redaktorem jej będzie jeden ze znanych w kraju publicystów naszych.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego
wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

PIUSA ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim	2 zł. — ct.
na papierze listowym	1 „ 50 „
na papierze zwykłym	1 „ — „

